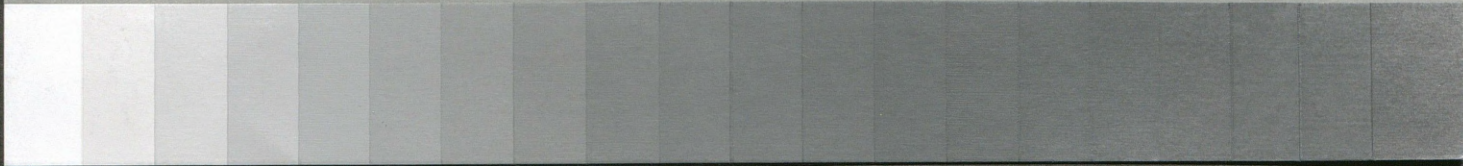


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19





WYDAWNICTWO MATERIAŁÓW

do historyi powstania 1863—1864.

WYDAWNICTWO MATERIAŁÓW
DO
HISTORYI POWSTANIA
1863—1864.

Tom IV.

Z papierów po ś. p. Włodzimierzu Miłowiczu.
Wspomnienia z czasów młodości.
Romuald Traugutt i jego dyktatura.



L W Ó W.

DRUKIEM I NAKŁADEM DRUKARNI LUDOWEJ
pod zarządkiem Stanisława Baylego.

1894.

31625 | 2



Z papierów po ś. p. Włodzimierzu Miłowiczu.

UNIVERSITY OF MICHIGAN LIBRARY

Ogłaszając pracę ś. p. Włodzimierza Milowicza, zmarłego w r. 1885, uważamy za konieczne poświęcić słów kilka dla przedstawienia obrazu tego krótkiego, a tak czynnego życia.

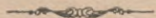
Urodzony na Wołyniu w r. 1838 lub 1839, ukończył on w r. 1854 tamtejsze gimnazjum, w czasie bombardowania Odessy przez wojska sprzymierzone, a od roku 1855 po rok 1859 odbywał studia jako słuchacz Wydziału prawniczego w Kijowie; posiadał prędko wielkie zaufanie kolegów, brał żywy udział w reformie obyczajów i wyraźnej ku lepszemu zmianie, która wśród młodzieży tego Uniwersytetu po r. 1856 nastąpiła, i należał do założycieli związku „Trojnickiego“. Po ukończeniu studiów uniwersyteckich w Kijowie, wyjechał dla dalszego kształcenia się za granicę, i przebywał z początku w Heidelbergu, następnie od roku 1861 w Paryżu. Tu należał do wielkiego związku młodzieży Polskiej; — wspólnie z generałem Wysockim i Mierosławskim starał się u Cavour'a o założenie szkoły wojskowej we Włoszech. Towarzystwo Młodzieży Polskiej w Paryżu wybrało go w 1861 roku jednym z swoich reprezentantów, a z powstaniem w kraju organizacyi ruchu on wspólnie z Józefem Ordegą, Stefanem Bobrowskim i Zygmuntem Padlewskim prowadzili układy z europejskimi rewolucjonistami Garibaldim, Mazzinim, Kossuthem. Milowicz pozostawał także w ścisłym porozumieniu z emigracją rosyjską, łączyły go przyjazne stosunki z Bakuninem i Hercenem. W końcu 1862 r. był on wezwany przez Komitet Centralny na członka komisji uzbrojeń w Paryżu, ale wkrótce, na denuncyację ambasady rosyjskiej, został przez władze francuskie aresztowany, papiery zaś przy nim zabrane w odpisie zakomunikowano rządowi rosyjskiemu. W 1863 roku przez rząd lipcowy, w charakterze członka Rządu, był wysłany do traktowania z Węgrami, mającymi zorganizować legion węgierski w pomoc powstaniu, lecz został w przejeździe przez Lwów aresztowanym — znaleziono przy nim wówczas kompromitujące papiery. Osadzony w kryminale lwowskim, po kilku miesiącach zdołał uciec z więzienia, a wtedy to Rząd Narodowy wysłał go jako swego pełnomocnika do Turcyi dla zlustrowania swojej Agencyi dyplomatycznej w Konstantynopolu.

Miał więc ś. p. Włodzimierz Milowicz w wypadkach 1861—1864 roku udział niemały. Rzutkością, zdolnościami i towarzyskimi przymiotami zjednał sobie zaufanie przywódców ruchu, był ich w wielu sprawach powiernikiem, a często pełnomocnikiem — przebieg wypadków

i przedsiębranych usiłowań był mu dokładnie znany, a stąd to, co on pisze o styczniowym powstaniu, ma wartość historyczną.

Pracę tę, którą obecnie ogłaszamy, pisał Milowicz w Szwajcaryi, bawiąc u wód, przed kilkunastu laty; pisał wszystko z pamięci, nie mając pod ręką dokumentów. Drukujemy tylko część pierwszą, chociaż z listów i pozostałych po ś. p. Milowiczu papierów okazuje się, iż praca jego była ukończona, — po śmierci jednak autora druga część zaginęła i odszukać jej nie byliśmy w stanie. Nie była ona pisana dla ogółu polskiego, lecz dla jednego z rządów europejskich, odpowiednio też do tego jest ułożona. Wiele szczegółów, niewątpliwie dobrze znanych autorowi, jest w niej pominiętych, nazwisko tylko koniecznością wymagane podaje, w zamian tego przedstawia swój pogląd ze znajomością dokładną wypadków, wykazuje ich pobudki, przyczyny, rozwój. W charakterystyce tej przebija się wytrawny umysł publicysty, który umiał w opisie zapomnieć o dawnych namiętnościach i wznieść się na stanowisko bezstronnego opowiadacza.

Po powstaniu pisywał do różnych zagranicznych i naszych dzienników, a jako publicysta, zajął w kraju poważne stanowisko. Ostatni dziesięć lat swego życia spędził we Lwowie, utrzymując rozległe stosunki; miał bowiem nieoceniony dar wytwarzania węzłów przyjaznych tak w kraju jak za granicą, wszędzie dla zalet swego umysłu przyjmowany z wielką życzliwością. Umarł nagle na udar sercowy w przejeździe przez Kraków, w lipcu 1885 roku.



Historia polska począwszy od rozbioru aż do chwili obecnej, jest jednym nieprzerwanym szeregiem konspiracji i spisków, mających na celu wskrzeszenie Polski niepodległej w dawnych jej granicach. Pomimo zmiennych losów jakim podlegał naród polski, idea niepodległości i jedności kraju żyła zawsze i żyje w łonie jego i nie przestała nigdy być wyłącznym celem wszystkich prac i zabiegów polskich patriotów, bez względu na mniejszy lub większy ucisk rządu moskiewskiego. Charakter Polaków i Moskali, przeszłość dziejowa tych dwóch narodów, organizacja ich społeczna a nakoniec i religia, przedstawiają tyle przeciwieństw i sprzeczności, że zlanie się ich w jeden organizm jest zupełnie niemożliwe, a wszystkie usiłowania dążące do celu tego pozostać muszą bez żadnego skutku.

Moskale próbowali już w Polsce wszystkich możliwych systematów dla dopięcia celu tego, i wszystkie okazały się równie bezskuteczne, gdyż zarówno ucisk najbardziej barbarzyński jak rządy łagodne i koncesye na rzecz narodowości polskiej, wydawały ten sam rezultat, to jest zbrojne powstanie przy lada pomyślnej okoliczności.

Jeden ze znakomitych publicystów polskich, mówiąc o stosunku Polaków do rządu moskiewskiego, bardzo trafnie określił tę fatalną dziejową konieczność powstań zbrojnych w Polsce. „Polacy, powiada on, pod łagodnym rządem moskiewskim powstają bo mogą, pod rządem zaś surowym powstają także bo muszą“.

Chociaż po powstaniu 1830-31 roku Polska została straszliwie wyludnioną przez wojnę, emigracyę i deportacyę na Sybir i Kaukaz, idea wywalczenia niepodległości na chwilę jedną nie zamarła w sercu Polaków, a liczne spiski i krwawe ich represye przez rząd cara Mikołaja są jawnym dowodem tego, że w Polsce pokolenia się zmieniają, ale nienawiść do

Moskali i gotowość poświęcenia wszystkiego dla niepodległości kraju pozostają zawsze te same. Ponieważ po powstaniu 1830 roku najzdrowsza i najpatriotyczniejsza część społeczeństwa polskiego wyszła na emigrację, wszystkie spiski jakie miały miejsce w Polsce aż do roku 1848 brały początek i były kierowane z zagranicy przez emigrację, która wzięła na siebie rolę przywódcy i kierownika ruchu narodowego, i znosiła się ciągle z krajem przez swoich wysłańców — emissaryuszów. Wszystkie te spiski (między którymi najważniejsze: Konarskiego w roku 1836-38, Potockiego i Zawiszy w r. 1846 zostały wykryte przez Moskali i pociągnęły za sobą liczne egzekucyje, deportacje na Sybir i konfiskaty majątków, które stanowiły wprawdzie dotkliwą dla kraju klęskę, ale z drugiej strony przyczyniły się nie mało do utrzymania w pokoleniu które nie brało udziału w powstaniu 1830 roku, patriotyzmu i nienawiści do wroga.

Ruch rewolucyjny który ogarnął całą Europę w roku 1848 wywołał także i w Polsce wielkie wzburzenie umysłów, które nie mogło jednak dojrzeć do zbrojnego wybuchu, z powodu ogromnej ilości wojska które Rosya w tym czasie w Polsce skoncentrowała. Wybuch ten nastąpiłby jednak niezawodnie, gdyby nie ta okoliczność że car Mikołaj przez uśmierzenie powstania Węgierskiego położył także tamę dalszemu szerzeniu się i rozwojowi propagandy rewolucyjnej w ziemiach polskich.

Od roku 1849 do 1856, Polska stosunkowo do lat poprzednich i przyszłych była pogrążona w największej apatii, gdyż wewnątrz społeczność polska była wycieńczona nieustającą repressją, a stosunki zewnętrzne i panująca w całej Europie reakcja, nie mogły jak tylko osłabić wszelkie nadzieje rychłego polepszenia się okoliczności. W ciągu lat sześciu, oddzielających upadek powstania Węgierskiego od wzięcia Sewastopola i pokoju Paryskiego, w Polsce panowała zupełna cisza, a najmniejszy objaw uczucia patriotycznego był przez Moskali karany równie surowo jak zbrodnia stanu.

Wojna Wschodnia i obecność wojsk anglo-francuskich na terytorjum rossyjskiem w Krymie, obudziły były pa-

tryotyczne nadzieje Polaków, i ruch konspiracyjny zaczął się znów ożywiać i szerzyć dość żywo. Ale dwuznaczność polityki mocarstw Zachodnich, brak stanowczości w ich zamiarach i planach względem Rosyj, i sprzeczność wskazówek i rad jakie kraj odbierał od emigracyi, czerpiącej natchnienia swe wprost od rządu cesarza Napoleona, musiały z konieczności sparaliżować usiłowania tych patryotów polskich którzy widzieli w wojnie Wschodniej najstosowniejszą chwilę do zbrojnego powstania. Emigracya, jak wiadomo, podzielona była na dwa stronictwa, z których jedno, arystokratyczno-dyplomatyczne, pod przywództwem ks. Adama Czartoryskiego pokładało całą nadzieję podźwignięcia Polski na pomocy mocarstw zachodnich, potępiało wszelki ruch konspiracyjny i zbrojny, i było przekonane że wskreszenie Polski niepodległej musi nastąpić na drodze dyplomatycznej gdyż Polska jest niezbędnym warunkiem równowagi europejskiej. Drugie zaś stronictwo, demokratyczne, w którym najwybitniejszymi wówczas osobistościami byli Mierosławski i Wysocki szukało przymierza dla Polski w stronictwach rewolucyjnych europejskich, a konspirację i zbrojne powstanie uważało za jedyny środek odzyskania niepodległości. Otóż, gdy w czasie wojny Wschodniej ostatnie to stronictwo usiłowało wszelkimi środkami wywołać w Polsce ruch zbrojny, sądząc że nawet w razie nieudania się takowego przyniesie on tę korzyść, że postawi kwestyę polską na porządku dziennym i zmusi mocarstwa zachodnie do ujęcia się za krajem, który przez sam fakt powstania stał się ich sprzymierzeńcem, ks. Adam Czartoryski używał wszystkich wpływów swoich na to, aby nie dopuścić do zbrojnego wybuchu. Wysokie stanowisko społeczne ks. Czartoryskiego, jego osobiste stosunki z całą dyplomacją europejską, a szczególnie bliska zażyłość jaka go łączyła z Cesarzem Napoleonem III., nadawały zdaniu jego wyjątkowo wielką wagę, gdyż sądzono powszechnie, że działa on, nie tylko z wiedzą, ale i za poradą ówczesnego rządu francuskiego. Nic więc dziwnego, że w obec podobnych okoliczności, zdanie ks. Czartoryskiego przemogło, i Polska pozostała przez cały ciąg wojny Wschodniej spokojna, oczekując wtargnięcia wojsk sprzymierzonych do krajów polskich, lub też przynajmniej postawienia kwestyi polskiej na kongresie paryskim poprze-

dzającym zawarcie pokoju. Wiadomo że nadzieje te spełzły na niczem, i że spokojne zachowanie się Polaków w czasie wojny, posłużyło tylko za argument dyplomatom moskiewskim do utrzymywania, że Polska jest zadowolniona ze stanu w jakim się znajduje. Chociaż wojna Wschodnia przeszła, nie wywoławszy w Polsce ogólnego zbrojnego wybuchu, zaszły jednak w tym czasie dwa wypadki o których wspomnieć należy, a mianowicie: ruch zbrojny chłopów na Ukrainie, skierowany wyłącznie przeciw rządowi rosyjskiemu i jego urzędnikom, i odkrycie zawiązku spisku między oficerami 5-go korpusu, które pociągnęło za sobą rozstrzelanie w twierdzy Izmaïłowie rotmistrza Miłkowskiego i dwóch innych oficerów. Ruch chłopski z roku 1854 jest symptomatem wielkiej wagi, gdyż służy on za oczywisty dowód że lud ukraiński nienawidzi rządu moskiewskiego, i że przy zręcznem z nim postępowaniu, można go zawsze pociągnąć do zbrojnej akcji przeciw Rosyi. W ruchu tym, który trwał kilka miesięcy i uśmierzony został przez wojsko, szlachta polska żadnego nie wzięła udziału; zachowanie się jej było zupełnie bierne, a tylko jeden Rozenthal (student kijowskiego Uniwersytetu skazany następnie na Sybir) przyłączył się do chłopów, ale i to już wtedy kiedy ruch był w pełnym rozwoju. Pomimo że działo się to w czasach istnienia pańszczyzny i poddaństwa, chłopci nigdzie nie dopuścili się żadnego kroku nieprzyjaznego przeciw szlachcie, ale mordowali wyłącznie urzędników moskiewskich i popów, a twierdzili głośno, że celem ich jest zrzucenie jarzma moskiewskiego i wskreszenie wolnej kozaczyzny. Głównym siedliskiem tych rozruchów były okolice Białej Cerkwi, Tahańcy i Kaniowa w Kijowskiej guberni.

Z działań emigracyjnych z czasów wojny Wschodniej, wspomnieć należy o usiłowaniach uformowania przy armii francusko-angielskiej polskiego korpusu, mającego być zawiązkiem armii narodowej polskiej, w razie przeniesienia teatru wojny na Ukrainę i Podole. Usiłowania te, sparaliżowane niezgodą stronnictw emigracyjnych, nie przyniosły prawie żadnych dodatnich rezultatów, a dywizya polska generała Zamojskiego, którą przydzielono do armii angielskiej, nie była nawet w boju, gdyż formacya jej została skończoną dopiero wtedy, gdy pokój był już zawarty.

Niespodziewane zakończenie wojny Wschodniej i zawarcie pokoju Paryskiego, w skutek którego Rosya nie poniosła prawie żadnych strat, pomimo ciągłych porażek wojsk jej na polu bitwy, wywarło ogromne wrażenie na stan umysłów w Polsce. Wszystkie nadzieje, jakie Polacy dotąd pokładali w możliwe podniesienie ich sprawy przez mocarstwa Zachodnie, upadły od razu bezpowrotnie, a chwilowa rozpacz i zwątpienie ogarnęły całe polskie społeczeństwo. Ludzie słabsi duchem, zaczęli byli propagować myśl zblżenia się i zbratania z Moskalami, a łagodne z początku rządu świeżo intronizowanego cara Aleksandra II., i wieści rozsiewane przez Moskali o zamiarach jego nadania Polsce szerokich koncesyi, zdawały się sprzyjać myśli tej. Jako też rzeczywiście, była chwila w roku 1856—57, w której znaczna część społeczeństwa polskiego, a mianowicie konserwatywni posiadacze większej własności ziemskiej, przechylali się do przekonania, że przyszłość Polski leży w szczerem pogodzeniu się jej z Rosya, i że byleby to ostatnie mocarstwo zagwarantowało narodowości polskiej byt i możność rozwoju, obydwa narody, polski i rosyjski, mogą żyć życiem wspólnem, złączone w jeden polityczny organizm. Przekonanie to znalazło swój wyraz w przyjęciu nader świetnem i serdecznem jakiego Car w tym czasie doznał od szlachty na Litwie i Ukrainie, w czasie kiedy zwiedzał te prowincye w roku 1857. Dążność ta pogodzenia się z Moskwą, będąca wynikiem zawiedzionych nadziei i połowicznego zakończenia wojny Wschodniej, była tylko chwilową, a już w roku 1858, najgorętsi jej zwolennicy i propagatorowie wypierali się jej i wstydzili się, że mogli być jej zwolennikami.

Powodem tej nagłej zmiany usposobień była najpierwej znana mowa cara do mieszkańców Warszawy, w której wyrzekł owe pamiętne słowa: *„ce que mon père a fait est bien fait, point de reveries, car je saurai sevir et je sevirai“*, a następnie podniesienie sprawy włoskiej przez Napoleona. Ruch ówczesny włoski i popieranie go przez Francję, która otwarcie i jawnie ogłosiła się przedstawicielką i protektorką zasady narodowości, wpłynął stanowczo na przebudzenie Polski z chwilowej apatyj i zwątpienia, w jakie kraj ten popadł w skutek zakończenia wojny wschodniej. Przyjęcie przez Francję zasady narodowości jako podstawy przyszłego

ustroju Europy, nie mogło jak tylko obudzić w Polsce nadzieję, że po Włoszech przyjdzie z konieczności i dla Polski kolej zastosowania tej zasady, i można powiedzieć że nadzieja ta ogarnęła wszystkie warstwy polskiego społeczeństwa. Z natury rzeczy młodzież i wszystkie umysły żywsze i wrażliwsze, pod wpływem owej nadziei, powzięły myśl przygotowania kraju do wielkich wypadków jakie, według przekonania ogólnego, musiały w Europie rychło nastąpić, a stosunkowe zwolnienie ucisku moskiewskiego, jakie miało miejsce w pierwszych latach panowania Aleksandra II., znacznie dopomogło do szerzenia się agitacji. Głównym siedliskiem i ogniskiem tej agitacji były uniwersytety rosyjskie, a mianowicie Kijowski, Moskiewski, Petersburski i Dorpacki, w których pobierało nauki więcej jak trzy tysiące młodzieży polskiej.

Ponieważ w uniwersytecie Kijowskim ilość młodzieży polskiej była najznacniejsza, wyżej (1000), zakład ten stał się więc centrem agitacji i organizacji z którego wyszła idea powstania 1863 roku. Początkowo, zaraz po wojnie Wschodniej, ruch ten młodzieży uniwersyteckiej nosił na sobie wprawdzie cechę patryotyczną, ale nie miał, że się tak wyrazimy, celów bezpośrednio-politycznych. Był on więcej reakcją przeciw tendencji zgody z Rosją o której wyżej mówiliśmy a której konserwatywna część szlachty polskiej po wojnie Wschodniej zaczęła poddawać się, a przewodnią myślą jego było kształcenie się w kierunku narodowym, utrzymywanie i budzenie ducha patryotycznego w młodzieży, i nakoniec hodowanie przekonania, że chociaż sprawa polska została opuszczoną przez Europę, naród polski ma w sobie dość sił żywotnych i energii, aby przy pomyślnych okolicznościach powstać i bez obcej pomocy zdobyć i wywalczyć sobie byt niepodległy.

W początkach więc ruch ten ograniczał się na wspólnej naukowej pracy, na dopomaganiu ubogiej młodzieży w kształceniu się, na wzajemnem czuwaniu nad moralnem i patryotycznem zachowaniem się, i nakoniec, na zawiązaniu w całym gronie młodzieży braterskich stosunków i solidarności, która ją wiązać miała nie tylko przez czas pobytu w uniwersytecie, ale i następnie przez całe życie. Ruch ten, jak widzimy z tego krótkiego przedstawienia jego zasad i celów,

odznaczał się od wszystkich poprzednich niezaprzeczoną głębokością pomysłu, i zdrowem i jędrnem pojęciem środków i dróg jakimi iść należy jeżeli się chce utrzymać społeczeństwo w pewnym danym kierunku. Ruch ten odznacza się jeszcze tą charakterystyczną cechą, że powstał samodzielnie w umysłach młodzieży, i że wszelkie wpływy zewnętrzne, a mianowicie wpływ emigracyi, były mu zupełnie obce. Powoli i stopniowo, w miarę jak młodzież kończyła nauki w uniwersytetach i rozsiewała się po kraju, zajmując w niem rozmaite stanowiska i zachowując pomiędzy sobą i z towarzyszami pozostałymi w uniwersytecie stosunki, ruch ten zaczął przybierać bardziej polityczny kierunek, i zaczęto myśleć o ujęciu go w systematyczną organizację i wytknięcie mu bardziej ogólnych celów. W roku 1858 młodzież w uniwersytecie kijowskim i innych uorganizowała się w gminy, na podstawie pochodzenia z pewnych prowincyi (Gminy: Wołyńska, Podolska, Ukrainńska, Litewska i Królestwa kongresowego). Każda z gmin wybierała swego reprezentanta, a zebranie wszystkich reprezentantów stanowiło komitet dyrygujący całą młodzieżą. Wyznaczono przytem stały podatek na wszystkich członków gmin i zawiązano regularne i stałe stosunki, tak z innymi uniwersytetami jak i z dawnymi studentami zamieszkującymi rozmaite okolice kraju. W skutek ustanowienia organizacyi wywiązała się jedność kierunku całego ruchu młodzieży według określonego programu, a ciągły odpływ młodzieży, kończącej nauki do kraju, wpłynął stanowczo na rozszerzenie agitacyi w tym kierunku po całym obszarze dawnej Polski. Po dwóch latach, wpływ młodzieży był już tak silny, że społeczeństwo nie tylko liczyć się z nim musiało, ale, można powiedzieć, ulegało mu najzupełniej. Wpływ ten odbił się najbardziej stanowczo w rozwiązaniu kwestyi włościańskiej, do której rząd rosyjski wówczas przystąpił w skutek inicjatywy jaką w tej mierze wzięła szlachta polska prowincyi Litewskich. Jak wiadomo, szlachta Litewska podała w r. 1856 do cara Aleksandra prośbę o uwolnienie chłopów; rząd zaś, przyjąwszy tę prośbę, rozkazał aby właściciele ziemscy każdej gubernii wybrali z łona swego komitet, mający na celu wypracowanie projektu przeprowadzenia tej ważnej reformy, a po skończeniu tej pracy każdy z komitetów gubernialnych

miał wybrać ze swego łona jednego reprezentanta do komitetu centralnego dla całego państwa, obradującego w Petersburgu, którego zadaniem było zredagowanie ogólnego prawa na zasadzie projektów wypracowanych w komitetach gubernialnych. Kiedy komitety gubernialne rozpoczęły swe czynności, większość ich członków była wszędzie za tem, aby reforma włościańska przeprowadzoną została na podstawie oczynszowania włościan. Młodzież jednak i wszyscy ludzie związani z nią i ulegający jej wpływowi, byli przeciwnie zdania, że włościan należy uwłaszczyć, gdyż w uwłaszczeniu i rozcięciu radykalnem raz na zawsze wszystkich powodów niezgody i zawiści między włościanami i szlachtą, widzieli oni jedyny środek zrobienia z chłopą obywatela kraju i zjednania go dla sprawy narodowej. Pomimo przeciwnego zdania większości komitetowych, presya opinii publicznej, kierowanej przez młodzież, była tak silna, że komitety prowincyi polsko-litewskich i ukraińskich przyjęły za podstawę projektów swych emancypację chłopów i uwłaszczenie ich. O fakcie tym wspominamy dla tego, aby wykazać, jak silny był wpływ młodzieży na kraj cały, a zarazem aby skonstatować że uwłaszczenie chłopów, którem rząd moskiewski się chełpi, jest właściwie dziełem nie jego, ale szlachty polskiej. Wpływ ten młodzieży, który najpierw objawił się w chwili obrad nad kwestyą włościańską, rósł potem ciągle; zawładnął on całkowicie i samowładnie opinią publiczną kraju i wywierał na nią pewien rodzaj moralnego teroryzmu, któremu wszyscy ulegali. Jeżeli wpływ ten był z początku arcyzbawiennym, gdyż przeciwdziałał dążności do zgody z Moskalami i utrzymywał w kraju ducha patryotycznego, to później stał się on zgubnym i szkodliwym, gdyż popchnął kraj do powstania nie przygotowanego i nie obmyślanego. Dla zrozumienia charakteru wypadków roku 1863—64 należy koniecznie mieć ciągle w pamięci fakt ten, że młodzież wypadki te wywołała, przygotowała i kierowała niemi, i że żywiły zachowawcze, do których zaliczyć trzeba całe starsze pokolenie, uległy całkowicie wpływowi młodzieży i stały się jej posłusznymi narzędziami.

Oto jest krótki przebieg tego, co się działo między 1854—56 rokiem w prowincyach Litewskich, na Wołyniu, Podolu i Ukrainie.

W Królestwie kongresowem, które nie posiadało żadnego wyższego zakładu naukowego, a przez to samo pozbawionem było ogniska skupiającego młodzież. Ruch narodowy rozwijał się i szerzył zupełnie innemi drogami. Ruch ten miał tu, od początku swego aż do roku 1862, przeważnie konserwatywny i organiczny charakter, gdyż młodzież nie będąc zorganizowaną nie mogła wywierać wpływu tak stanowczego jak w zabranych prowincjach, a stronictwo zachowawcze, mając organizację w Towarzystwie rolniczym, mogło stawić daleko silniejszy opór wszelkim przedwczesnym wybrykom ludzi krańcowych. Towarzystwo rolnicze, związane jeszcze za panowania Mikołaja przez hr. Andrzeja Zamojskiego, miało początkowo na celu li tylko podniesienie rolnictwa w kraju, i dalekiem było od wszelkich widoków politycznych. Dopiero po kilku latach istnienia, kiedy cała szlachta Kongresówki przystąpiła do niego i kiedy w ten sposób skoncentrowało ono w swem łonie całą inteligencję tej prowincyi, dyrekcyja towarzystwa zaczęła myśleć o celach, nie mających bezpośredniego stosunku z rolnictwem. Śmierć Mikołaja i zwolnienie ucisku w pierwszych chwilach panowania Aleksandra, sprzyjały bardzo zwiększeniu wpływu i znaczenia Towarzystwa rolniczego. Trzeba jednak skonstatować, że, zarówno prezes Towarzystwa Zamojski, jak i wszyscy ludzie składający dyrekcyę jego, do roli politycznej, jaką później odegrali, byli zmuszeni przez wypadki, że starali się o ile mogli uniknąć jej i że w rezultacie okazali w całym swem działaniu politycznem brak energii i pojęcia obowiązków jakie na nich włożyły wypadki, graniczące z niedołęstwem.

W roku 1858—59 ruch młodzieży polskiej na uniwersytetach rosyjskich zaczął przenosić się do Warszawy za pośrednictwem kilku młodych ludzi, którzy po ukończeniu nauk w uniwersytecie w Rosyi, zamieszkali w Warszawie. Związało się tu o tym czasie dwa odrębne koła, z których jedno miało charakter poważny, przeciwny wszelkiej gwałtownej propagandzie rewolucyjnej, a drugie złożone w większej części z młodzieży urzędniczej, kupieckiej i szkolnej, przyjęło od razu cechę politycznej konspiracyi. Pierwsze z tych kół miało za przewodników Jurgensa, Gołemberskiego i Adolfa Pieńkowskiego, przyjęło za podstawę programu

swojego powolne i systematyczne działanie na społeczeństwo przez szerzenie oświaty w narodzie, czuwanie nad patriotycznym i moralnym wychowaniem młodego pokolenia, powstrzymywanie go od gorączkowych agitacji rewolucyjnych, a zachęcenie do pracy naukowej. Chociaż w zasadzie nie odrzucali oni zbrojnego powstania jako ostatecznego środka zdobycia niepodległości kraju, uważali jednak, że naród najpierwej potrzeba moralnie odrodzić i wychować, a dopiero wtedy, i to przy sprzyjających okolicznościach, można uciec się do powstania.

Koło to, złożone z ludzi poważnych, wysoko ukształconych i umiarkowanych przekonań, musiało z natury rzeczy mieć sferę działania i wpływów wcale nie rozległą, ograniczającą się wyłącznie na miejskiej inteligencji.

Na czele drugiego koła stali Narcyz Jankowski i Karol Nowakowski (pierwszy dymisjonowany oficer z wojska rosyjskiego, drugi malarz), ludzie bez wielkiego wykształcenia i głębszego poglądu na rzeczy, ale wielkiego i gorącego serca i pełni zapału i gotowości do poświęcenia bez granic. Słowem, byli to entuzyaści w najszlachetniejszym słowa tego znaczeniu, a jako tacy, posiadający wszystkie warunki na to, aby pozyskać zaufanie i sympatye mas i pociągnąć je za sobą do przedsięwzięć najbardziej szalonych. Powiedzieliśmy już wyżej, że koło to przyjęło od razu charakter politycznej konspiracji; że zaczęło od krzewienia rewolucyjnej propagandy pomiędzy młodzieżą i rzemieślnikami. Członkowie koła tego miewali co tydzień tajemne zebrania, na których rozprawiano o polityce i czytano zakazane rewolucyjne książki i pisma, które następnie starano się jak najwięcej rozpowszechnić.

Obydwa te koła, istniejące jednocześnie, wiedziały o sobie wzajemnie i nawet miały z sobą pewne stosunki, charakter ich jednak i zapatrywania się były tak różne, że do bliższego porozumienia się, a tembardziej połączenia ich przyjść nie mogło. Znaczenie ich i wpływy były z początku bardzo małe i nawet mowy o tym być nie mogło aby one były w stanie zrównoważyć wpływ Towarzystwa rolniczego, rozporządzającego ogromnymi środkami i mającego zupełne poparcie całej szlachty. Wojna włoska 1859 roku, a następnie ruch ku zjednoczeniu narodu włoskiego prowadzony

przez Cavour'a i Garibaldego, wywołał ogromny zapal w Polsce i przyczynił się najwięcej do rozwoju myśli o rychłym zbrojnym ruchu i do zwiększenia znaczenia i wpływu tych ludzi, którzy szli zawsze drogą rewolucyjnej propagandy. W połowie roku 1860 koło kierowane przez Jankowskiego i Nowakowskiego wzrosło znacznie w siły, weszło w stosunki ze stronictwem rewolucyjnym w emigracji, i zaczęło rozwijać coraz to większą działalność. Chociaż wysłany przez koło za granicę Jankowski, został w powrocie do Warszawy aresztowany i uwięziony w cytadeli, strata ta jednego z kierowników jego nie osłabiła bynajmniej czynności i energii koła, które już we Wrześniu 1860 roku postanowiło popchnąć ludność Warszawską na drogę patryotycznych manifestacji. Pierwsza z tych manifestacji miała miejsce 26. Września 1860, a powodem jej był pogrzeb generałowej Sowińskiej, wdowy po generale tego nazwiska, który w r. 1831 poległ bohaterską śmiercią broniąc od moskali okopów Woli. Manifestacja ta, w której ogromna masa ludności Warszawskiej wzięła udział, była tak imponującą i niespodziewaną dla Moskali, że stracili oni w obec niej głowę i ani jej przeszkadzali, ani też później prześladowali tych którzy w niej udział wzięli.

Zręczne przygotowanie manifestacji tej, ostrożność z jaką przygotowania te ukryte zostały przed badawczym okiem moskiewskiej policji i wielki udział w niej ludności warszawskiej, zarówno jak brak wszelkiej represji ze strony rządu rosyjskiego wpłynęły niezmiernie na dodanie odwagi i energii stronnikom ruchu rewolucyjnego, i przyczyniły się do zwiększenia ich ilości. Można powiedzieć że manifestacja ta przyczyniła się najwięcej do nadania znaczenia stronictwu ruchu, a tem samem położyła początek stopniowemu słabnięciu i upadaniu wpływu koła umiarkowanego Jurgensa.

Zjazd cesarzów austriackiego i rosyjskiego, i króla pruskiego, który miał miejsce w październiku 1860 roku i który, według powszechnego mniemania, miał na celu obmyślenie, przez trzy mocarstwa które podzieliły Polskę, środków wspólnych dla uśmierzenia w Polsce wszelkich dążeń narodowych i patryotycznych, wywołał w całym kraju ogólne oburzenie i tem bardziej przyczynił się do rozbudzenia namiętności, z których stronictwo ruchu nie omieszkało sko-

rzystać dla wywołania nowej manifestacji. Manifestacja ta miała miejsce w teatrze na reprezentacji galowej, na której obecni byli trzej monarchowie.

Sala teatru wielkiego przed samem wejściem do niej monarchów została zasmrodzona przez rozlanie kilku flaszek napełnionych assa-foetida, aby zaś przeszkodzić damom ze świata warszawskiego w uczestniczeniu w reprezentacji galowej, oblewano ich suknie kwasem siarczanym i niszczone je innymi sposobami. Wszędzie gdzie cesarz Aleksander i goście jego pokazali się, ludność spotykała ich milczeniem, a zdarzyło się nawet, że króla pruskiego przyjęto okrzykami otwarcie nieprzychylnymi. Chociaż zjazd monarchów w Warszawie nie doprowadził do żadnego rezultatu dodatniego, wywarł on jednak wpływ stanowczy na dalszy rozwój ruchu narodowego w Polsce, i przyczynił się więcej niż ogólnie sądzą do popchnięcia ruchu tego na drogę gwałtownej rewolucyjnej propagandy, która fatalnie musiała doprowadzić do powstania zbrojnego. W skutek zjazdu tego, rząd francuski, obawiając się aby nie przyszło do wznowienia Świętego przymierza, zwrócił po raz pierwszy uwagę swą na ruch polski, i przez pośrednictwo księcia Napoleona wszedł w pewne stosunki z wybitniejszymi osobistościami rewolucyjnego stronictwa w emigracji, a mianowicie z Mierosławskim i Wysockim. O stosunkach tych w Warszawie dowiedziano się bardzo prędko i wywnioskowano z nich, że Francja ma zamiar popierać powstanie polskie, tak jak popierała Włochów, zkad wyniknęło jeszcze większe roznamiętnienie umysłów i rozbudzenie wiary w możliwość i szanse powstania. Owe stosunki rządu francuskiego z emigracją, spowodowały także stałe i ciągłe porozumiewanie się przywódców krajowego ruchu z emigrantami, i położyło początek wpływowi emigracji na rozwój tego ruchu, który rozwijał się, aż do końca 1860 roku, zupełnie samodzielnie.

W skutek tych wszystkich okoliczności i wypadków, na początku roku 1861 stan umysłów w Warszawie był daleko więcej usposobiony do rewolucyjnej agitacji jak mogli się spodziewać najwięksi zapaleńcy z pomiędzy stronników ruchu. Agitacja więc ograniczająca się z początku na młodzieży z klasy średniej, rozszerzyła się pomiędzy masą wyrobników, a wiadomo, że gdy masy zaczynają brać udział

w ruchu jakim, ruch też już przez to samo staje się gwałtownym, i niemożliwym do trzymania w ścisłych granicach określonego programu. Kierownicy takiego ruchu, zamiast nim kierować, muszą zwykle iść za wolą mas, które wyprzedzają najbardziej krańcowe pomysły i, rządzą się zwykle namiętnością a nie rozumem, idą wprost do ostatecznego celu, bez względu na to że środki jeszcze nie są przygotowane, i że chwila jest najmniej właściwą. Ale wróćmy do opowiadania naszego przebiegu wypadków. Po manifestacji warszawskiej wywołanej zjazdem trzech monarchów, propaganda rewolucyjna zaczęła się szerzyć coraz to szybciej, a krzewiciele jej, ośmieleni powodzeniem, zaczęli działać z wzrastającą ciągle energią i stanowczością. Założono parę drukarni tajemnych, z których wychodziły peryodyczne rewolucyjne pisma i odezwy, zaczęto zbierać składki na patriotyczne cele, a wszędzie w ludności warszawskiej znajdowano jak największą gotowość do ofiar i poświęcenia. Władze moskiewskie, zaniepokojone niespodziewanym wzrostem ruchu narodowego w Polsce, zachowywały się początkowo zupełnie biernie, i unikały wszelkich środków gwałtownych, nie chcąc przez nie ruchowi temu nadawać większego znaczenia i wywołać zajęcie się nim opinii publicznej w Europie. Wiadomo przytem że w owym czasie Rosya starała się o zbliżenie z Francją, a represya gwałtowna ruchu polskiego musiałaby stanąć na przeszkodzie zbliżeniu temu. Zresztą, moskale wiedzieli dobrze że ruch ten ograniczał się jeszcze na ludności miejskiej i młodzieży, że cała szlachta należąca do Towarzystwa rolniczego nie brała w niem udziału, i spodzielali się że, w razie niebezpieczeństwa, będą zawsze mieć dość siły na stłumienie jego. Rząd rosyjski ograniczył się więc na baczniejszem śledzeniu ruchu, i w tym celu zreorganizował swą policję i przysłał do Warszawy jednego ze swych najzdolniejszych żandarmów, wówczas pułkownika a dziś generała Trepowa, który jest obecnie głównym dyrektorem policji w Petersburgu, nie stawiając zresztą żadnych stanowczych przeszkód rozwojowi i krzewieniu się agitacji. Położenie to trwało aż do końca lutego 1861 roku, a dopiero o tym czasie połała się po raz pierwszy krew w Warszawa wie a przez to wypadki polskie przybrały charakter ogólnoeuropejski, i ruch o którym mówimy rozszerzył się

na całą Polskę, objął wszystkie jej warstwy społeczne i stanął w rzędzie wielkich dziejowych wydarzeń. Powodem tego, pierwszego od roku 1830, rozlewu krwi w Polsce była nowa, trzecia z rzędu, manifestacya, która miała miejsce w Warszawie dnia 25. Lutego 1861 roku, dla uczczenia rocznicy bitwy pod Grochowem, w której wojska polskie odniosły zwycięstwo nad Moskalami w r. 1831. Rocznicę tę przywódcy ruchu postanowili uczcić wielkim obchodem kościelnym a następnie manifestacyą w mieście. Ponieważ manifestacya zamierzona przygotowywała się dość głośno i cała niemal ludność warszawska wiedziała o niej i zamierzała wziąć w niej udział, nie mogły więc niewiedzieć o niej i władze moskiewskie, które postanowiły tym razem jej przeszkodzić. Już w przeddzień, lud warszawski zaczął zbierać się w znacznej ilości na rynku Starego miasta śpiewając patryotyczne pieśni; żandarmi zaś moskiewscy pod dowództwem samego Trepowa rozpędzali tłumy, trając jednych, a uprowadzając do cytadeli drugich. W czasie tego pierwszego starcia nie było właściwie rozlewu krwi, gdyż Moskale używali tylko płazów, na które lud odpowiadał zupełną biernością, lub też ciskając na napastników kamieniami. Jednak jeden ze śmielszych zdołał podsunąć się do samego Trepowa i ugodziwszy go silnie kijem w głowę, zwałił na ziemię z dorożki, poczem tłumy rozeszły się do domów. 27. Lutego miało miejsce solenne nabożeństwo, w katedrze, za poległych pod Grochowem, a niezliczone tłumy ludu napełniały kościół i zalegały plac i ulice z nim sąsiadujące. Wojsko ustawione w szyku bojowym przed katedrą zachowywało się z początku biernie, lecz kiedy nabożeństwo się skończyło i tłum wychodzący z kościoła, mając na przodzie procesyę z krzyżem i chorągwiami, zaczął śpiewać pieśni patryotyczne, dowódca moskiewski kazał zabębnić i zawezwał lud do rozejścia się. Na wezwanie to, lud uklęknął i dalej śpiewał swe pieśni i modlił się, a Moskał, po powtórnem wezwaniu do rozejścia się, dali ognia do zbitej masy ludu i przypuścili następnie szarżę konnych czerkiesów i kozaków. W skutek ognia moskiewskiego i szarży, z ludu padło pięciu zabitych i kilkudziesięciu rannych, a w liczbie tych ostatnich kilka kobiet i dzieci. W czasie ognia i szarży moskiewskiej, lud nigdzie oporu nie stawił i na gwałt i mordy odpowiadał modlitwą i pieśnią.

Zachowanie się to ludu, które było wynikiem ogólnego przekonania że Polska w owej chwili powinna tylko dać świadectwo swego patriotyzmu a nie chce i nie może jeszcze zbrojnie o prawa swe upomnieć się, nadało postępowaniu Moskali charakter mordu bezbronnych, i wznieciło ogólne oburzenie, nie tylko w całej Europie, ale nawet między samymi Moskalami. Rotmistrz gwardyi, baron Korf, oburzony postępowaniem swoich rodaków, przed frontem szwadronu któremu kazano iść do szarży na lud modlący się, odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu, oświadczając że nie chce być świadkiem i uczestnikiem hańby jaka spadnie na wojsko rosyjskie skutkiem mordowania kobiet i dzieci, a kilku innych oficerów i żołnierzy wystąpiło z szeregów i złączyło się z ludem.

Tego samego dnia w którym odbywała się manifestacya Grochowska, całe Towarzystwo rolnicze było obecne w Warszawie i odbywało swoje ogólne zebranie, obradując nad kwestyami czysto gospodarskimi, nie mającemi żadnego związku z polityką. Prawie wszyscy członkowie towarzystwa tego byli przeciwni manifestacyi i odmówili stanowczo wzięcia w niej udziału, a tylko kilku młodszych dało się w nią wciągnąć i byli obecni na ulicy w czasie napadu moskali na lud. Traf chciał że trzech z tych członków towarzystwa, Rutkowski, Karczewski i Narzyski, zostali przez Moskali, dwaj pierwsi zabici a trzeci ranny, i wypadek ten zmusił niejako Towarzystwo do wyjścia ze swej bierności. W chwili bowiem kiedy Towarzystwo obradowało w sali swych posiedzeń, a Moskale mordowali w mieście bezbronnych, wniesiono do sali obradowej Towarzystwa rannego Narzyskiego, który przemówił następującemi słowami: „Panowie! wy tu obradujecie o gnoju, a tymczasem na ulicy leje się krew bezbronnych“. Słowa te, zawierające w sobie gorzki zarzut braku patriotyzmu, zagłuszyły wszelki głos rozumu politycznego, całe zebranie powstało, i zawoławszy jednogłośnie że chce dzielić los rodaków, wyszło *in corpore* na ulicę, i w ten sposób przyłączyło się niejako do ogólnego ruchu. Wystąpienie to Towarzystwa rolniczego na pole czynności politycznej, wywarło stanowczy wpływ na cały dalszy bieg wypadków, nadało bowiem ruchowi, który można było dotąd uważać za dzieło zapaleńców i demagogów, charakter ogólnonarodowy, a wmięszanie się

wień żywołów najbardziej konserwatywnych w kraju, nadało mu powagę i doniosłość, której już nikt zaprzeczyć nie mógł. To też, kiedy dano znać ówczesnemu Namiestnikowi księciu Gorczakowowi, że Towarzystwo rolnicze wyszło na ulicę, kazał on natychmiast wojsku oczyścić Warszawę i skoncentrować się w cytadeli, i zostawił nagle stolicę polską sobie samej, ograniczając się na obserwowaniu tego co się dzieć będzie. Dziwne to postępowanie władz moskiewskich, tłumaczy się zgrzybiałością Gorczakowa, który miał już lat 85, i jego niedołęstwem, małą ilością wojsk moskiewskich, których było w Warszawie nie więcej jak 10.000, i obawą, aby w chwili ogólnego oburzenia, lud go nie zwyciężył, a nakoniec, chęcią poprawienia niejako czynu tak haniebnego jak mordowanie bezbronnych, który nawet między wojskowymi moskiewskimi wywołał oburzenie. Bądź co bądź, ustąpieniem swem Moskale zmanifestowali swą słabość i brak decyzji, a przez to samo dodali otuchy Polakom i wzbudzili ogólny zapał i najświetniejsze nadzieje nawet w ludziach najbardziej rozważnych i zimnych.

W pierwszej zaraz chwili po ustąpieniu Moskali, przedniejsi obywatelele warszawscy zebrali się i postanowili posłać do Namiestnika deputację z żądaniem pozwolenia na uformowanie stałej delegacji któraby objęła zarząd miasta, i sformułowała adres do cara wyrażający potrzeby i żądania kraju. W deputacji do Gorczakowa pojechał prezes Towarzystwa rolniczego hrabia Andrzej Zamojski. Przyjęcie takiego on doznał od tego dygnitarza, dowodziło jawnie, że stracił głowę i nie wiedział co czynić, a co dziwniejsza, że nie miał żadnych wyraźnych instrukcyi z Petersburga. W pierwszej chwili po przyjsciu Zamojskiego, Gorczaków mu oświadczył, że wie o tem iż Polacy mają zamiar zdobywać zamek i cytadelę, ale że bronić się będzie do upadłego; a kiedy Zamojski oświadczył że Polacy nie tylko o napadzie na Moskali nie myślą, ale gotowi są pierś swą nastawić na nowy ogień wojska i że na napaść odpowiadać będą modlitwą, Gorczaków zapytał go dopiero: „*Eh bien que voulez Vous?*” Po krótkiej rozmowie zgodził się on na wszystko, czego od niego żądano, i Zamojski wrócił do ratusza, gdzie go oczekiwano, z oświadczeniem, że Warszawa jest panią siebie i że może robić co jej się podoba. Wówczas przystąpiono do

wyboru delegacyi, w skład której wchodzili przedstawiciele wszystkich klas i warstw społecznych, ustanowiono ochotniczą policyę miejską złożoną z młodzieży akademii medycznej i szkoły sztuk pięknych, i de facto wszystkie funkcye rządowe przeszły w ręce obywateli. Rząd ten przypadkowy posiadał bezwarunkowe zaufanie mieszkańców, kórzy byli mu ślepo posłuszni, a w ciągu sześciu tygodni jego istnienia, w Warszawie nie było ani jednego wypadku zbrodni lub nawet wykroczenia policyjnego. Porządek wzorowy i spokój największy panował w mieście, a nastrój religijno-patriotyczny jaki w owym czasie ogarnął wszystkie umysły w Polsce, nadawał wypadkom tym charakter dziwnie wysoki i poetyczny, może jedyny w swoim rodzaju w historii. Zaraz po manifestacyi Grochowskiej i ustąpieniu Moskali, odbyto pogrzeb poległych w tym dniu ofiar, w liczbie których, jak gdyby umyślnie, znajdował się szlachcic, wyrobnik i student; pogrzeb ten posłużył za pretekst do zbratania się wszystkich warstw społecznych. Po raz pierwszy od kiedy Polska istnieje, żydzi złączyli się z ruchem narodowym, a otrzymawszy następnie w skutek tego ruchu zupełne równoprawnienie, są do dziś dnia, i zapewno nazawsze, w Warszawie i Kongresówce patriotami. Pogrzeb ten był jedną z najwspanialszych uroczystości jakie Warszawa pamięta, a brak zupełny wojska i władz moskiewskich, wolność jakiej po latach tylu po raz pierwszy używano, narodowe barwy i mowy patriotyczne które obchodowi temu towarzyszyły, sprawiły że wyglądał on więcej na święto wolności narodowej jak na pogrzeb.

Po ukonstytuowaniu się delegacyi, przystąpiono do rozpraw nad adresem, który postanowiono posłać do cara, a który Gorczakow obiecał wręczyć Aleksandrowi II. W kwestyi adresu, tak w Towarzystwie rolniczym jak w delegacyi i mieście, zdania były podzielone: jedni wychodząc z założenia że Polska, tak długo jak nie jest niepodległą nie może być zadowolnioną, pragnęli aby w adresie wyrazić jak najjaskrawiej wszystkie cierpienia kraju, wszystkie nadużycia i barbarzyństwa rządów moskiewskich, ale nieformułować żadnych prośb i żądań. Jedynem żądaniem Polski jest pozbyć się najeźdców i stanąć jako państwo niepodległe w granicach przedrozbiorowych, ponieważ zaś żądania tego w adre-

sie wyrazić nie można, a wszystkie inne żądania kraju nie zadowolnią, mniemano więc, że nie należy wcale o żądaniach wspominać. Zdanie to podzielała ogromna większość mieszkańców, a nastrój patryotyczny i nadzieje były w owej chwili tak podniesione, że każdego któryby był przeciwnego zdania, miano za złego patryotę, niemal za zdrajcę. Znalazł się jednak człowiek który, nawet w tej chwili ogólnego entuzjazmu, nie zszedł z drogi ścisłego rozumowania politycznego, i który nie uniosłszy się na chwilę patryotycznym szałem, powiedział sobie że należy korzystać z chwilowego strachu Moskali, i pozostawiwszy na stronie zasady abstrakcyjne i nadzieje, starać się uzyskać dla kraju li tylko to co jest możliwe, i postawić w adresie wyraźne żądanie nadania królestwu kongresowemu konstytucyi z przed roku 1830, zagwarantowanej przez Kongres wiedeński. Człowiekiem tym był margrabia Wielopolski, który tu po raz pierwszy występuje na widownię polityczną, a który następnie odgrywał tak przeważną, lecz smutną rolę w historii wypadków które opowiadamy. Zdanie Wielopolskiego miało zaledwie kilku zwolenników, dla tego też adres taki jaki go mieć chciała większość został przyjęty i wysłany do Petersburga, a Wielopolski stał się od razu osobistością najmniej popularniejszą w kraju, i okrzyczany za złego patryotę, gotowego wyrzec się całej przyszłości Polski i jej niepodległości za lada nędzne koncesyje nadane przez rząd rosyjski jednej Kongresówce, z wyłączeniem Litwy i innych polskich prowincyi.

Osobistość Wielopolskiego jest tak wybitna, kierunek jego polityczny i stanowisko jakie on zajął tak stanowczo wpłynęły na losy kraju, że uważamy za rzecz konieczną przerwać tu na chwilę opowiadanie wypadków, i poświęcić słów kilka biografii i charakterystyce tego męża stanu.

* * *

Margrabia Aleksander Wielopolski pochodzi z jednego z najstarożytniejszych rodów w Polsce, i, zarówno z zasad jakie wyznaje jak i z charakteru swego, może być uważany za typ skończony magnata i arystokraty. Karyerę swą polityczną rozpoczął on w roku 1830 jako poseł rządu rewolucyjnego polskiego przy gabinecie londyńskim, lecz po upadku

powstania wrócił do kraju, usunął się zupełnie od życia publicznego, i zamknawszy się na wsi w dobrach swoich, oddał się wyłącznie agronomii. We wszystkich spiskach jakie w tym czasie w Polsce miały miejsce Wielopolski nie tylko nie wziął udziału, ale potępiał je zasadniczo, a będąc w najwyższym stopniu dumnym, arbitralnym i gwałtownym, był powszechnie nielubianym. W obec Moskali zachowywał się on mniej więcej tak samo jak w obec swoich, to jest nie miał z nimi żadnych stosunków, a jeżeli konieczność zmusiła go do zetknięcia się z jakim wysokim dygnitarzem rosyjskim, to nie omieszkiał dać mu poczuć całą swą magnacką butę i dumę. Chociaż Wielopolski był ogólnie nie lubiony, opinia publiczna nie miała go wcale za stronnika moskiewskiego, lecz tylko za arystokratę nie rozumiejącego innej Polski jak tylko taką, w którejby arystokracja rządziła i miała wszystkie dawne przywileje, i za przeciwnika namiętnego wszystkich zasad wolnomyślnych i postępowych. Nieszczęsna rzeź dokonana w r. 1846 w Galicyi przez chłopów na szlachcie kilku obwodów, a którą opinia publiczna w Polce uważała za dzieło rządu austriackiego, była powodem, że Wielopolski przerwał dotychczasowe milczenie i wystąpił z broszurą noszącą tytuł: „*lettre d'un gentilhomme polonais au Prince de Metternich*“, która w swoim czasie nie małe zrobiła wrażenie. W broszurze tej Wielopolski występuje jako arystokrata i konserwatysta zrozpaczony tem, że rząd austriacki, który był dotąd podporą konserwatyzmu w Europie, uciekł się do przymierza z demagogią, i dochodzi do wyniku, że w obec takiego postępowania Austrii, Polsce konserwatywnej i szlacheckiej nic innego nie pozostaje, jak szukać zbawienia w połączeniu się z Rosyą, a przez nią z całą słowiańszczyzną. Ponieważ broszura ta Wielopolskiego nie znalazła żadnego odgłosu w polskim społeczeństwie, lecz wywołała przeciwnie powszechne oburzenie, a autor jej okrzyczany za odstępcę od idei narodowej, Wielopolski odsunął się jeszcze bardziej od wszelkiego udziału w życiu publicznem i został zupełnie osamotniony. Chcąc tylko czynem poprzeć zasady, które w piśmie wypowiedział, oddał on syna swego do wojska rosyjskiego, czem jeszcze bardziej oburzył na siebie opinię publiczną. Do Towarzystwa rolniczego on prawie jeden z pomiędzy całego grona

posiadaczy ziemskich nie należał, a kiedy w początkach roku 1861 podał się na członka Towarzystwa, przyjęto go wprawdzie, lecz zaledwie parą głosami większości. Widzimy więc, że w chwili kiedy ruch narodowy zaczął przybierać w Polsce doniosłość wielkiego dziejowego wypadku, Wielopolski był najniepopularniejszą osobistością w kraju i uważany był za przedstawiciela polityki i zasad wręcz przeciwnych narodowym dążnościom i sympatyom. Projekt adresu popierany przez niego nie mógł jak tylko zwiększyć niepopularność Wielopolskiego, a namiętne obstawanie przy zdaniu swoim i zjadliwa krytyka dążności najbardziej drogich narodowi, doprowadziły ogólne przeciw niemu oburzenie do ostateczności. Zastanawiając się nad osobistością i charakterem Wielopolskiego zupełnie bezstronnie, każdy przyznać musi, że człowiek ten posiadał niepospolitą wiedzę, energię charakteru, jasność poglądu politycznego i niezłomną wolę dojścia do zamierzonego celu, bez względu na największe trudności i przeszkody. Lecz, jeżeli przyznajemy mu te wielkie zalety bez których niepodobna być mężem stanu, to z drugiej znów strony nie podobna nie widzieć że posiadał on wady, które zniweczyły te zalety i stały się główną przyczyną tego, że Wielopolski nie tylko nie zdziałał nic pożytecznego dla kraju, ale przeciwnie stał się powodem największych klęsk jakie nań spadły, i przejdzie do historii obarczony złorzeczeniem i przekleństwem całego narodu polskiego. Wady te, o których wyżej mówimy, są: namiętność i duma dochodząca do pogardy całej ludzkości i lekceważenia, a raczej zupełnego ignorowania przeciwników, a ztąd nieograniczona, dochodząca do zaślepienia wiara w swoją nieomyślność, nie liczenie się z charakterem i przekonaniem społeczeństwa swego i z dążnościami epoki w której żył i działał a nakoniec obelżywe odpychanie od siebie wszystkich, którzy mu ślepo nie hołdowali, i mniemanie iż on sam wszystkiemu podoła i zdoła całemu narodowi narzucić swoje zasady i przekonania, bez względu na to, że te zasady i przekonania były wbrew przeciwnie i wrogie, zarówno narodowej tradycji, jak i sympatyom kraju całego. Słowem, obok niepospolitych politycznych zdolności, Wielopolski był namiętnym i zawziętym doktrynerem, który umiał obmyśleć doskonale praktyczny plan działania politycznego, ale nie umiał, w wykon-

niu planu tego, nagiąć się do okoliczności i obliczyć przeszkody i zawady jakie mu na drodze stały. Chciał on skruszyć wszystko co mu stało na drodze, chciał oparty na Moskalach, narzucić całemu narodowi swoje osobiste zasady i przekonania, i nie tylko że sam przepadł w tej walce, ale pociągnął z sobą kraj swój w wir klęsk i nieszczęść przechodzących to wszystko o czem wspomina historya. Z dalszego opowiadania naszego, czytelnik się przekona, że każdy krok Wielopolskiego na stanowisku które on zajął, nosi na sobie podwójną cechę doskonałości pomysłu, a namiętności i niepraktyczności w wykonaniu; tymczasem zaś wróćmy do przerwane go toku przebiegu wypadków.

* *

Manifestacja grochowska, krwawa jej represya, następnie ustąpienie Moskali i faktyczne oddanie władzy nad Warszawą delegacji obywatelskiej, wywołało na całym obszarze dawnej Polski zapal z niczem niezrównany. Wszystkie miasta na przestrzeni kraju między Dnieprem, Dźwiną i Wisłą poszły za przykładem Warszawy i urządziły u siebie wielkie manifestacje, które miały za pozór żałobne nabożeństwa na intencję poległych w Warszawie, lecz były w gruncie jawną protestacją patryotyzmu polskiego przeciw najazdowi moskiewskiemu. Wszędzie udział w tych manifestacjach był ogromny i wszędzie ludność, nie stawiając czynnego oporu władzom moskiewskim, z godnością i bezwarunkową otwartością manifestowała swe uczucia patryotyczne i swoją nienawiść do Moskali. Idąc widocznie za instrukcją przyslaną z Warszawy, Moskale i na prowincyi byli z początku tylko biernymi spektatorami tych manifestacji, a tylko w niektórych miejscowościach na Wołyniu i Litwie, jak w Żytomierzu, Wilnie i Grodnie, zaraz po pierwszych manifestacjach przystąpili do licznych aresztowań. Z miast manifestacje te, których charakter religijno-patryotyczny był sympatyczny dla mas, zaczęły się powoli przenosić do wsi, i można powiedzieć że w ciągu kilku tygodni ruch warszawski, nie znajdując żadnych przeszkód we władzach rosyjskich, ogarnął kraj cały. W myśli ludzi rozważnych i zdrowo myślących politycznie, ruch ten miał być na teraz zużytkowany dla uzyskania od Moskali jak największych koncesyi na rzecz samorządu kraju i jego

narodowości, lecz miano unikać jak najstaranniej tego wszystkiego coby miało cechę zbrojnego oporu, gdyż kraj do powstania nie był przygotowany, a przedczesny wybuch dał by tylko Moskalom łatwą zręczność poskromienia go i rozpoczęcia nowych prześladowań. Towarzystwo rolnicze, koło Jurgensa i wszyscy ludzie poważni, starali się więc o rozpowszechnienie ruchu Warszawskiego po całym kraju, ale jednocześnie zalecali, aby w żadnym razie nie przekraczać granic manifestacji patryotycznych, i na gwałty, a nawet na strzały, odpowiadać tak jak w Warszawie patryotyczną pieśnią i modlitwą, które wystarczały na to aby udowodnić światu że Polska ze stanu swego nie jest zadowolniona, a stawiały Moskali w fatalnej konieczności mordowania bezbronnych i przyjęcia na siebie w obec Europy całej hańby i ohydy za podobne postępowanie, lub też usłuchania głosu całego narodu i zmienienia systematu rządów w Polsce. Gdyby utrzymanie przez czas dłuższy całego narodu na wysokości patryotyczno-religijnego zapału, gotowego na śmierć i męczeństwo, było rzeczą możliwą, nie ma wątpliwości że tego rodzaju bierny opór mógłby być uważany za doskonały środek zmuszenia Moskali do ustępstw. Na nieszczęście, naród każdy, a tem bardziej naród polski tak żywy, wrażliwy i pochopny do broni, może być tylko chwilę jedną w tak wysokim mistyczno-moralnym nastroju, po przejściu której namiętności się w nim obudzą i sprawią że, wbrew wszystkim i wszystkiemu, porwie się on do broni. Stało się tak i w Polsce, gdyż w czasie kiedy ludzie rozważni pracowali nad rozszerzeniem agitacji biernej, patryotyczno-religijnej w całym kraju, i nakazywali aby wszyscy Polacy przywdzieli żałobę, mającą służyć za ciągłą widomą oznakę żalu ich po stracie Ojczyzny niepodległej, stronnictwo rewolucyjne skorzystało z wypadków na to, aby szerzyć po całej Polsce konspirację, mającą na celu zbrojne powstanie. Że ogólne rozgorączkowanie mas manifestacjami nie mogło jak rozbudzić ich wyobraźnię i usposobić do przychylnego dania posłuchu propagandzie rewolucyjnej, jest to rzeczą tak naturalną, że uważamy za zbyteczne dowodzenie jej. W Marcu więc już roku 1861 zaczęły się po znaczniejszych miastach na prowincyi tworzyć koła rewolucyjne, a choć z początku były one słabe liczbą i pozbawione wszelkiej organizacji, służyły

jednak za potężny środek do podniesienia znaczenia i wpływu stronnictwa rewolucyjnego w Warszawie, i do poparcia go w jego walce ze stronnictwem umiarkowanym.

Powiedzieliśmy już wyżej, że z dwóch projektów adresu do cara jeden, nie wyrażał żadnych wyraźnych żądań lecz, mając na myśli Polskę całą i niepodległą wraz z Litwą i Rusią, ograniczał się na wyliczeniu potrzeb kraju i jego cierpień pod rządem moskiewskim; wówczas gdy drugi stawiał wyraźne żądanie nadania Polsce zmodyfikowanych i zredukowanych swobód zawartych w konstytucyi z przed roku 1830. Wiemy już także że pierwszy adres, którego autorem był Ed. Stawiski, został przyjęty i wysłany do Petersburga. W końcu Marca w odpowiedzi na ten adres przysłała z Petersburga nominacja Wielopolskiego na naczelnika komisji (ministra) spraw wewnętrznych i duchownych Królestwa polskiego, wraz z rozkazem rozwiązania Towarzystwa rolniczego. Jednocześnie z odpowiedzią tą, będącą wyraźnem potępieniem najsympatyczniejszych krajowi przekonań i nadziei, Moskale sprowadzili do Kongresówki i do Warszawy bardzo znaczne siły wojskowe i zaczęli sami rozpuszczać pogłoski, że najmniejsza manifestacya pociągnie za sobą represyę, w porównaniu z którą lutowe wypadki będą mogły być uważane za dziecinną igraszkę. Już od końca Marca, to jest od czasu jak wojska zaczęły przychodzić do Warszawy, moskale wychodzili powoli z dotychczasowej swej bierności i zaczęli aresztować po ulicach ludzi za noszenie żałoby i innych oznak patryotycznych, które kraj cały przywdział z niemem przyzwoleniem rządu. Szykany te nie miały same przez się wielkiej doniosłości, lecz przyczyniły się one nie mało do rozdrażnienia ludu i do rozdmuchania w nim namiętności i można powiedzieć, popchnęły go do nowej manifestacyi, której powodem było rozwiązanie Towarzystwa rolniczego ogłoszone dnia 6. Kwietnia. Od rana 8. Kwietnia tłumy nieprzebrane ludu zaległy ulice Warszawy, dążąc w największym spokoju i porządku przed gmach Towarzystwa rolniczego i przed mieszkanie prezesa jego Zamojskiego dla wyrażenia mu uznania i sympatyi dla instytucyi której on przewodniczył, a która świeżo padła ofiarą samowoli moskiewskiej. Po mowie Zamojskiego, w której wzywał lud do rozejścia się do domów i do spokojnego zachowania

się, i po kilku innych przemówieniach tchnących najżywszym patryotyzmem, lud podążył przez główne ulice miasta do katedry, ale w drodze bez poprzedniego zawezwania do rozejścia się, wojsko moskiewskie dało po kilkakrotnie ognia do tłumów, kawaleria przypuściła szarżę, i przez parę następných godzin kolbowano, tratowano końmi i więziono kogo napotkano na drodze. Więcej jak stukilkudziesięciu ludzi zostało zabitych i rannych na ulicach Warszawy, a blisko tysiąc jeńców uprowadzono do cytadeli. Krwawa ta repressya i rozwiązanie Towarzystwa rolniczego, które miały miejsce, zaraz w pierwszych dniach objęcia władzy przez Wielopolskiego, którego opinia publiczna nie bez podstawy uważała za głównego autora obydwóch tych środków repressyi, wywołały powszechne oburzenie przeciw Wielopolskiemu. Imię jego stało się od razu równie niezawistne jak imiona najbardziej nienawidzonych odstępców sprawy narodowej i słuźalców moskiewskich; a wobec tego powszechnego potępienia, nawet mała liczba ludzi zapatrujących się na rzeczy zimno i trzeźwo i pragnących aby naród zaprzestał manifestacyi a korzystał bodaj z małych koncesyi, jakie Wielopolski od Moskali uzyskał, musiała zamilknąć. Wielopolski od pierwszego wystąpienia swego w karyerze urzędowej rzucił rękawicę opinii publicznej i uniemożliwił poparcie go przez ludzi najbardziej umiarkowanych i konserwatywnych, jeżeli nie byli oni jawnymi odstępcami, lub przynajmniej zupełnie obojętnymi patryotami. Otoczył się on samymi biurokratami nie mającymi żadnych przekonań i pogardzanymi przez wszystkich, lecz kto tylko się miał za dobrego Polaka, strocił od niego bezwarunkowo.

Obejmując władzę w podobnych warunkach, które on sam sobie stworzył, Wielopolski uniemożliwił tem samem powodzenie zadania które sobie zakreślił i z góry zwiczną całą swą karierę polityczną. Pozbawiwszy się przez rozwiązanie Towarzystwa rolniczego możności uzyskania poparcia całego żywiołu konserwatywnego, który nie omieszkałby go poprzeć gdyby towarzystwo nie zostało rozwiązane, Wielopolski skazał się niejako na samotne szamotanie się w walce z partją ruchu i w walce tej roznamiętnił się aż do śmiejszności i zużył się nic nie zdziaławszy. Ten pierwszy błąd Wielopolskiego, był punktem wyjścia wszystkich następných

i spowodował je, dla tego też uważaliśmy za konieczne zatrzymać na nim trochę dłużej uwagę czytelnika.

Krwawe stłumienie manifestacyi 8 Kwietnia, rozwiązanie Delegacyi i cały szereg policyjnych bardzo surowych rozporządzeń, które Moskale wydali, nie przyczynił się jednak bynajmniej do powściągnięcia agitacyi, lecz wpłynął tylko na zmianę jej charakteru. W obec rozwoju znacznych sił moskiewskich i ciągłych aresztowań za lada najmniejszym pozorem, uliczne manifestacye ustały na chwilę, lecz propaganda rewolucyjna szła tem żywiej i stronnictwo ruchu zaczęło się organizować.

Od Kwietnia do Sierpnia 1861 roku, żaden objaw jawny i głośny agitacyi, jaka stopniowo opanowywała umysły wszystkich warstw społecznych, nie miał miejsca w Polsce, a tylko ogólna żałoba narodowa i częste i liczne aresztowania dokonywane przez Moskali, świadczyły o niezwykłym stanie rzeczy w kraju.

Wielopolski o tym czasie uskutečnił kilka ważnych i korzystnych dla kraju reform, w liczbie których pierwsze miejsce zajmuje wprowadzenie języka polskiego do szkół administracyi, i usunięcie wszystkich urzędników Moskali i zastąpienie ich przez Polaków. Chociaż reformy te odpowiadały najzupełniej potrzebom i żądaniom kraju, zadowolnić go w zupełności nie mogły raz dla tego że społeczeństwo rozgorączkowane manifestacyami szło w swych żądaniach znacznie dalej, a powtóre dlatego że Wielopolski swoją arbitralnością, dumą i lekceważeniem wszystkich wywoływał powszechną niechęć i nienawiść.

Reformy te opinia publiczna przyjęła jako zadatek i początek ustępstw koniecznych ze strony Moskali, lecz nie wywołały one ani radości, ani nawet zadowolenia, gdyż naród pragnął i spodziewał się nie reform administracyjnych a niepodległości, do której były i są zawsze skierowane wszystkie jego dążności i usiłowania.

Reformy te więc opinia publiczna przyjęła raczej jako dowód słabości rządu moskiewskiego, z której należało korzystać dla uzyskania zupełnej niepodległości kraju, a wcale nie jako środek zaspokojenia żądań jego; umysły nietylko że się nie uspokoiły w skutek nich, lecz raczej jeszcze bardziej się rozgorączkowały.

O tym czasie, pod koniec Kwietnia, umarł Namiestnik Królestwa Polskiego książę Gorczakow, po śmierci którego nastąpiło w administracji moskiewskiej prawdziwe interregnum, które się przyczyniło do zupełnej dezorganizacji władz, równającej się anarchii. Rząd moskiewski, wahający się ciągle między chęcią uśmierzenia ruchu polskiego siłą oręża i gwałtem, od czego go powstrzymywały względy polityki zewnętrznej a mianowicie dążność do przymierza z Francją, a nadzieją zażegnania ruchu tego za pomocą połowicznych ustępstw na rzecz narowodości polskiej, zmieniał niemal co miesiąc system postępowania swego w Polsce. Chwiejnością tą podkopał ostatecznie powagę swoją i zniszczył jedyną podstawę, na której się w Polsce opiera, to jest, strach który obudza swoim okrucieństwem i barbarzyństwem. Masy przestały zupełnie bać się Moskali, nie przestając bynajmniej ich nienawidzić, a od podobnego usposobienia umysłów do zbrojnego powstania droga jest bardzo krótka.

Powiedzieliśmy wyżej, że powodem chwiejnego postępowania Moskali w Polsce były względy polityki zewnętrznej, lecz nie trzeba zapominać, że stan ówczesny umysłów w samej Rosji przyczynił się także niemało do odebrania rządowi moskiewskiemu jego tradycyjnej sprężystości i okrucieństwa. Klęski poniesione przez wojska rosyjskie w wojnie wschodniej, śmierć samobójcza Mikołaja i rozstrój całej machiny rządowej, jaki w skutek niej nastąpił, podkopał znacznie ów urok, jakim despotyzm carski był od wieków otoczony w przekonaniu ciemnych mas ludu moskiewskiego. Społeczeństwo moskiewskie, przyzwyczajone do ślepego posłuszeństwa dla cara, nie myślało i nie zastanawiało się nigdy nad potrzebami kraju, w oczach jego car był niemal bóstwem nieomylnem, Rosya panią świata całego, a wszyscy inni mocarze rodzajem wasalów cara, używających tylko tyle niepodległości, ile on im w łaskawości swej udzielić raczy. Preponderancya, jakiej Rosya przez cały ciąg panowania Mikołaja w Europie używała, uśmierzenie powstania węgierskiego i powodzenia w kilku innych wojnach, nie mogły jak tylko utrwalić lud moskiewski w tem przekonaniu, w którym go zresztą rząd starannie utrzymywał za pomocą rozmaitych środków, a szczególnie szyszmatyckiego duchowieństwa, które jest niczem innym jak potężnie zorganizowaną

policyą państwową, posłuszną bezwarunkowo rządowi. Przekonanie to o zależności wszystkich państw europejskich od Rosyi było tak powszechne u Moskali, że w języku potocznym i nawet urzędowym, używano wyrazu zbuntował się, mówiąc o mocarzu europejskim, który się ośmielił stać opór wszechwładnej woli cara. To też wojna Wschodnia uważaną była, w początkach swych, przez Moskali, jako rodzaj małej wyprawy którą car przedsięwziął w celu, nie tylko uwolnienia chrześcian, protegowanych przez niego, z niewoli tureckiej, ale także uśmierzenia zbutowanych Francuzów i Anglików, którzy ośmielili się powstać przeciw Rosyi. Ciemnota i fanatyzm ludu moskiewskiego utrzymywane starannie przez rząd za pośrednictwem hierarchii kościelnej czynią możliwe podobne niedorzeczności. Bądź co bądź, wojna ta była uważana przez Moskali za igraszke, pewność zaś zwycięstwa była tak wielką, że cytowano już ludzi przeznaczonych na urzęda gubernatorów w Stambule i innych wielkich miastach Turcyi, i zbierano składki na zakupienie obrazów do kościoła św. Zofii, z którego lada chwila zwycięskie wojska Rosyjskie miały zrzucić półksiężyc turecki, zastępując go trzyramiennym moskiewskim krzyżem. Ciągłe niepowodzenia w tej wojnie zakończone pokojem w skutek którego Rosya straciła kawałek terytorium swego i cały swój wpływ na Wschodzie, uderzały jak grom po gromie w społeczeństwo moskiewskie i w jego wiarę we wszechmocność i nieomylność swoich carów. Umysły żywsze zdobyły się na odwagę krytykowania dotychczasowego systematu rządu, zaczęto się zastanawiać nad przyczynami świeżych klęsk i znaleziono, że przyczyny te leżą jedynie w despotyzmie rządu i w systematycznym utrzymywaniu przezeń mas ludności w ciemnocie i fanatyzmie. Z wrażliwością właściwą wszystkim społeczeństwom niewolniczym, Moskałe wpadli z jednej ostateczności w drugą, i jak przed wojną wschodnią uważali kraj swój za ideał doskonałości a ślepe posłuszeństwo dla cara za najwyższą cnotę, tak po tej wojnie stało się modą, warunkiem dobrego tonu, znajdować wszystko dobre we Francyi i Anglii a wszystko złe i podłe we własnej ojczyźnie. W piśmiennictwie jawnem kierunek ten objawiał się dość ostrożnie, gdyż więzy cenzury nie pozwalały na otwarte wypowiedzenie go. O ile jednak

było to możliwe, krytyka Rosyi, jej rządu i dążności narodowych objawiała się w każdym dzienniku i książce wyszłej z pod prasy pomiędzy rokiem 1856 a 1862. Ale, jeżeli w druku krytyka ta była oględną i ostrożną, to za to w rękopiśmie stawała się ona gwałtowną, namiętną i dochodzącą do największych ostateczności, a tysiące piosnek, rozpraw i broszur rękopiśmiennych krążyć zaczęły po owym niezmiernym przestworze, który nazywa się Rosyą właściwą, a który stanowi jakby osobną część świata, zaludnioną przez ludy i plemiona najbardziej sprzeczne z sobą, które tylko żelazny despotyzm może utrzymać w pozornej jedności. Nowi ludzie którzy weszli do władzy z intronizacją Aleksandra, nie stawili z początku żadnych przeszkód temu kierunkowi krytycznemu a nawet podtrzymywali go tajemnie, gdyż radzi byli że ci, którzy byli ich poprzednikami, staną się przedmiotem ogólnego pośmiewiska i nienawiści. Byli oni pewni że w razie gdyby kierunek ten zaczął być niebezpiecznym, rząd zawsze znajdzie dość siły dla poskromienia go, tymczasem zaś, systematyczne poniewieranie panowania zmarłego cara zdawało się im być najlepszym środkiem zapewnienia popularności jego następcy. Wszystkie więc warstwy społeczne moskiewskie, nie wyłączając nawet sfer rządowych, zaczęły się bawić w liberalizm, a nadużycia władzy za czasów Mikołaja, przekupstwo i głupota jego zaufanych i szkodliwość systematu który on reprezentował, stały się nieuniknionym przedmiotem wszystkich rozmów w salonach petersburskich. Pewne, względne zwolnienie w despotyzmie, jakie w pierwszych latach panowania Aleksandra II. miało miejsce, tolerancja cenzury i nakoniec przykład najwyższych sfer towarzyskich w Petersburgu, nie mogły nie przyczynić się do rozwoju tego kierunku, który szerzył się najwięcej w wojsku pomiędzy młodymi oficerami, w młodzieży uniwersyteckiej i pomiędzy literatami. Że masa ludu moskiewskiego pozostała zupełnie obcą temu ruchowi umysłów, o tem mówić uważam za zbyteczne, gdyż każdy kto zna choć trochę właściwą Rosyę, wie dobrze że lud ten nie jest jeszcze zdolny do żadnego ruchu umysłowego, i że tylko gruby interes materyalny lub fanatyzm religijny, są w stanie wyprowadzić go chwilowo z jego apatii i popchnąć do najdzikszych ekscesów. To też masa ludu moskiewskiego pozostanie jeszcze wieki

całe ślepe narzędziem w rękę despotyzmu, który ma środki dogodzenia jego materyalnym interesom, a posłuszne i oddane mu duchowieństwo może w każdej chwili rozbudzić w nim fanatyzm religijny.

Chociaż ruch ten umysłów w Rosyi nie miał nigdy znaczenia ruchu narodowego mogącego, posłużyć za punkt wyjścia do odrodzenia się społeczeństwa, lub nawet pewnych zmian w jego organizacyi, była jednak chwila w której nosił on wszystkie pozorne cechy wielkiej doniosłości, i w której nie tylko cudzoziemcy, nie mający zwykle najmniejszego zmysłu do zrozumienia Rosyi, ale nawet sam rząd moskiewski uważał za zjawisko poważne i był nim zatrwożony.

Chwila ta trwała cały rok 1860 i 1861, a następujące okoliczności i wypadki przyczyniły się do nadania owemu powierzchownemu i całkiem sztucznemu ruchowi umysłów w Rosyi znaczenia większego niż on miał w rzeczywistości. Pierwszą z tych okoliczności był rozgłos jaki nadał temu ruchowi emigrant rosyjski Aleksander Hercen i współpracownik jego Bakunin, a drugą agitacya która zaczęła się objawiać między młodymi oficerami gwardyi i innych korpusów.

Aleksander Hercen należał do rzędu tych uczciwych i przekonanych marzycieli, których umysł absolutny i czysto teoretyczny idzie zawsze wprost do ostatecznych wyników, i doszedłszy raz do rezultatu który uważa za bezwzględnie prawdziwy, ani rozumie nawet że zastosowanie go w życiu musi ulegz modyfikacyom i przeszkodom czyniącym je na całe wieki, a często na zawsze, niemożliwym. Obdarzony niepospolitym talentem pisarskim, żywy, pełen wyobraźni i szlachetnych popędów, Hercen jeszcze przed rokiem 1848, za panowania Mikołaja musiał uciekać z Rosyi przed prześladowaniem jakie mu groziło w skutek kilku ulotnych wierszyków i rozpraw które puścił w obieg w rękopiśmie a w których wyśmiewał ówczesny system rządowy. Znalazłszy się we Francyi w czasie rewolucyi 1848 roku, przystał on całą duszą do stronictwa socjalistów, a przejąwszy się najzupełniej zasadami tej szkoły, w nich tylko widział jedyny środek zbawienia dla Rosyi i całej ludzkości. Odrzucenie zasad tych przez społeczeństwa zachodnie, krwawa represya za pośrednictwem której Francya republikańska stłumiła w dniach lipcowych powstanie socjalistów w Pa-

ryżu, wywołały w duszy młodego marzyciela moskiewskiego zupełne zwątpienie w możliwość zastosowania zasad socjalizmu na zachodzie i odtąd zaczął on uważać społeczeństwa europejskie za przeżyte i skazane na powolny rozkład, a w dziekiej, chaotycznej, niewolniczej, lecz według niego, młodej i pełnej żywotności moskiewskiej społeczności, ujrzał on ideał i ów kraj obiecany, w którym wszystkie marzenia i niedorzeczności Proudhon'a, Cabet'a i innych socjalistów dadzą się najłatwiej zastosować. Tęsknota za ojczyzną, boleść duszy młodej i szlachetnej nad stanem spodlenia w jakim ją utrzymywał despotyzm carski a nakoniec rozczarowania i zawody jakich on doznał w roku 1848 i 1849, dostatecznie tłómaczą jakim sposobem umysł tak niepospolity, jak Hercena, mógł dojść do podobnej niedorzeczności jak przypuszczenie, że ciemny i dziki chłop moskiewski, uważający cara za Boga, będzie zdolnym przyjąć i zrozumieć najsubtelniejsze fikcje socjalistyczne, i że stanowi on jedyny element odrodzenia się ludzkości. Po upadku rewolucyi 1848 roku Hercen osiadł w Londynie, a będąc bogatym, oddał się piśmiennictwu i wydał wiele dzieł dotyczących kwestyi społecznych w ogóle i Rosyi w szczególności. Dzieła swe, aż do roku 1856, pisał po większej części po francusku i niemiecku, gdyż wiedział dobrze że Rosya z czasów Mikołaja korzystałaby z nich nie mogła i nie chciała. Śmierć Mikołaja, zwolnienie ucisku w początkach panowania Aleksandra i rozbudzenie się w społeczeństwie moskiewskiem owego poczucia swej niższości i owego kierunku krytycznego, o którym mówiliśmy wyżej, podało Hercenowi myśl do założenia za granicą, w Londynie, moskiewskiego dziennika, któryby był wyrazem tego kierunku i któryby drukował wszystko to, co w Rosyi drukowaniem być nie mogło. Wziął się do wykonania swego projektu z zapałem i najzupełnijszem oddaniem się, a będąc sam pisarzem znakomitym, postawił rzeczywiście pismo swe, (noszące nazwę „Kołokoł“ czyli dzwon), w rzędzie najlepszych publikacyi tego rodzaju. Z początku pismo to nie dochodziło prawie do Rosyi, bo Hercen był osamotniony i z krajem swym stosunków nie miał, ale po kilku miesiącach istnienia, emigracya polska, widząc w nim dobry środek szerzenia agitacyi w Rosyi, przyszła Hercenowi w pomoc, i stosunkami i drogami, które miała oddawna, zaczęła roz-

powszechniać je między Moskalami. „Koło koło“ sprawił od razu nadzwyczajne wrażenie na Moskali; każdy numer jego był przepisywany na tysiące egzemplarzy i czytany z największym zapałem, a ponieważ pismo to zajmowało się głównie krytyką rządów Mikołaja i wykryciem nadużyć popełnianych przez ludzi, którzy pozostali jeszcze z tych czasów na najwyższych szczeblach hierarchii urzędniczej a których miejsce chcieli zająć urzędnicy młodszy, pismo Hercena znalazło początkowo nie tylko pewną tolerancję rządu, ale nawet tajemnych protektorów pomiędzy osobami najbliższymi cara stojącymi. Faktem to jest dowiedzionym że wiele szczegółów dotyczących nadużyć i kradzieży popełnianych przez dygnitarzy mikołajowskich przychodziło do Hercena z rozmaitych ministerstw z Petersburga i od ludzi u władzy stojących, a cały dwór carski, wszyscy dygnitarze i sam car nawet czytali „Koło koło“. Imię Hercena stało się więc głośne i popularne a pismo przezeń wydawane rodzajem wyroczni w której cała Rosya zaczęła czerpać mądrość polityczną i cnotę. Zachęcony tem powodzeniem i łudząc się niedorzecznym przypuszczeniem że car Aleksander, nauczony smutnem doświadczeniem ojca swego, zmieni zupełnie system rządu i da się powoli i bezwiednie wciągnąć na drogę ułatwiającą szerzenie się zasad socjalizmu wyznawanych przez Hercena, publicysta ten oszczędzał z początku w swem piśmie osobę cara i nawet lekko mu podchlebiał, nie przedstawiając gromić ojca jego i panowania ostatniego. Taktyka ta jeszcze bardziej ułatwiła wstęp pisma Hercena do Rosyi tak, że pomimo swej rewolucyjnej tendencji, zaczęło ono kursować po całym kraju a policya patrzyła na to przez szpary. Zjawisko to, rządu patrzącego spokojnie na szerzenie się propagandy rewolucyjnej a nawet protegującego cichaczem organ tej propagandy jest bez wątpienia szczególne i jedyne w swoim rodzaju, a możliwem ono jest tylko w Rosyi, gdzie opinii publicznej nie ma zupełnie, i której masa ludności sama nie myśli i przekonań nie ma, lecz wedle woli i kierunku rządu przyjmuje chwilowo te lub owe, najbardziej sprzeczne dążności. Rząd Aleksandra tolerował „Koło koło“, tak długo jak mu on był potrzebny dla ostatecznego spowolnienia panowania Mikołaja i zdobycia sobie popularności, ale skoro tylko spostrzegł się że moda liberalizmu

i agitacja szerzona przez to pismo zaczyna iść za daleko, że się znajdują ludzie oddający się jej na seryo, że sięga ona do wojska i staje się niebezpieczną, położył jej od razu tamę, a zobaczymy z dalszego opowiadania że w okrucieństwie repressyi i w nikczemności środków których dla niej użyto, rząd łagodnego Aleksandra zostawił po za sobą daleko okrutnego Mikołaja.

Popularność Hercena i bezkarność z jaką rząd moskiewski pozwalał na szerzenie się jego pisma sprawiły, że młodzi moskale wyjeżdżający za granicę zaczęli odwiedzać go w Londynie i wkrótce dom jego stał się rodzajem Mekki moskiewskiej, a moda tych odwiedzin tak powszechną, że Moskal przebywający za granicą wstydziłby się wrócić do kraju nie zobaczywszy Hercena. Większa część ludzi odwiedzających Hercena nie wynosiła z jego domu nic więcej jak zaspokojenie ciekawości, ale młodzież ulegała z konieczności wpływowi czarującego słowa i niezaprzeczonej wyższości umysłowej tego marzyciela. Zawiązały się więc między nim a młodzieżą uniwersytecką i wojskową stałe stosunki, które miały z początku na celu dostarczanie wiadomości z Rosyi do Kołokoła i zasilanie pisma tego artykułami, lecz które w następstwie stały się powoli zawiązkiem bardziej rozległych zamiarów. Hercen doszedł z natury rzeczy do przekonania się iż przypuszczenie że Aleksander II. da się użyć za narzędzie jego utopii było niedorzecznem, zaczął więc w piśmie swym napadać, już nie na Mikołaja, ale na system rządów carskich w ogóle, i wyraźnie oświadczył że Rosya powinna obalić carat przez rewolucyę i przystąpić do uorganizowania się na podstawach socyalizmu. Pierwsze wypadki Warszawskie przyjął on z najwyższą sympatyą i potępił najsurowiej mordy dokonane przez Moskali, zachęcając swych stronników aby Polakom dopomagali a korzystali z przyszłego powstania polskiego dla dokonania rewolucyi w samej Rosyi. Chociaż nie można powiedzieć aby głos Hercena miał wpływ przeważny, nie podobna jednak zaprzeczyć że miał on pewien skutek, a wypadek samobójstwa rotmistrza Korfa, o którym wspominaliśmy przy opowiadaniu manifestacyi grochowskiej, i kilku innych oficerów, którzy szpady swe łamali i głośno wypowiadali, iż uważają za hańbę mordować bezbronych, dowodzi że twierdzenie nasze nie jest

przesadzone. Bądź co bądź, wypadki te zatrwożyły rząd rosyjski niezmiernie, spostrzeżono się w Petersburgu, że posunięto za daleko modę liberalizmu i w chwili przestrachu, przypisywano tym sporadycznym zjawiskom w wojsku stokroć większą doniosłość niż one miały w rzeczywistości.

Doniosłości prawdziwej Hercenowska agitacya w wojsku nabrała dopiero w skutek wypadków warszawskich a to przez usiłowania oficerów Polaków, którzy, widząc że Polska dąży do powstania, przystąpili niemal wszyscy do ruchu narodowego i powzięli myśl ujęcia pod swój kierunek dotychczasowej, całkiem chaotycznej agitacyi, szerzonej przez Hercena między Moskalami i do użycia jej za środek zdeorganizowania armii moskiewskiej. Pod wpływem i z inicjatywy oficerów polaków, lecz bez ich udziału jawnego, zaczęły się więc po rozmaitych pułkach, a szczególnie w artyleryi i sztabie, tworzyć tajemne socyalistyczne koła złożone z oficerów moskali a mające na celu szerzenie w wojsku zasad propagowanych przez Hercena, a szczególnie myśli, że wojsko przeciw Polakom bić się nie powinno, lecz wzięwszy ich stronę, ma się uważać za wybór narodu rosyjskiego i samo wziąć inicjatywę zrzucenia jarzma despotyzmu i ustanowienia w Rosyi wolności i zasad socyalizmu. Wiadomo że zarówno ludzie pojedynczy jak i całe społeczeństwa, które długie lata były w ucisku, przy lada zwolnieniu tego ostatniego, rzucają się ślepo do najbardziej krańcowych zasad i z łatwowiernością niemal dziecięcą, przyjmują wszystkie najniedorzeczniejsze marzenia za wyraz największej mądrości. To samo stało się z oficerami rosyjskimi: przyzwyczajeni do żelaznej dyscypliny i dzikiego despotyzmu Mikołaja, byli oni przez cały ciąg panowania tego ostatniego najwierniejszymi narzędziami jego woli i nawet nie myśleli o czem innem jak o tem co im władza kazała. Lecz skoro dyscyplina mikołajowska i cała jego organizacya wojskowa rozbiła się pod Sewastopolem a całe społeczeństwo weszło na drogę krytykowania rządów Mikołaja i jego organizacyi wojskowej, oficerowie poszli najdalej na tej drodze i z ich to grona wyszli jedyni agitatorowie na seryo, którzy nawet życiem przypłacili swoje przekonania. Rozumie się, że to co wyżej powiedzieliśmy stosuje się wyłącznie do oficerów pochodzenia rosyjskiego, gdyż Polak w wojsku nie przestaje być Polakiem,

służy on bo jest zmuszony do tego, lecz myśli i czuje tak jak naród jego, uważa się zawsze za obcego w armii, cieszy się z jej niepowodzeń, i ma zawsze na myśli niepodległość Polski a jest zupełnie obojętny, jeżeli nie przeciwny zasadniczo, wszelkim socjalistycznym i rewolucyjnym mrzonkom, do których Rosyanin ma szczególną predylekcyę. Wyłącznym celem dla Polaka jest niepodległość jego kraju, a rewolucya tylko środkiem do niej, wówczas gdy Moskal który zacznie myśleć i przestanie być ślepelem narzędziem despotyzmu, dąży do rewolucyi jako celu, nie zdaje sobie nawet sprawy z jej skutków, bo mu wystarcza już to samo że zmieni ona stan obecny, w którym widzi poniżenie godności ludzkiej. Prawda że rewolucyonista rosyjski jest zjawiskiem nadzwyczaj rzadkiem, bo masa społeczeństwa rosyjskiego, podobnie jak Turcy i inne wschodnie narody, uważa niewolnicze posłuszeństwo za najwyższą cnotę, ale z drugiej znów strony, niezaprzeczoną jest rzeczą że Moskal, który zejdzie raz z drogi bierności niewolnika, wyprzedza od razu w swych dążnościach rewolucyjno-destrukcyjnych wszystkich Maratów, Robespierów i innych europejskich dezorganizatorów społecznych. W ostatecznym wyniku Polak jest konserwatystą dążącym do wskrzeszenia organizmu państwowego, który jest jego ideałem, wówczas gdy Moskal pragnie chaosu i destrukcyi wszelkiej organizacyi społecznej, zastępując ją mrzonkami w które sam nie wierzy. Cała literatura rewolucyjna tych dwóch narodów i historia tych spisków dowodzi najlepiej jak kardynalna jest między nimi różnica, a przepaść jaka rozdziela ich jest powodem, że nawet między ich rewolucyjnymi stronnictwami przymierza stałego być nie może, lecz tylko chwilowe i to bardzo krótkie zawieszenie broni.

Doprowadziwszy opowiadanie nasze o ruchu moskiewskim do chwili, w której zaczęły się tworzyć w wojsku tajemne koła, wrócimy do przerwane go biegu wypadków w Polsce z tem zastrzeżeniem, że zajmujemy się dalszymi losami agitacyi Rosyjskiej, w dalszem następstwie opowiadania naszego.

* * *

Po śmierci Górczakowa rząd moskiewski, nie mianując stałego Namiestnika dla Królestwa polskiego, powierzył tymczasową władzę zgrzybiałemu generałowi Suchozanet'owi

który piastował ją tylko parę miesięcy, a niędolnością swoją i ograniczonością umysłu dochodzącą aż do śmieszności przyczynił się jeszcze bardziej do zupełnego zniszczenia wszelkiej powagi rządowej.

W historii rozwoju organizacji rewolucyjnej w Polsce, peryod czasu, od Maja do Października roku 1861 jest bardzo ważny, gdyż aresztowania i prześladowania dokonywane przez Moskali na ludziach, których podejrzywali oni o należenie do partii ruchu, zmusiły wielką ilość najgorętszej młodzieży do ucieczki z Warszawy i do rozpierchnięcia się po całym kraju, gdzie przyjmowani byli, jako ofiary despotyzmu moskiewskiego z największą sympatją i gdzie szerzyli z nadzwyczajną energią i poświęceniem propagandę rewolucyjną. Wpływ młodzieży tej, która z konieczności musiała przyjąć na siebie rolę emissaryuszów rewolucyjnych na kraj cały, stawał się z dniem każdym silniejszym, a będąc oderwani od wszelkich zajęć i zagrożeni lada chwila aresztowaniem i wygnaniem na Sybir, nie zastanawiali się nad tem, co czynią, lecz z gorączkowym entuzjazmem popychali kraj do powstania. Ilość młodych ludzi, którzy uciekli z Warszawy i rozpierchli się po kraju, nie da się ściśle oznaczyć, nie ma jednak wątpliwości że przechodziła ona liczbę paru tysięcy, a jak wielką była dla nich sympatya powszechna i jak ogólne postanowienie patryotyczne ludności, to najlepiej dowodzi fakt, że owe pare tysięcy ludzi zdołało przez więcej jak rok cały ukryć się w kraju pod przybranemi nazwiskami, i że pomimo poszukiwań policyi i surowych kar jakie groziły za ich przechowywanie, niemal żadnego z nich Moskale ująć nie zdołali.

Ciągłe stosunki jakie ci młodzi ludzie utrzymywali z Warszawą, sprawozdania ich o spólczeniu ogólnem na prowincyi dla nich i dla dążności które oni wyznawali, i nakoniec przesadzone wystawienie kraju całego jako przygotowanego zupełnie pod względem moralnym do powstania, podniosło znacznie w przywódcach stronnictwa rewolucyjnego w Warszawie przekonanie o ich sile, i podało im myśl do bardziej stanowczego działania.

Od Maja do Sierpnia 1861 roku w ziemiach polskich pod zaborem moskiewskim było stosunkowo spokojnie, to jest żadna manifestacya, ani też starcie z wojskiem nie miało

miejsca, ale każdy kto umiał patrzeć, nie mógł nie widzieć że spokój ten był tylko pozornym, i że ruch, który objął wszystkie umysły, koncentrował się tylko sam w sobie, lecz wkrótce wystąpi znów na jaw, i to z tem większą gwałtownością i siłą. Na czele rządu moskiewskiego stał wówczas niedołączny i w najwyższym stopniu ograniczony generał Suchozanet, który zastąpił zmarłego Gorczakowa, ale właściwym kierownikiem wszystkiego był Wielopolski, który zarówno przewagą swych zdolności, jak i siłą charakteru imponował Moskalom niepospolicie, i pozyskiwał z dniem każdym więcej wpływu i znaczenia. Wiadomą jest dziś rzeczą, że w owych czasach, zarówno w sferach rządu moskiewskiego jak i francuskiego, dążono do zawarcia ścisłego przymierza między temi dwoma krajami, i że w gabinetach paryskim i petersburskim budowano na tem przymierzu rozległe plany przeobrażenia Europy. Przymierzu temu i planom będącym z niem w związku ruch polski stanął w poprzek, a ponieważ ruch ten był we Francyi nader popularnym i miał za sobą powszechną sympatyę, dano więc z Paryża wyraźnie do zrozumienia rządowi rosyjskiemu, że, tak długo jak Polska nie zostanie w żądaniach swych zaspokojoną, rząd napoleoński nie będzie mógł przystąpić do zamierzonego przymierza. Z tego to powodu, po chwilowej represyi, Moskale znowu zwolnili w ucisku, a w Wielopolskim widzieć zaczęli jedyne go człowieka mogącego przeprowadzić uspokojenie Polski bez zbyt wielkich ofiar, i utworzyć stronictwo przyjazne związkowi tego kraju z Rosyą. Z charakterystyki Wielopolskiego jaką daliśmy wyżej, zarówno jak i z dalszego postępowania jego, łatwo się przekonamy jak dalece rachuba ta była mylną, gdyż Wielopolski do niczego mniej nie był zdolnym jak do stworzenia stronictwa, a zachowaniem się swym gwałtownym, arbitralnym i dumnym odepchnął od siebie nawet tych którzy podzielali jego zasady i cele.

W tym okresie czasu, Wielopolski dokonał jednak dwóch rzeczy za które mu się należy uznanie kraju, a mianowicie: oddalenia wszystkich urzędników Moskali i zastąpienia ich przez Polaków, i wprowadzenia języka polskiego do wszystkich szkół i urzędów w Królestwie kongresowem. Dwie te reformy przedsięwzięte w innych czasach, byłyby

niezawodnie na długo uśmierzyły niechęć Polaków do rządu i wywarłyby wpływ nader uspakajający na umysły. Lecz w chwili kiedy je wykonano, przeszły one prawie niepostrzeżone, gdyż żądania i nadzieje narodu były tak wygórowane że zadowolnić one ich rzeczywiście nie były w stanie.

Po pięciomiesięcznej pozornej ciszy, w początkach października miała miejsce jedna z najdonioślejszych manifestacji, to jest obchód pięciosetletni unii Litwy z Polską, dla którego wybrano miasteczko Horodło, położone w Lubelskiem na granicy Wołynia, dla tego że w tem mianowicie miasteczku zawartą została pierwsza unia polsko-litewska w początkach XV. wieku.

Obchód ten odbył się w sposób nader imponujący, bo do kilkunastu tysięcy ludzi przybyłych z najdalszych krańców dawnej Polski i Litwy wzięło w nim udział, a po odbyciu solennego nabożeństwa, wysłuchaniu kilku mów i spisaniu aktu uroczystego w którym reprezentanci wszystkich dzielnic dawnej Polski złożyli protest przeciw gwałtownemu rozbiorowi ich kraju i oświadczyli że trwają i trwać zawsze będą przy unii dobrowolnie zawartej przed 5. wiekami, rozjechali się do domów, nie doświadczywszy ze strony władz moskiewskich żadnych prześladowań. Wojsko moskiewskie licznie zgromadzone na polu gdzie się uroczystość odbywała, było niemym świadkiem tego co się działo, a dowodzący nim generał Chruszczew kazał tylko działa ustawić na pozycyi i wykierować je przeciw tłumom, oświadczając że w razie napadu każe strzelać, ale sam kroku zaczepnego nie zrobi. Bliskość wojska i dział wymierzonych na uczestników tej manifestacji dodała jeszcze więcej powagi i uroczystości ogólnemu nastrojowi ducha, a dzięki taktownemu zachowaniu się stron obydwóch można było tym razem uniknąć krwi rozlewu.

Manifestacya Horodelska ma w rozwoju ruchu polskiego z roku 1861—1864 wyjątkową doniosłość, gdyż była ona pierwszym uroczystym świadectwem tego że cała Polska podziela i popiera to co się stało w Warszawie, i przyczyniła się stanowczo do rozniecienia agitacyi na całym obszarze dawnych Ziem polskich, tak dalece że nawet za Dnieprem, w Inflantach i w pobliżu Smoleńska, zaczęły się objawiać odgłosy patryotyzmu Polskiego. Pod względem poli-

tycznym znaczenie tej manifestacji jest dla tego tak wielkim, że była ona niejako dopełnieniem, a raczej jaśniejszym określeniem dążności wyrażonych może nie dość stanowczo w manifestacjach Warszawskich, gdyż wówczas gdy te ostatnie były tylko ogólnikową protestacją przeciw panowaniu Moskali w Polsce, obchód Horodelski postawił jawnie i wyraźnie program dążności całego narodu do Polski wolnej i niepodległej w granicach z roku 1771 — z drugiej znów strony, manifestacja ta dowiodła moskiewskiemu rządowi że ruchu polskiego ustępstwami na rzecz autonomii samego Królestwa kongresowego uspokoić już nie można, i że w obec tego co się działo, nic mu nie pozostawało do czynienia jak ustąpić dobrowolnie ze wszystkich prowincji polskich i zgodzić się na ich niepodległość, lub też stłumić ruch ten we krwi, i rządzić jak dotąd wyłącznie za pomocą siły i gwałtu. Zarówno więc Polacy jak i Moskale zrozumieli po manifestacji horodelskiej że rozstrzygnięcie kwestyi zależy jedynie od oręża i obie strony od tej chwili zaczęły się stanowczo gotować do tej ewentualności. Chociaż rząd moskiewski ze względów polityki zewnętrznej próbował jeszcze po dwa razy czy mu się nie uda ruch polski utrzymać w granicach Królestwa kongresowego i gotów był dla tej części Polski dać znaczne autonomiczne ustępstwa, lecz w gruncie rzeczy był przekonany że ustępstwa te do niczego nie doprowadzą, gdyż idea zjednoczenia Litwy, Wołynia i Ukrainy z Polską stała się nienaruszalnym dogmatem narodowym, a Rosya, jeżeli w pewnych ewentualnościach i warunkach gotowa zgodzić się na ustępstwa dla Kongresówki, to prowincye wyżej wymienione uważa za główną podstawę swego znaczenia w Europie i swej potęgi, i chyba po największych klęskach na polu bitwy zwolni je z pod władzy swej. Litwa, Wołyń i Ukraina są podstawą i kluczem potęgi Moskiewskiej, a ten kto je zdobędzie będzie mógł carowi dyktować takie warunki pokoju jakie mu się podoba. Mężowie stanu Moskiewscy zarówno jak i wojskowi dobrze to rozumieją, i dla tego to Rosya robi szalone wysilenia w celu wytopienia narodowości i ducha polskiego w tych prowincjach, wówczas gdy w Kongresówce postępuje znacznie łagodniej, i dla tego wznosi liczne fortyfikacye i koncentruje największą część swych sił na Litwie, Wołyniu i Ukrainie.

Po manifestacji horodelskiej, której inicjatywę i urządzenie przypisać głównie należy młodzieży Warszawskiej, rozpierzchnęła się po kraju w skutek aresztowań dokonywanych przez Moskali w Warszawie po 8. Kwietnia, ruch na prowincyi rozwinął się do ogromnych rozmiarów, a ponieważ i represya jego była znacznie trudniejszą z powodu łatwości z jaką główni agitatorowie mogli znaleźć schronienie na ogromnej przestrzeni kraju, rósł on i organizował się daleko łatwiej niż w stolicy, gdzie czujność policyi była większa, a ukrycie się trudniejsze. Każdy więc kto był zagrożony w Warszawie, wyjeżdżał na prowincję i tonął dla władz moskiewskich na ogromnym obszarze między Wisłą, Dnieprem i Dźwiną, a znajdując u mieszkańców poparcie, sympatyę i ukrycie, pracował gorliwie nad szerzeniem agitacyi. Powoli między Warszawą a krajem całym ustaliła się najzupełniejsza solidarność działania i stałe stosunki, a nastrój umysłów na prowincyi stał się niemal bardziej egzaltowany i pochopny do broni niż w samej stolicy.

W połowie Września 1861 roku, rząd rosyjski za radą gabinetu paryskiego, który naglił o uspokojenie Polski, przysłał z Petersburga do Warszawy nowego Namiestnika dla Kongresówki w osobie generała hrabiego Lamberta, Francuza z pochodzenia i człowieka oświeconego i łagodnego. Lambert przybył z instrukcją powodowania się radami Wielopolskiego i starania się o uspokojenie umysłów drogą autonomicznych koncesyi na rzecz Kongresówki, lecz, jak się później okazało, rząd nie miał do Lamberta zupełnego zaufania, posądzając go iż, jako Francuz, może zanadto sprzyjać Polakom i dla tego przydał mu do boku generała Gerstenzweiga, któremu powierzył naczelne dowództwo wojsk stojących w Kongresówce, a zarazem zaopatrzył go w tajemną instrukcję pozwalającą mu kontrolowanie czynności Lamberta, a w razie ostatecznym, upoważniającą go do usunięcia tego ostatniego od władzy (?) Dualizm ten władzy i wzajemna nieufność i rywalizacya sparaliżowały w samym początku powodzenie misyi Lamberta i zakończyły się straszną katastrofą którą poniżej opowiemy. Na usposobienia kraju przybycie Lamberta i jego kilkotygodniowe rządy łagodne, nie wywarły żadnego wrażenia gdyż, jak to już wyżej powiedzieliśmy, żądania narodu były zanadto wygórowane, aby

można je było zadowolnić autonomicznemi koncesjami. W Październiku umarł Arcybiskup Warszawski Fijałkowski, mąż ogólnie szanowany za charakter swój nieposzlakowany i gorliwy patryotyzm, którego dał dowód popierając ruch narodowy od samego początku i zaleciwszy duchowieństwu aby stanęło po jego stronie. Sympatya dla Fijałkowskiego była tak ogólną że nawet żydzi poważali go i szanowali, a kiedy robiono przygotowanie do jego pogrzebu, przysłali rabinów swych w deputacyi, żądając aby im pozwolono in corpore wystąpić przy tej uroczystości. W ogóle należy tu powiedzieć że żydzi licznie zamieszkujący Polskę, w całym ruchu 1861—1864 roku stali po stronie narodowej i znaczna ich liczba dała dowody swego patryotyzmu, ginąc na placu boju lub idąc na syberyjskie wygnanie. Zjawisko to całkiem nowe w dziejach polskich, gdyż dotąd żydzi zwykle trzymali z silniejszym, a wytlómaczyć je można tem, że ruch 1861—1864 roku nosił na sobie cechę bardziej demokratyczną niż poprzednie, i że z samego początku kierownicy ruchu tego postawili równouprawnienie wszystkich stanów, a tem samem i żydów, jako jeden z głównych punktów programu narodowego.

Ale wróćmy do opowiadania naszego. Pogrzeb człowieka tak popularnego jak Fijałkowski nie mógł, przy rozgorączkowanem usposobieniu narodu obejść się bez patryotycznej manifestacyi. Moskale spodziewali się tego i z góry przygotowali środki represyi, których Lambert użyć nie chciał, lecz które mu Gerstenzweig narzucił, a kierownicy ruchu dokładali wszelkich starań aby zamierzonej manifestacyi nadać jak największą doniosłość i zgromadzić na nią największą ilość ludzi. Przez młodzież przebywającą w kraju i przez umyślnych wysłańców, wezwano więc na pogrzeb arcybiskupa reprezentantów wszystkich Województw; a zarazem postanowiono połączyć z tym pogrzebem pamiątkowe nabożeństwo ku czci Kościuszki, Lelewela i Mickiewicza.

W dzień pogrzebu, do Warszawy przybyło z prowincyi kilkanaście tysięcy ludzi, a między nimi znaczna liczba chłopów; którzy dotąd nie brali bezpośredniego udziału w ruchu a teraz po raz pierwszy jawnie po jego stanęli stronie. Przybycie chłopów wywołało najwyższy zapał, gdyż było ono jawnym dowodem że agitacya patryotyczna sięgnęła głębiej

niż się spodziewano, i że nawet masy ludu wiejskiego, tak zwykle trudne do poruszenia przeciw faktycznie istniejącej władzy, dały się w nią wciągnąć. W dzień pogrzebu nieprzebrane tłumy ludu wszelkich stanów i wyznań zgromadziły się w katedrze i w wzorowym porządku odprowadziły na cmentarz zwłoki zmarłego Arcybiskupa, czemu wojsko moskiewskie przyglądało się nie czyniąc żadnych przeszkód. W kilka dni, 15. Października, we wszystkich kościołach miało się odbyć zapowiedziane nabożeństwo za Kościuszkę, a kiedy tłumy zebrały się na nie w świątyniach, Moskale z rozkazu Gerstenzweiga otoczyli je wojskiem i zaczęli chwycić wszystkich wychodzących. Kiedy wiadomość o tem, co się dzieje z chcącymi wychodzić z kościołów, doszła do tych którzy byli w ich wnętrzu, postanowiono wszędzie pozostać w świątyniach na modlitwie, oczekując chwili odejścia wojska. Widząc że nikt na ulicę nie wychodzi, Gerstenzweig kazał wy kierować nabite działa na drzwi kościołów i zaważwał do opuszczenia świątyń. Oczywiście że wezwanie to pozostało bez skutku, i znaczna część ludności Warszawskiej znalazła się pośród nocy obleżoną w kościołach przez wojsko. Obleżenie to trwało aż do drugiej po północy, a o tej godzinie rozkazał Gerstenzweig odbić drzwi do katedry i wprowadził piechotę i kozaków do świątyni, rozkazując bić nahajkami, kolbować i więzić bez wyboru każdego. Żołdactwo pijane wpadło więc do katedry dokonywując najokropniejszych nadużyć i gwałtów na dzieciach, kobietach i starcach, a chociaż niby zakazano było używać broni, krew się nawet polała, a uprowadzono do więzienia do cytadeli więcej jak trzy tysięcy osób, bez różnicy płci i wieku. Jednocześnie na ulicach bito i chwymano każdego kto się nawinał.

Nazajutrz ogłoszono w Warszawie i w całym kraju wyjątkowo ostre przepisy stanu obleżenia, i jednocześnie rozeszła się pogłoska tajemnicza że generał Gerstenzweig sam się zastrzelił, a namiestnik hrabia Lambert dostał gwałtownego krwotoku z piersi i złożył urząd swój, prosząc cesarza o pozwolenie natychmiastowego wyjazdu za granicę dla poratowania zdrowia. Obydwie te pogłoski, którym z początku nie dawano wiary, okazały się zupełnie prawdziwymi, lecz przyczyna samobójstwa Gerstenzweiga i choroby Lamberta dopiero później się wyjaśniła. Przyczyna zaś ta

leżała w następującej okoliczności: Powiedzieliśmy że Lambert nie chciał dopuścić szturmowi na kościoły i że uległ żądaniu Gerstenzweiga dopiero w ostatniej chwili, kiedy mu ten ostatni pokazał tajemne pełnomocnictwa które posiadał. Kiedy po szturmie na kościoły i gwałtach jakie przy tem miały miejsce, Gerstenzweig przybył do rezydencji Namiestnika, gdzie się odbywała wielka rada wojenna, Lambert wystąpił w obecności wszystkich zgromadzonych generałów z gwałtownem oskarżeniem Gerstenzweiga o intrygowanie przeciw niemu w Petersburgu, i w uniesieniu powiedział, iż rola jaką on na siebie przyjął jest rolą prostego szpiega, niegodną uczciwego człowieka i żołnierza. Na tę obelgę Gerstenzweig podobno odpowiedział policzkiem, poczem obecni generałowie rozłączyli przeciwników i zdecydowali że rzecz ta musi się skończyć natychmiastowym pojedynkiem, w którym jeden z zapaśników musi śmierć ponieść. Obrani sekundanci (generałowie Chrulew i Minkwitz) postanowili, że pojedynek ma się odbyć na sposób amerykański, to jest że pozostawią losowi, który z przeciwników ma sobie w łeb wypalić. Rzucono więc losy i w pół godziny potem Gerstenzweig odebrał sobie życie, a Lambertowi nie pozostało jak usunąć się z widowni publicznej i pod pozorem choroby wyjechać za granicę, co też niezwłocznie wykonał. Zajścia tego rodzaju między najwyższymi przedstawicielami władzy moskiewskiej nie mogły nie wpłynąć na jeszcze większą dezorganizację rządu i musiały podkopać powagę jego, nie tylko u Polaków, ale nawet u podwładnych mu organów, a w skutek tego i świeżo wydane rozporządzenie dotyczące stanu oblężenia wykonywało się nader słabo, a co ważniejsza, że między urzędnikami moskiewskimi zaczęły się pojawiać objawy sympatii dla ruchu, z których kierownicy agitacyi nie omieszkali skorzystać. Objawy te nie były wynikiem ani patriotyzmu, ani przekonania o słuszności sprawy polskiej, ale po prostu powstały ztąd, że widząc rozstrój sfer najwyższych rządu, podwładne organa jego straciły wien wiare, przestały się go bać i zaczęły myśleć o tem aby na wszelki wypadek zapewnić sobie względy strony przeciwnej. Sami więc urzędnicy rządu rosyjskiego zaczęli wchodzić w stosunki z kierownikami ruchu, ostrzegając o mających nastąpić aresztowaniach, ułatwiać ucieczki

z Warszawy i t. d., a widząc że im to bezkarnie uchodzi i że Polacy za każdą usługę oddaną dobrze płacą, zachęcili się tem tak dalece, że stale ruchowi służyli. Brnąc coraz dalej na tej drodze, urzędnicy moskiewscy a szczególnie w policyi, byli później tak zaplątani w sieć konspiracyjną, że bodaj z obawy kompromitacji własnej musieli wiele rzeczy tolerować, i powoli doszli do tego, że jednocześnie służyli rządowi moskiewskiemu i powstańczemu polskiemu i od obydwóch byli płatni, zdradzając zwykle tego kto mniej płacił. Tem tylko dwulicowem postępowaniem da się wytłómaczyć zjawisko tak dziwne i jedynie w historii jak istnienie dwuletnie tajnego rządu narodowego w Warszawie wraz ze wszystkimi ministerstwami, urzędowymi dziennikami i innymi atrybucyami regularnym przysługującemi rządowi. Rząd moskiewski dopiero pod koniec powstania spostrzegł się na tem i w ciągu jednego miesiąca cały personal policyi swej od razu zmienił, a można powiedzieć że od tej chwili i działalność rządu narodowego zaczęła słabnąć, iż doszło do jego wykrycia i ostatecznego rozbicia, o czem w swoim miejscu opowiemy.

Po śmierci Gerstenzweiga i wyjeździe Lamberta za granicę, rząd moskiewski oddał władzę namiestniczą w Polsce generałowi Lüdersowi, zalecając mu jak najsurowsze wykonywanie przepisów stanu obłężenia; komisya śledcza w cytadeli warszawskiej i w głównych miastach kraju zaczęła całemi secinami skazywać młodzież i kobiety na Sybir i do ciężkich robót, i wrócono znowu do systemu bezwzględ- nego ciemństwa. W obec tego Wielopolski nie mógł pozostać przy władzy i zaraz po przybyciu Lüdersa wziął dymisyę z posady ministra spraw wewnętrznych i duchownych i wyjechał do Petersburga, w Listopadzie 1861 roku.

Gwałty dokonane przez Moskali w kościołach i sprofanowanie ich przez rozlew krwi sprowadziły zamknięcie wszystkich świątyń warszawskich przez wyższą władzę duchowną, które to zamknięcie trwało aż do Marca roku następnego, to jest do przybycia nowego arcybiskupa, a przyczyniło się jeszcze bardziej do rozdrażnienia ludu przeciw Moskalom i do rozpowszechnienia już i tak ogólnej agitacyi patryotycznej.

Manifestacja 15. Października 1861 roku była ostatnią niezbrojną protestacją narodu polskiego przeciw uciskowi moskiewskiemu. Od tego czasu ruch narodowy daje tylko rzadkie zewnętrzne objawy a zaczyna się systematyczne jego organizowanie i wytwarzanie tych jego władz i organów, które następnie w powstaniu dały tyle dowodów energii, odwagi i niepospolitej zręczności, będącej przedmiotem podziwu zarówno przyjaciół jak i najzawziętszych przeciwników sprawy polskiej.

*

*

*

Prześladowania gwałtowne, jakie się zaczęły na całym obszarze Polski wykonywać pod zarządem Lüdersa, zmusiły wielką ilość młodzieży bardziej skompromitowanej do opuszczenia całkiem kraju i do wyniesienia się za granicę. Nowa ta emigracja koncentrowała się głównie w Paryżu, a już pod koniec roku 1861 liczba jej urosła do półtora tysiąca ludzi po większej części młodych, należących do rozmaitych stanów i warstw społecznych, przejętych najżywszem uczuciem patryotycznym i zapałem, którego dowody dali w ostatnich wypadkach krajowych. Każdy z nich opuszczał kraj z tem przekonaniem, że wróci doń bardzo rychło, aby walczyć z bronią w rękę za jego niepodległość, pobyt swój za granicą uważał tylko za chwilowy i myślał tylko o tem, aby wszelkimi środkami przyspieszyć pożądaną przez niego chwilę zbrojnego w Polsce powstania. Zetknięcie się tego nowego wychodźstwa z dawną emigracją z roku 1830 i 1848, która przez blisko lat czterdzieści kierowała wszystkimi konspiracjami w kraju i dla której walka o niepodległość jego była zawsze jedynym celem życia, musiało doprowadzić do jakiejś wspólnej zbiorowej pracy, mającej na widoku przyspieszenie urzeczywistnienia celu tego. Usiłowania tego rodzaju objawiły się w utworzeniu za granicą dwóch instytucji polskich, to jest Towarzystwa młodzieży polskiej w Paryżu i Szkoły wojskowej polskiej w Genui, o których tu obszerniej pomówić należy. Towarzystwo młodzieży w Paryżu, założone w Listopadzie 1861 roku, miało za zadanie utrzymywanie stałych i regularnych stosunków z kierownikami ruchu narodowego w kraju, i dopomaganie im wszelkimi środkami w przygotowaniu zbrojnego powstania. Przyjęto

więc sobie za obowiązek: zawiązanie stosunków ze wszystkimi stronnictwami i ludźmi politycznymi w Europie i staranie się o zainteresowanie ich sprawą polską, a jeżeli się da, wciągnięcie ich do wspólnego działania, oświecanie opinii publicznej w kierunku przychylnym Polsce i pozyskanie dla Polski dziennikarstwa, regularne dostarczanie kierownikom ruchu wiadomości politycznych mogących mieć bezpośredni wpływ na sprawę polską, i w ogóle załatwianie za granicą wszelkich mogących się wydarzyć poleceń i interesów politycznych. W gruncie rzeczy towarzystwo to było agenturą polityczną konspiracji polskiej za granicą, a działalność jego była bardzo różnaita, stosownie do potrzeb i okoliczności danej chwili. Działalność ta rozwijała się i wzrastała w miarę jak konspiracja w kraju rosła i nabierała organicznych sił, a pod koniec roku 1862, przed wybuchem powstania, Towarzystwo kupowało broń, wysyłało do kraju oficerów, a z łona jego kilku ludzi zajmowało najważniejsze posady w rządzie narodowym i na placu boju, jak n. p. Bobrowski, Padlewski i inni. Organizacja Towarzystwa była dość prosta, każdy Polak będący za granicą a mogący przedstawić dwóch poręczycieli jego patriotyzmu i prawości z pomiędzy członków Towarzystwa, mógł być doń przyjęty przez głosowanie powszechne, następnie składał przyrzeczenie, iż będzie posłusznym bezwarunkowo rozkazom komitetu dyrygującego towarzystwem i na jego żądanie spełni każde polecenie, nawet z narażeniem życia, a przy tem, każdy obowiązany był wnosić do kasy ogólnej pewien stały podatek, w stosunku do funduszu jaki posiadał.

Komitet dyrygujący składał się z trzech członków wybranych przez głosowanie, którzy mieli dyskrecyjonalną władzę i we wszystkich politycznych czynnościach tak z krajem jak z obcymi, upoważnieni byli działać samowładnie w imieniu towarzystwa, nie zdając nikomu z tego sprawy i zachowując, stosownie do swego uznania, tajemnicę przed samem towarzystwem. Z jednej więc strony było zupełne posłuszeństwo i zaufanie bez granic, a z drugiej władza nieograniczona niczem, oczywiście więc że w podobnych warunkach działanie było łatwe, tajemnica zapewniona, a sprężystość spełnienia każdego polecenia nic nie pozostawiała do życzenia. Wkrótce stosunki Towarzystwa rozwinęły się ogromnie za granicą,

trafiono rozmaitemi drogami do osób stojących na czele rządu we Francyi, Włoszech, Anglii, Szwecyi i Turcyi, zapewniono sobie poparcie najważniejszych organów prasy w tych krajach, zawarto przymierze ze wszystkimi rewolucyjnymi stronnictwami w Europie, tak że w chwili wybuchu powstania, nie było kraju, w którymby opinia publiczna nie oświadczyła się stanowczo za Polską, a wiadomo jak mało brakowało aby głos ten opinii nie pociągnął za sobą czynnego wdania się rządów w sprawę polską.

Mając zawsze na myśli niezbędność rychłego zbrojnego powstania w Polsce, a chcąc aby zanim ono nastąpi młodzież przebywająca za granicą mogła mieć możność ukształcenia się wojskowo, Towarzystwo młodzieży polskiej w Paryżu powzięło myśl założenia za granicą szkoły wojskowej mającej za zadanie przygotowanie oficerów dla powstania. Ponieważ pomiędzy wojskowymi należącymi do starej emigracji generał Mierosławski przekonaniami swojemi i temperamentem najbardziej odpowiadał ówczesnemu usposobieniu większości młodzieży, a przytem posiadał jako pisarz wojskowy niezaprzeczone talenta i autorytet, jemu więc postanowiono powierzyć naczelnictwo nad tą szkołą. Zachodziła jeszcze trudność pod względem wyboru miejsca w którym szkoła miała się znajdować, gdyż pomimo wszelkich starań, rząd Napoleński ze względu na stosunki przyjazne z Rosyą stanowczo odmówił pozwolenia założenia jej we Francyi. Udano się więc do rządu Włoskiego, który po świeżym zaborze Marchii, Umbryi, Neapolu i t. d. nie był jeszcze uznany przez Rosyę i inne wielkie Mocarstwa europejskie, i nie miał wcale potrzeby zachowywania pewnych dla nich względów.

Hrabia Cavour, z którym rozpoczęto traktowania, nie tylko że zezwolił na założenie szkoły, ale dał jej wszelkie poparcie, wyznaczwszy dla niej sto tysięcy franków subdyów i dom rządowy w Genui. Przebiegły i nieprzebierający w środkach Cavour rad był szczerze że będzie posiadał pod ręką ognisko rewolucyjne polskie, którem będzie mógł straszyć Rosyę i Austryę i wywierać niem, szczególnie na pierwsze mocarstwo, presyę w kwestyi uznania Królestwa Włoskiego i zaborów przezeń dokonanych, i nie omieszkał użyć tego środka z bardzo dobrym dla celów swoich skutkiem. Szkołę polską w Genui rząd Włoski popierał tak

długo jak się toczyły układy z Rosją o uznanie Włoch, a skoro układy te były bliskie celu, sam się oświadczył z gotowością rozwiązania jej, co też i nastąpiło we Wrześniu 1862 roku, w kilka miesięcy po śmierci Cavoura. Szkoła ta istniała więc niespełna rok jeden, przechodziła ona rozmaite wewnętrzne koleje w skutek nieporozumień jakie zaszły między uczniami jej i Mierosławskim, który musiał ustąpić miejsca Wysockiemu, a liczba uczniów którzy w niej zasiągnęli elementarnych wiadomości niezbędnych dla niższego oficera, wynosiła blisko czterysta. Wszyscy oni wzięli następnie czynny udział w powstaniu i oddali mu wielkie usługi, a wielu z pomiędzy nich należało potem do rzędu najdzielniejszych dowódców partyzanckich oddziałów. Z pomiędzy tych ostatnich należy wspomnieć: Kołyszkę i Wisłoucha na Litwie, i wielu innych. Że duch jaki panował w tej szkole był prawdziwie patriotyczny, najlepszy dowód tego mamy w tem, że zaledwie kilkunastu z uczniów jej zostało przy życiu a reszta albo zginęła na polu bitwy, albo poniosła śmierć z wyroku moskiewskich sądów, lub też poszła gnąć w podziemiach kopalń moskiewskich na Sybirze. Między profesorami szkoły wojskowej genueskiej wspomnieć należy Langiewicza późniejszego Dyktatora, Podlewskiego ex-kapitana artylerji rosyjskiej, a później jednego z najczynniejszych członków rządu narodowego i naczelnika powstania w województwie Płockiem i t. d.

Słowem, pomimo nader krótkiego istnienia swego, szkoła ta oddała niewątpliwie wielkie usługi powstaniu, czemu się zresztą dziwić nie należy, wzięwszy na uwagę że uczniowie jej byli prawie wszyscy ludźmi wykształconymi którzy odbyli poprzednio nauki uniwersyteckie, pracowali gorliwie i potrzebowali bardzo nie wiele czasu na to aby nabyć wiadomości niezbędnych dla partyzanckiego oficera piechoty lub kawaleryi.

Podczas gdy za granicą młoda emigracya organizowała się w ten sposób i starała się o ile to było możliwem w jej położeniu być pomocną ruchowi krajowemu, w Warszawie po ostatniej październikowej manifestacyi zaszły także wypadki ważne i stanowcze dla rozwoju ruchu. Dotąd, jak to wiadomo, z tego cośmy wyżej powiedzieli, organizacya ruchu nie była jeszcze ujęta w ścisłe formy; kilku ludzi używają-

cych poważania u młodzieży kierowało nią, można powiedzieć, po dyletancku, a chociaż głos i zdanie ich miały powagę i znajdowały posłuszeństwo, wszystko to było jednak dowolne i wcale wystarczyć nie mogło na chwilę obecną, kiedy agitacja objęła już kraj cały, i kiedy wszyscy domagać się zaczęli pracy systematycznej, karności ogólnej i działania bardziej stanowczego i porządnego. Liczny zjazd jaki nastąpił w Warszawie wskutek pogrzebu arcybiskupa Fijałkowskiego dał sposobność osobistego porozumienia się pomiędzy ludźmi należącymi do stronictwa ruchu a czującymi niezbędną potrzebę ściślejszej organizacyi i ustanowienia nad nią władzy stałej i określonej. Z porozumienia tego wypadło, że wszyscy i wszędzie potrzebę tę uznają, a że chodzi tylko o nakreślenie planu organizacyi i programu jej działania. Dla nakreślenia tego planu wybrano dziesięciu ludzi wypróbowanego patryotyzmu i siły charakteru, których upoważniono do skreślenia planu organizacyi, do wybrania naczelnnej władzy z grona swego, z tem że władza ta ma pozostać zupełnie tajemną, i do zajęcia się pierwszym przeprowadzeniem tego planu organizacyi w Warszawie. Taki jest początek sławnej organizacyi tajemnej polskiej i jej Komitetu Centralnego, który się następnie przekształcił w powstańczy Rząd Narodowy. Po paru tygodniach narad i pracy, owych dziesięciu wybranych wypracowali zamierzony plan organizacyi, której podstawy były następujące: Cała masa ludności sympatyzującej z ruchem i biorącej w nim udział, miała być podzielona na dziesiątki, na czele których stali dziesiątnicy mający czuwać nad nią, komunikować jej rozporządzenia i rozkazy władzy, pobierać podatki i t. d.

Dziesięć dziesiątek stanowiło setkę, której naczelnik był znany li tylko dziesięciu podwładnym mu dziesiątnikom i przez ich pośrednictwo znosił się i rządził setką. Dalej, dziesięć setek stanowiło tysiąc, którego naczelnik (tysięcznik) zostawał z podwładnymi mu setnikami w tym samym stosunku jak ci ostatni z podwładnymi im dziesiątnikami. Z tysięcznikami znoszono się przez specjalnie do tego upoważnionych przez komitet Centralny ludzi, a sam komitet pokryty był bezwarunkową tajemnicą i o składzie jego wiedziało tylko owych dziesięciu upoważnionych do jego usta-

nowienia, i ci których on sam uważał za właściwe przypuścić do tajemnicy. Droga hierarchiczną, wyżej wskazaną, komitet odbierać miał co tydzień dokładne sprawozdanie o stanie umysłów podwładnych mu, wiadomości o tem co się dzieje w sferach rządowych, i t. d. Pierwszą czynnością owych dziesięciu po przyjęciu ogólnych zasad organizacji było wybranie członków komitetu Centralnego w liczbie pięciu, i pięciu ich zastępców, którzy w razie aresztowania lub śmierci jednego z członków, mieli natychmiast zająć opróżnione miejsce, tak aby komplet nigdy nie był naruszony. Następnie, już razem z komitetem wybranym przez nich, przystąpiono do wybrania z pomiędzy najbardziej zaufanych patriotów tysięczników przyszłej organizacji Warszawskiej, polecając im wybór setników, którzy znów ze swego ramienia wybrali dziesiętników, których obowiązkiem było werbowanie dziesiątek. Przy rozegzaltowaniu masy ludności przez niemal całoroczną agitację i peryodycznie powtarzające się manifestacje, organizacja ta stanęła w Warszawie nader szybko, bo już w początkach Grudnia 1861 r. prawie cała ludność rzemieślnicza i cały proletaryat inteligencyjny warszawski wszedł w nią, zarówno jak i młodzież wyższych zakładów naukowych i wszystkich dykasteryi, a w Styczniu 1862 roku komitet Centralny wyznaczył naczelników we wszystkich województwach, polecając im aby podobną organizację przeprowadzali po całym kraju. Wszyscy należący do organizacji składali uroczystą przysięgę na bezwarunkowe posłuszeństwo komitetowi i na gotowość poświęcenia na rozkaz jego życia i mienia dla dobra Ojczyzny i wszyscy płacili podatek dość wysoki, bo wynoszący 10% od dochodu. Tworzenie się dziesiątek było doskonałym środkiem kontrolowania sił stronnictwa ruchu, a tajemnica jaką komitet był otoczony, chroniła go od poszukiwań policyi, która wiedziała o tem co się dzieje i usilnie pracowała nad wykryciem komitetu, lecz zawsze nadaremnie. Liczne aresztowania, które ciągle dokonywano, doprowadziły nieraz do odkrycia istnienia dziesiątki lub nawet setki i do uwięzienia ich naczelników, lecz na tych wszystko się kończyło, bo byli to po większej części ludzie silnego charakteru, którzy wyższych swych naczelników nie wydawali, a jeżeli pomiędzy tłumem składającym dziesiątki i znalazł się czło-

wiek słaby lub zdrajca, to ten mógł tylko wydać swego dziesiętnika, gdyż nikogo więcej nie znał. Godnem jest uwagi, że aż do końca roku 1862 Moskale nie odkryli żadnego tysięcznika, a mieli w ręku zaledwie kilku setników, chociaż liczba aresztowanych należących do organizacji wynosiła przeszło pięć tysięcy w samej Warszawie. W miarę jak organizacja wzrastała, doskonaliła się zarazem, i na jej podstawie i kadrach komitet Centralny zaczął tworzyć rozmaite swoje instytucje i otaczać się pomocniczymi i podległymi mu władzami. Jedną z pierwszych instytucji utworzonych przezeń był naczelnik miasta stołecznego Warszawy i podległa mu tajna policja, której organizacja była wzorową, a która dzięki poparciu wszystkich mieszkańców, i przekupstwa urzędników moskiewskich, doszła wkrótce do tego stopnia doskonałości, że miała swych tajnych agentów we wszystkich urzędach moskiewskich, nie wyjmując nawet przybocznej kancelaryi Namiestnictwa i mogła zawiadamiać komitet Centralny o wszystkich najpoufniejszych postanowieniach rządu, niemal w chwili kiedy takowe były wydawane. Dokładna znajomość tych postanowień pozwalała znów komitetowi obmyślać zawczasu środki przeciwdziałania takowym, paraliżowania ich i czuwania nad bezpieczeństwem swych podwładnych, co się nie mało przyczyniło do ustalenia jego powagi i do pozyskania mu ogólnego zaufania. Po uorganizowaniu policji, Komitet ustanowił na wzór ministerjów w rządach regularnych, rozmaite wydziały (spraw wewnętrznych, zagranicznych, skarbu i wojny) i na czele ich postawił ludzi specjalnych, pomiędzy których pracę podzielił, zostawiając sobie ogólną dyrekcyę i kontrolę. Następnie, przy naczelniku miasta urządzone biuro prasy i zaczęto wydawać tajemny dziennik „*Ruch*,” który był urzędowym organem Komitetu, rozchodził się drogą organizacji tysiącami egzemplarzy i ogłaszał wszystkie odezwy i rozporządzenia komitetu przeznaczone do publicznej wiadomości. Poparcie i sympatya dla Komitetu były tak ogólne, poświęcenie, gorliwość i zręczność członków organizacji tak wielkie, że wszystkie te władze i instytucje tajemne mogły nie tylko istnieć w mieście zajętem przez liczne wojsko i będącym w stanie oblężenia, ale rozwijały ciągle swą czynność, funkcjonowały zupełnie regularnie i działały z porządkiem i ener-

gią często większą niż władze rosyjskie. Stan rzeczy ten trwał zaś przeszło dwa lata, pośród ciągłych prześladowań, deportacyi i wyroków śmierci, a jednak dopiero ostateczna klęska powstania i zniknięcie wszelkiej nadziei powodzenia, a nie prześladowanie i ucisk, położyło koniec organizacyi. Wytrwałość ta, i ogólne poparcie ze strony całego narodu, tego rządu okrytego tajemnicą i którego urokiem całym był jego patryotyzm i poświęcenie, zarówno jak i karność i posłuszeństwo całego kraju dla rozkazów rządu tego, jest zjawiskiem jedynem w historii, i najlepszą odpowiedzią na przypuszczenia tych, którzy wątpią w patryotyzm i gotowość do ofiar Polski spółczesnej. Z Warszawy organizacya szybko przenosiła się na prowincyę, gdzie naczelnicy Województw byli przedstawicielami komitetu Centralnego i mniej więcej spełniali w swym zakresie te same funkcye które on spełniał w Warszawie, i na wzór Warszawy tworzyli prowincjonalne instytucye. Dla zapewnienia zaś stałych i regularnych stosunków między Centralnym Komitetem i organizacyą prowincjonalną, ustanowiono nakoniec poczty i kuryerów, i służbę tę, wcale nie wolną od niebezpieczeństw, powierzono w znacznej części kobietom, które mniej zwracały na siebie uwagi i podejrzeń, i które spełniały ją z poświęceniem i zręcznością godną uwielbienia. Zostawszy raz ujętą w ramy organizacyi dziesiątek, propaganda rewolucyjna zaczęła czynić niezmierne postępy a Komitet Centralny, widząc iż siły jego z dniem każdym rosły, nabierał coraz to więcej zaufania w siebie i zaczął rozwijać energię i czynność niepospolitą. Jednak, w miarę im dłużej organizacya trwała, tem częściej komitet i ludzie poważniejsi w organizacyi zadawali sobie pytanie czy zbrojne powstanie natychmiastowe może mieć szanse powodzenia i czy nie należy raczej myśleć nie o gwałtownem popychaniu kraju do tego ostatecznego środka, lecz raczej o powstrzymaniu go, aż do chwili kiedy wypadki zewnętrzne będą mogły przyjść mu w pomoc. Pytanie to tembardziej było na porządku dziennym, że w łonie samej organizacyi, zaczęła się wytwarzać frakcyja krańcowa, złożona z zapalców, którzy postanowili iść bądź co bądź do najrychlejszego powstania, i którzy nie wahali się oskarżać komitet o moderantyzm i zarzucać mu brak stanowczości i odwagi. Wezwano więc na naradę

głównych członków organizacji i naczelników Województw, i po rozpatrzeniu się w ogólnej sytuacji kraju i w zasobach jakimi komitet może rozporządzać, uznano że powstanie w tych warunkach byłoby największą klęską, że należy więc pracować dalej nad organizacją kraju i przygotowaniem materialnych i moralnych zasobów dla powstania, lecz chwilę samego wybuchu odłożyć do czasu aż Rosya będzie zawikłaną w wojnę zewnętrzną, lub też kiedy wewnątrz caratu rozpocznie się ruch socyalny. Na ruch podobny w owej chwili liczono, gdyż młodzi oficerowie Polacy będący w służbie moskiewskiej a należący do organizacji przysyłałi ciągle do Warszawy tak świetne sprawozdania o postępach, jakie propaganda rewolucyjna robi w Rosyi, i tak stanowczo zaręczali, że na poparcie stronnictwa rewolucjonistów rosyjskich można liczyć, że trudno było nie dać wiary ich zaręczeniom. Sprawozdania, jakie komitet odbierał z Paryża od komitetu Towarzystwa młodzieży, który był w bezpośrednich stosunkach z Herzenem, pozwalały także liczyć na rewolucyę moskiewską, a kiedy nakoniec pomiędzy wojskowymi stojącymi w ziemiach polskich, rząd wykrył rzeczywisty spisek i rozstrzelał w Modlinie trzech oficerów (Arnolda, Śliwickiego i Rostkowskiego) i jednego podoficera (Szczura), nadzieja na wspólne działanie i jednoczesny wybuch w Polsce i Rosyi, nabrały jeszcze więcej siły i prawdopodobieństwa. W skutek tego wszystkiego, Komitet ustanowił osobny wydział dla stałych stosunków z Rosyą, a głównie z armią i na czele jego postawił najpierwej Jarosława Dąbrowskiego (wówczas kapitana głównego sztabu rosyjskiego a następnie niefortunnego wodza paryskiej komuny), a kiedy ten został zaaresztowany, zawezwano umyślnie w tym celu do Warszawy z Genui Zygmunta Padlewskiego. Wydział ten powyznaczał agentów swych po rozmaitych dywizjach i pułkach moskiewskich, i zamianował w Petersburgu osobną komisyę, złożoną z Józafata Ohryzki, Z Sierakowskiego i Opockiego. Agenci i komisya utrzymywali stosunki z Moskalami, lecz jedyna dodatnia korzyść jaką mogli oni przynieść powstaniu, była ta, że uorganizowali oficerów Polaków, i w chwili wybuchu, ułatwili im możność opuszczenia szeregów moskiewskich i dostania się na plac boju do swoich braci, bo cała agitacya moskiewska okazała się w chwili

stanowczej czezą komedją, a zaledwie kilkunastu entuzjastów Moskali poczuło się do obowiązku zaświadczenia czynnem prawdy tego, do czego się uprzednio najsolennie zobowiązali. To cośmy wyżej powiedzieli o charakterze i doniosłości ruchu moskiewskiego posłużyć powinno do wyświecenia faktów, o których obecnie mowimy.

Doprowadziwszy dzieje wewnętrznej organizacyi ruchu do chwili w której ona objęła kraj cały, skonsolidowała swe formy i w której Komitet zadał sobie pytanie, co robić dalej z tą siłą, którą miał w rękę, a która okazała się może większą niż sądził, zatrzymamy się w tem miejscu, a wrócimy do opowiadania tych wypadków, które się odbywały na jawnej widowni politycznej, a której głównymi aktorami był rząd moskiewski, Wielopolski i wyciągnięty przez niego na scenę W. książę Konstanty, brat cara. Dodamy tylko tutaj, że wszystko, cośmy opowiedzieli wyżej o rozwoju tajemnej organizacyi, zaszło w przeciągu czasu od końca października 1861 roku do początku maja 1862, i że dalsze opowiadanie nasze rozpoczniemy niżej, od tej ostatniej daty.

Powiedzieliśmy wyżej, że Wielopolski natychmiast po usunięciu się Lamberta i zainaugurowaniu systematu bezwzględного ucisku przez Lüdersa, wyjechał do Petersburga, w Listopadzie 1861 roku. Pobyt jego w stolicy carstwa i całe tam działanie, należy bez wątpienia do rzędu najtrudniejszych przedsięwzięć, jakie kiedykolwiek udało się dokonać zręcznemu dyplomacie, a talent, zręczność, wytrwałość i energia jakie on okazał w tych trudnych okolicznościach, zasługują na bezwzględne uznanie. Nie zrażony niepowodzeniem jakiego doznał w przeprowadzeniu myśli swej w czasie kilkomiesięcznych rządów swych w Królestwie, odepchnięty i zienawidzony przez własnych swych rodaków, którzy w dążeniach jego widzieli najlepszy środek zabicia idei niepodległości kraju i związania go nazawsze z Rosyą, Wielopolski postanowił wytrwać pomimo wszystko na raz obranej drodze, i nie mogąc dojść do celu swego za pomocą stronictwa wytworzonego z łona swego narodu, postanowił oprzeć się wyłącznie na rządzie Rosyjskim, i przezeń osią-

gnać to samo. Pomimo niechęci i niewiary jaką on napotkał u wszystkich Moskali w Petersburgu, Wielopolski po kilku tygodniach potrafił pozyskać osobiste zaufanie cara Aleksandra i wytłómaczyć mu, że dobro samej Rosyi, możność powodzenia jej planów na zewnątrz i cała jej przyszłość polityczna, zawisła jedynie od tego, czy Polska pozostanie jak dotąd niewolnikiem wiecznie okutym w kajdany i czyhającym tylko na chwilę, dającą mu sposobność skruszenia takowych, czy też, uzyskawszy zabezpieczenie swego narodowego rozwoju i swobody do tego niezbędne, zamieni się w kraj połączony z Rosyą jednością dynastji i interesów w sprzymierzeńca jej i awangardę w wielkiej misji zjednoczenia Słowiańszczyzny. Talentem swoim, siłą wymowy, i niepospolitą energią swoją, potrafił Wielopolski tak zaimponować słabemu i niedołącznemu Aleksandrowi, że wkrótce stał się on najzaufańszym jego powiernikiem, a jak to zwykle bywa w społeczeństwie tak niewolniczym jak moskiewskie, za carem poszli wszyscy wielcy i mali dygnitarze, i nie przeszło dwóch miesięcy, jak wpływ Wielopolskiego stał się w Petersburgu wszechpotężny. Idea pogodzenia się z Polską na podstawie autonomii Królestwa kongresowego, stanęła w Petersburgu na porządku dziennym, ci zaś, którzy przed niedawnym czasem byli najgorliwsiymi stronnikami wytepienia Polski, stali się od razu równie gorliwymi propagatorami zgody i braterstwa z Polakami. Kto zna Rosyę, ten się pewno nie zdziwi tą zmianą przekonań, bo wie dobrze że opinii publicznej w tym kraju niema, i że zdania zmieniają się tam jak dekoracye, za skinieniem wszechwładnego cara i jego otoczenia. Bądź co bądź, już w końcu stycznia 1862 roku, car zażądał aby Wielopolski przedstawił mu plan reorganizacji Kongresówki według swej myśli, co też ten natychmiast dokonał. Plan ten zawierał w sobie mniej więcej te prawa i swobody, których Polska używała przed rokiem 1830, na mocy konstytucji zagwarantowanej jej przez Kongres wiedeński, z tą różnicą, że nie miała mieć narodowego wojska. Na radzie stanu, projekt Wielopolskiego był rozpatrywany, ponieważ zaś wiedziano że car przychylny jest jemu, nikt więc prawie nie miał mu nic do zarzucenia, a tylko kanclerz państwa ks. Gorczakow robił podobno przeciw niemu pewne uwagi. W lutym 1862 roku było już rzeczą

niewątpliwą, że plan Wielopolskiego będzie przyjęty, a w kwietniu, wyszły ukazy carskie, mianujące W. księcia Konstantego Namiestnikiem Królestwa polskiego, a Wielopolskiego Naczelnikiem rządu cywilnego, którą to posadę umyślnie dla niego stworzono, a która dawała mu w ręce władzę niemal nieograniczoną. Zanim jeszcze Wielopolski opuścił Petersburg, wyjednał u cara mianowanie ludzi przez niego samego wybranych na wszystkie ważniejsze posady, tak że z przybyciem jego do Warszawy, cała machina rządowa znalazła się od razu w ręku ludzi, na których Wielopolski mógł liczyć i którym ufał. Powodzenie misji Wielopolskiego w Petersburgu należy bez wątpienia głównie przypisać jemu samemu, lecz nie trzeba także zapominać, że względy polityki zewnętrznej, a głównie wpływy Francji, wiele mu dopomogły. Pierwszą zapowiedzią zwolnienia ucisku, wykonywanego przez Lüdersa i przybycia W. ks. Konstantego, była nominacja nowego Arcybiskupa i uroczysty wjazd jego do Warszawy. Na posadę tę, Wielopolski wybrał księdza Felińskiego, człowieka jeszcze młodego i znanego w kraju zarówno ze swego wykształcenia jak też i z gorliwości swej religijnej, lecz zarazem używającego opinii ultramontanina. dbającego przede wszystkim o kwestye religijne. W kwietniu 1862 roku, Arcybiskup Feliński przybył do Warszawy i zaczął swą czynność od otwarcia kościołów, które, jak wiadomo, były zamknięte od października roku zeszłego. Rozkaz otwarcia kościołów bez uprzedniego śledztwa i rekonsekracyi ich po sprofanowaniu niewątpliwem przez rozlew krwi, usposobił jak najgorzej opinię dla niego, gdyż widziano w tem potępienie patryotycznego postępowania duchowieństwa. Usposobienie to nieprzychylnie wzrosło jeszcze bardziej, kiedy Arcybiskup, przy pierwszym nabożeństwie jakie miał w katedrze, wystąpił z długą mową, w której stanowczo potępił ruch narodowy i manifestacye, wychwalał dobroczynne zamiary cara, i w nim tylko kazał widzieć nadzieję Polski. Licznie zgromadzona publiczność na mowę tę arcybiskupa nie mogła powstrzymać swego oburzenia, odezwały się liczne głosy protestujące przeciw niej, nazwano mowcę fałszywym prorokiem, zaprzędanym wrogiom Ojczyzny i kościoła, i zanim mógł arcybiskup mowę swą do połowy doprowadzić, już kościół był pusty, gdyż wszyscy zeń wyszli.

Fatalne to wystąpienie Arcybiskupa usposobiło jak najgorzej opinię dla W. księcia Konstantego i Wielopolskiego, a zarazem podkopało zupełnie wpływ ludzi umiarkowanych, którzy pragnęli aby kraj uspokoił się chwilowo, zużytkował te swobody, które mógł mieć pod nowymi rządami i powstrzymał agitację, dążącą wprost do powstania, do chwili bardziej sposobnej. Do rządu w ten sposób myślących, należeli nie tylko dawni członkowie towarzystwa rolniczego, stronnicy Jurgensa i cała część ludności ukształconej i posiadającej stanowisko społeczne lub majątkowe, ale nawet komitet Centralny, który z racji oczekiwanego przybycia W. księcia wydał odezwę do mieszkańców stolicy, wzywając ich do powstrzymania się od wszelkiej demonstracji przy tej sposobności i do zachowania się obojętnego. Słowem, sympatyi dla nowych rządów i nadziei, aby one kraj zadowolniły nie było nigdzie, ale też wszędzie zdawało się panować przekonanie, że w chwili obecnej Wielopolskiemu przeszkadzać nie należy, lecz trzeba korzystać i z tej małej dozy dobrego, które on zdziałać może. Tymczasem w sferach najniższych organizacyi narodowej, w owej frakcyi krańcowej, o której wyżej wspominaliśmy (str. 53), panowało zupełnie inne przekonanie i przygotowywały się wypadki, które popchnęły kraj na całkiem inną drogę i uniemożliwiły jedynie rozumne zamiary. Kilkunastu zapaleńców w zamiarze komitetu zachowania się obojętnego względem W. księcia Konstantego ujrzało dowód, że komitet popiera bezwzględnie politykę Wielopolskiego, że wyrzeka się niepodległości Polski i jej całości, i zadawalnia się pozorną autonomią jednej z jej części i t. d. Rozpoczęła się więc w tym duchu agitacja przeciw komitetowi w łonie samej organizacyi, a menerowie jej nie wahali się nawet oskarżać jego członków o zdradę. Lecz ludzie wpływowi w organizacyi i powtórna odezwa Komitetu objaśniająca jego politykę, obróciły w niwecz tę agitację, a ci co ją prowadzili zostali ogólnie potępieni przez organizację. Niepowodzenie to nie zraziło ich jednak i nie powstrzymało od zgubnych swych zamiarów, lecz zmusiło ich tylko do zamknięcia się w ściślejszem kole. Związali się więc oni w kilkunastu w osobne koło pod przewodnictwem Ignacego Chmielińskiego, który i później ciągle wicherzył przeciw Rządowi Narodowemu, i postanowili bądź co bądź

przeszkodzić wszelkiemu, bodaj pozornemu, pogodzeniu się Polski z rządem Wielopolskiego. Uchwalono że środkiem najlepszym do zmuszenia rządu do utrzymania ciągłego ucisku, a tem samem do uniemożliwienia wszelkiej zgody chwilowej, jest zabicie W. księcia Konstantego zaraz po jego przybyciu do Warszawy, gdyż po spełnieniu podobnego czynu wszystkie zamiary Wielopolskiego rozbić się muszą, a Polsce nie pozostanie innej drogi dla dojścia do celu jak powstanie. O całym tym zamiarze Komitet Centralny nic nie wiedział, i z pewnością użyłby w przeciwnym razie całej swej władzy aby stanąć na przeszkodzie jego urzeczywistnieniu, a cała rzecz została uknuta w gronie kilku szaleńców, którzy wyłamali się z posłuszeństwa komitetowi i działali przeciwnie. Chmieliński, sam prawie zamach ów przygotował i urządził, a znalazłszy zacnego i pełnego poświęcenia entuzyastę w osobie czeladnika krawieckiego Jaroszyńskiego, któremu zdołał wytlómaczyć że dobro Ojczyzny wymaga, aby W. książę został zabity i który gotów był spełnić każdy rozkaz, zajmował się już tylko wybraniem właściwej chwili i miejsca na wykonanie zamachu. Nazajutrz po swym przybyciu do Warszawy, W. książę miał być w teatrze, i spiskowi postanowili tam zamiar swój do skutku przyprowadzić. Nieszczęsnego Jaroszyńskiego postawiono w miejscu, gdzie Wielki książę musiał przechodzić, i ten strzelił doń dwa razy, nie trafiwszy go, poczem, nie próbując nawet ucieczki, dał się najspokojniej zaaresztować i odwieźć do więzienia. Reszta spiskowych, a w tej liczbie i Chmieliński, wynieśli się natychmiast z Warszawy za granicę, tak że tylko jeden Jaroszyński, który zachowaniem się w obec śledztwa i inkwizycyi dał dowody niepospolitej mocy duszy i hartu, odpokutował za wszystkich, i skończył na szubienicy.

Nieszczęsny ten zamach, który kraj cały potępił jako krok w najwyższym stopniu niepolityczny, wywarł rzeczywiście skutki takie, do jakich dążyli ci co go uknuli i wykonali. Roznamiętnił on i rozdrażnił w najwyższym stopniu Wielopolskiego który, nie wiedząc że komitet Centralny był mu przeciwny, sądził że całe stronnictwo ruchu powinno zań solidarnie odpowiadać, i zaczął z najwyższą zawziętością prześladować wszystko to, co mogło być podejrzywane o naj-

mniejszy związek z ruchem. Wywołał on tem najgwałtowniejszą przeciw sobie nienawiść i nowe zamachy już przeciw jego skierowane osobie, (w ciągu miesiąca lipca i sierpnia dwa razy strzelano do Wielopolskiego bezskutecznie), namiętności wzięły tak w rządzie jak w narodzie górę nad rozumem i taktem politycznym, i kraj wszedł na tę pochyłość z której fatalnie musiał dojść do chwycenia się do broni, bez względu na pewne klęski jakie go czekały. W obec gwałtownego ucisku, jaki Wielopolski zaczął wywierać po zamachu na W. księcia Konstantego a który był daleko dotkliwszym od tego, który panował za rządów Lüdersa, gdyż prowadzili go ludzie lepiej kraj znający, Komitet Centralny uważał za obowiązek swój objawić krajowi zdanie swe o Wielopolskim i jego polityce, i w tym celu wydał w końcu lipca 1862 roku jedną z najgłośniejszych i najbardziej obfitych w skutki odezw swych. W odezwie tej, oświadczał on że, „zarówno rządy Wielopolskiego jak i wszystkie te, które je poprzedziły i które po nich nastąpią aż do chwili, w której kraj odzyska swą niepodległość, powinny być uważane za nielegalne, gdyż źródłem ich jest gwałt i siła, a nie prawo a wykonywane są w imieniu cara Rosyi, który jest zdobywcą a nie prawnym monarchą Polski. Rządom wrogów Polski którzy ją rozebrali i z dzikością właściwą najeźdcom uciemiężają, prawa Polak ulegać powinien tylko o tyle, o ile do tego jest zmuszony siłą, lecz nigdy i w żadnym razie nie ma przyznawać rozporządzeniom ich pewnego znaczenia, ani też dobrowolnie je wykonywać, a tem mniej rządowi tym służyć lub je moralnie popierać. Każdy kto inaczej postępuje, ma być uważany za zdrajcę Ojczyzny i jest pozbawiony prawa obywatelstwa. Chociaż okoliczności i obecność w kraju przeważnych sił nieprzyjacielskich zmuszają Komitet Centralny do pokrycia się tajemnicą aż do czasu, w którym kraj rozpocznie jawną walkę orężną, Komitet od chwili obecnej uważa się i ogłasza za jedyny prawowity Rząd polski, i wszystkie atrybucye i obowiązki takowego na siebie przyjmuje, zaręczając, że skoro tylko Polska będzie mogła mieć niezależną reprezentacyę narodową, złoży natychmiast władzę w jej ręce i zda sprawę z jej sprawowania i dzierżenia. Komitet wzywa naród cały do poparcia go moralnie i materialnie, zaleca bezwarunkowe posłuszeństwo swym rozka-

zom, i zaręcza, że prowadzić naród będzie drogą patryotycznego obowiązku i sumienia do odzyskania niepodległości, wzywając go do zbrojnej walki dopiero wtedy, kiedy będzie uważał, że walka ta będzie posiadać warunki prawdopodobnego zwycięstwa". Przy odezwie tej ogłoszony był także dekret ustanawiający stały podatek na kraj cały i oznajmiający, że kto by odmówił takowego, będzie uważany za zdrajcę. Wystąpienie to Komitetu, stanowcze i pełne siły, wywarło ogromne wrażenie w kraju, a śmiałość z jaką uchwycił on dyktatorską, że się tak wyrażymy, władzę, zjednała mu ogromną powagę, szczególnie u tych wszystkich, którzy się dotąd wahali przystąpić do organizacji, nie wierząc w jej doniosłość i potęgę. Przeszkodziło też ono stanowczo wszelkim dążnościom do zgody z Wielopolskim, które zaczęły się były objawiać pomiędzy zamożniejszą częścią posiadaczy ziemskich, a zarazem odjęły systematowi rządowemu Wielopolskiego wszelką cechę narodową, stawiając go narówni ze wszystkimi rządami moskiewskimi, jakie istniały w Polsce od rozbioru. Po raz to pierwszy Komitet odzywał się nie do podwładnej mu organizacji, lecz do całego narodu, stawiając się nie jako władza pewnego stronnictwa, ale jako rząd całej Polski, a stanowisko jakie on odezwą tą zajął, wpłynęło nie mało na dalszy jego rozwój i znaczenie. Gdyby Wielopolski był człowiekiem zimniejszej krwi i gdyby po zamachach na W. księcia i na niego samego umiał zrobić różnicę między szaleńcami, którzy je urządzali a zdrowszą i rozsądną częścią stronnictwa ruchu, do odezwy tej i wszystkich jej następstw z pewnością by nie przyszło, a kto wie czyby nie było nastąpiło chwilowe uspokojenie się kraju i odłożenie powstania na bardzo długo. Lecz pod wpływem namiętności stracił ten mąż stanu wszelki takt i rozum polityczny, rzucał się ze wściekłością przeciw każdemu w którym nie widział ślepego swego stronnika, a, jak niżej zobaczymy, prześladował ludzi wcale nie przychylnych ruchowi a nawet zasadniczo mu przeciwnych. W. książę Konstanty, jakkolwiek człowiek dość ograniczony, słabego charakteru i ślepo uległy wpływowi Wielopolskiego, chciał koniecznie szukać w Polsce ludzi, z których by się dało wytworzyć stronnictwo umiarkowane, gotowe przyjąć reformy nadane przez rząd i poprzeć go. Chciał on miano-

wicie zbliżyć się z hr. Andrzejem Zamojskim i zjednać go sobie, gdyż wiedział dobrze, że wpływ jego jest bardzo silny w sferach szlachty wyższej. Ale Wielopolski oparł się temu stanowczo, oświadczając, że całą odpowiedzialność za przeprowadzenie swego planu urzędzenia Polski przyjął on na siebie, że nie chce aby kto inny mięszał się do jego czynności, gdyż wierzy on w swe siły, i jest pewien że sam bez pomocy niczyjej zamierzonego potrafi dokonać dzieła. W ten sposób rozbiły się wszelkie usiłowania pozyskania podstawy w narodzie dla rządów W. Księcia, który chciał takowych szukać szczerze, gdy niewątpliwą jest rzeczą że on, a szczególnie żona jego, kobieta obdarzona śmiałością, sprytem i wielką ambycją, wcale nie byli wolni od myśli zamienienia w przyszłości roli Namiestnika na rolę dziedzicznego króla polskiego, i przekształcenia prowincyi rosyjskiej w sekundo-geniture. Oboje Wielcy Księstwo gotowi byli robić wiele dla pozyskania popularności, i wiadomo powszechnie, że W. książę chciał ułaskawić w tym celu Jaroszyńskiego, który do niego strzelał, ale i temu Wielopolski się oparł, wymagając koniecznie, aby został powieszony. Gwałty i ucisk nie uśmierzyły wcale agitacyi i nie przestraszyły nikogo, lecz przeciwnie wywołały tylko tem większą zażartość i chęć odwetu, popchnęły Polskę w wir nowych klęsk, spowodowanych przedwczesnem powstaniem, a zarazem pociągnęły za sobą w przepaść wszystkie plany Wielopolskiego, autora zaś ich doprowadziły do tego, że obarczony przekleństwem narodu swego, który w nim widział sprawcę swych nieszczęść, i pogardę wrogów, którzy nie przestali podejrzawać go o tajemne sprzyjanie powstaniu, doszedł on pod brzemieniem tej, rzeczywiście tragicznej sytuacji do utraty zmysłów. Jakikolwiek sąd można mieć o Wielopolskim, to pewna że bezstronna historia nie może go nie potępić za to, że nie starał się o wytworzenie w narodzie samym stronnictwa mogącego go poprzeć, lecz chciał sam jeden, pomimo wszystkich, dokonać zamiarów swoich, a choć nie był ani zdrajcą ani człowiekiem pragnącym szkody dla kraju swego, niepodobna nie widzieć że on to jest autorem dzisiejszego nieszczęśliwego położenia Polski.

Pomimo całego tego zachowania się Wielopolskiego, znaleźli się jednak ludzie, którzy nie wątpili jeszcze w mo-

żność porozumienia się i wspólnego z nim działania. Do rzędu takowych należał Jurgens; (?) który nie miał wiary w takt i rozum Komitetu Centralnego i obawiał się, aby on nie szedł za szybko i za gwałtownie do powstania przedwczesnego, i postanowił dla tego utworzyć osobną organizację skupiającą w sobie żywioły umiarkowane narodu i mającą za zadanie powstrzymywanie i miarkowanie wszystkich z nadto nierozważnych wyskoków organizacji ruchu. Pod koniec czerwca, Jurgens porozumiewszy się z najwybitniejszymi członkami dawnego Towarzystwa rolniczego, utworzył w Warszawie swój komitet, znany następnie pod nazwą komitetu białego. Dawna organizacja rolnicza na prowincyi miała służyć za kadry organizacji tego komitetu, i nazwaną później została organizacją białą. W skład komitetu tego oprócz Jurgensa, weszło czterech członków, z których jeden był bogatym bankierem w Warszawie, a trzech inni należeli do rzędu znanych i zamożnych właścicieli ziemskich a dawnych koryfeuszów Towarzystwa rolniczego. Hr. Zamojski o istnieniu komitetu wiedział i popierał jego prace, ale do składu jego należeć nie chciał. Na prowincyi cała bogatsza szlachta także przyłączyła się od razu do komitetu i obowiązała się go popierać, tak że można powiedzieć, iż komitet biały i jego organizacja, skupiły w sobie te wszystkie żywioły jakimi dawniej rozporządzało Towarzystwo rolnicze. Pod względem sumy inteligencji i rozumu, organizacja komitetu białego rozporządzała daleko, większemi siłami niż komitet centralny i można powiedzieć, że wszystkie żywioły konserwatywne kraju, cała warstwa wyższego społeczeństwa, albo należała do niego stanowczo, lub też sympatyzowała z nim i popierała go moralnie. Ale za to, wszystko co było ruchliwe, młode, energiczne i gotowe do czynu, należało duszą i ciałem do komitetu Centralnego i było mu fanatycznie posłuszne, tak że jeżeli komitet biały miał w swem rozporządzeniu przeważnie więcej ludzi rozumnych i posiadających stanowiska społeczne lub majątek, komitet centralny rozporządzał masą ludności i na niej potęgę swą opierał. W ostatecznym celu swoich programatów, obydwie te komitety niczem się prawie między sobą nie różniły, gdyż jak jeden tak i drugi chciał dążyć do niepodległości kraju, widział że zbrojne powstanie jest jedyną

drogą umożliwiającą osiągnięcie celu tego, i czuł dobrze że do powstania kraj można powołać dopiero wtedy gdy zewnętrzne okoliczności na to pozwolą. Nawet pod względem zapatrywania się na politykę Wielopolskiego i sposobu w jaki kraj się ma wobec niej zachować, nie było z początku różnicy między nimi, gdyż zarówno Jurgens jak i komitet Centralny, byli tego zdania, że Wielopolskiemu przeszkadzać nie należy, i że z reform jego należy korzystać. Dopiero zamachy i wynikły stąd ucisk uwydatnił różnice przekonań między dwoma komitetami, sprowadził ostateczny między nimi rozbrat i zasiał wzajemną nieufność i podejrzenia. Biali posądzali bowiem, że zamachy miały miejsce z rozkazu komitetu Centralnego i wnioskowali ztąd, że umiarkowanie z którym członkowie jego przed nimi występują, jest maską pokrywającą bezwzględne rewolucyjne dążenia do powstania, a wzajemnie zwolennicy komitetu Centralnego, czyli czerwoni jak ich nazywać zaczęto, posądzali białych, że są ukrytymi stronnikami Wielopolskiego, i udają, że z nim nie trzymają jedynie na to, aby paraliżować ich czynności. W ciągu lipca 1862 r. próbowano po kilkakroć zjednoczyć obydwie organizacje i postawić jeden wspólny komitet złożony na pół z przedstawicieli obydwóch stronnictw, i nawet była chwila, iż zdawało się rzeczą zdecydowaną, że połączenie to nastąpi. Lecz okazało się wkrótce, że nie miano do siebie wzajemnie zaufania, i już przed końcem lipca wszystko się rozbiło. Wtedy to komitet Centralny, chcąc podkopać wpływ białych, wydał ową odezwę o której wyżej mówiliśmy (str. 60), stawiając się jako jedyna władza prawowita polska i potępiając gwałtownie tych wszystkich, którzyby mu nie ulegali. Energiczne i stanowcze wystąpienie to podkopało rzeczywiście w samym zarodzie wpływ białych i uniemożliwiło rozszerzenie się ich organizacji pomiędzy masą ludności. Organizacja biała istniała wprawdzie aż do wybuchu zbrojnego powstania, miała w swem łonie wielu znakomitych ludzi i posiadała wielkie środki materyalne; lecz będąc postawiona między dwoma krańcowymi obozami, to jest rządem i Komitetem Centralnym, którzy nie przebijając w środkach, walczyli z zaciętością i energią właściwą rewolucyjnym czasom i postępowali z najwyższą stanowczością, nie mogła mieć wielkiego znaczenia, a wydawała się

bladą i połowiczną w najwyższym stopniu. Jest to los zwykły wszystkich stronnictw i ludzi umiarkowanych i rozumnych, których bieg wypadków fatalnie postawi pośrodku między rewolucją i reakcją, a chociaż prawda i sprawiedliwość teoretyczna jest po ich stronie, padają oni zwykle ofiarą swej uczciwości, i nieuznani na razie przez nikogo, schodzą z widowni, nic nie zdziaławszy. Dopiero późniejsza historia oceni ich zamiary i chęci, i odda sprawiedliwość ich wartości, ale w czynie, działalność ich w czasach rewolucyjnych namiętności, musi fatalnie zostać jałowa.

Komitet biały próbował po kilkakroć wejść w stosunki z Wielopolskim i pracował szczerze nad tem, aby sprowadzić z drogi gwałtów, na jaką on wszedł i opamiętać go w jego namiętności, lecz usiłowania te rozbiły się zupełnie o upor i zawziętość Wielopolskiego.

We wrześniu roku 1862 mieszkańcy Wołynia, Podola i Litwy podali do cara petycję o wprowadzenie w tych prowincjach języka i instytucyj polskich i o przyłączenie ich do administracyi Kongresówki, pod rządem W. księcia Konstantego. Z powodu petycji tej, zaaresztowano w prowincjach tych kilkudziesięciu najznakomitszych obywateli i osadzono w fortecy Petersburskiej. Chcąc poprzeć ową petycję, mieszkańcy Kongresówki postanowili podać ze swej strony do cara na ręce W. księcia Konstantego adres takiej samej treści. Adres ten zredagowano natychmiast, podpisało go kilka tysięcy ludzi i upoważniono hr. Andrzeja Zamojskiego, aby go podał W. księciu. Hr. Zamojski wykonał to polecenie, lecz w kilka dni potem został zaaresztowany i skazany na wygnanie z kraju za granicę. Wygnanie to człowieka powszechnie szanowanego, a przytem znanego z umiarkowania swego, zdepopularyzowało ostatecznie Wielopolskiego, nawet w tych sferach, które gotoweby jeszcze były stanąć po jego stronie. Wiedzano bowiem powszechnie że nie kto inny jak Wielopolski spowodował to aresztowanie i wygnanie, a jeżeli rozumiano że Moskal jest w stanie dopuścić się wszystkiego, gdy rzecz idzie o prowincye, które są kwestyą życia i śmierci dla Rosyi, Polakowi postępującemu [w tej kwestyi tak surowo, darować opinia publiczna nie mogła. Wywiezieniem hr. Zamojskiego Wielopolski jeszcze bardziej podkopał wpływ stronnictwa umiarkowanego,

gdyż niejako udowodnił, że zgoda z nim jest niemożliwą, a przyczynił się bardzo do wzmocnienia komitetu Centralnego, który i bez tego był już nader silnym.

Po wydaniu odezwy o której mówiliśmy, potęga komitetu Centralnego rozwijała się nadzwyczaj szybko a zakres władzy jego obejmował stopniowo rzeczywiście cały obszar kraju i wszystkie warstwy społeczne. Tam gdzie rzecz szła o konspiracyjną agitację i energiczne jej szerzenie, agenci komitetu Centralnego, ludzie po większej części młodszy, pełni zapału, ruchliwi i nie związani ani stanowiskiem społecznym ani względami majątkowymi, musieli z natury rzeczy mieć przewagę nad białymi, działającymi ostrożnie, oględnie i za mało stanowczo. Przytem, i program białych dość nieokreślony i niewystarczający dla ówczesnego usposobienia i wymagań większości narodu, nie był dość sympatyczny dla mas, wówczas gdy komitet Centralny, zerwawszy raz ze wszelką myślą zgody z Wielopolskim, stawiał wyraźnie powstanie przy pomyślnych warunkach i okolicznościach, jako cel usiłowań swych, czem trafiał od razu do serc wszystkich. Masy nie rezonowały, jak zwykle nie rezonują, i wcale nie zdawały sobie sprawy z tego, że na owe pomyślne okoliczności i warunki może się przyjdzie czekać lata całe. Dla nich wystarczało to, że komitet dąży do powstania, rozumiały one, że powstanie to wybuchnie lada chwila i tylko o niem myślały i do niego się sposobily. We wrześniu i październiku do organizacyi komitetu Centralnego, zaczęły przystępować już nie indywidualne pojedyncze, ale zbiorowo całe stany i korporacye. Tak naprzykład całe wyższe i niższe duchowieństwo, zwoławszy przed tem we wszystkich dyecezyach Królestwa zjazdy swych reprezentantów, postanowiło wejść in corpore do organizacyi komitetu i popierać go całą siłą swojego wpływu. Całe mieszczaństwo należało już bez wyjątku do tej organizacyi i stanowiło jej główną siłę i podstawę, zarówno jak młodsza i żywsza część szlachty, a tylko mała część tej ostatniej, złożona z ludzi najbogatszych a prawdę mówiąc i najukształceńszych, nie uznawała jeszcze komitetu Centralnego, lecz ulegała wpływom białych. Co do chłopów, to organizacya liczyła między nimi nie wielu adeptów, gdyż ludność wiejska zawsze i wszędzie nie jest skłonna do organizacyi. Miano

jednak liczne dowody, że chłopci sympatyzują z ruchem, a od chwili jak całe duchowieństwo weszło do organizacyi, można było być pewnym, że w stanowczym wypadku potrafi ono pociągnąć za sobą i chłopów. Nawet żydzi, tak dotąd obojętni dla wszelkiego ruchu narodowego, pomagali mu teraz dość powszechnie i wielu z nich brało w nim nader czynny udział.

Chcąc ze swej strony przeszkodzić temu szerzeniu się organizacyi ruchu w obawie, aby ona nie wywołała przedwczesnego powstania, komitet biały umyślił przez swych agentów na prowincyi zwołać w każdym województwie zjazd szlachty, w tym celu, aby ją wezwać do solidarnego działania na drodze umiarkowanej pracy organicznej a powstrzymać od stanowczego przystąpienia do ruchu. Zjazdy te miały rzeczywiście miejsce, ale wcale nie dopięły celu dla jakiego były zwołane. W wielu bowiem miejscach zjawili się na nie agenci komitetu Centralnego i zdołali energicznym swem wystąpieniem, nie tylko przeszkodzić stanowczemu przystąpieniu szlachty do białych, ale nawet pociągnąć ją za sobą do organizacyi ruchu, a tylko w kilku miejscach komitet biały znalazł poparcie. Zjazdy te w ostatecznym rezultacie więcej zaszkodziły niż pomogły białym, wykazały one bowiem ich wewnętrzną niemoc i brak energii, a zarazem dowiodły dotykalnie, że nie mogą oni liczyć nawet na poparcie większości szlachty.

*

*

*

O tym czasie Wielopolski dokonał dwie najważniejsze reformy swoje w dziedzinie administracyi Królestwa kongresowego, to jest organizacyę całego wychowania publicznego i uregulowanie stosunków między włościanami i większymi właścicielami ziemskimi. Każdy to przyznać musi, że plan reorganizacyi szkół, wypracowany przez osobną komisję pod prezydencyą Wielopolskiego, należy do rzędu najlepiej pomyślanych i najbardziej odpowiadających potrzebom kraju i wymaganiom nowożytnej nauki pedagogii. Od czasu jak Polska należy do Rosyi, wszystkie rządy rosyjskie uważały za pierwszy swój obowiązek stawić jak najwięcej przeszkód rozwojowi wykształcenia publicznego, a to w tym celu, aby zatrzeć wyższość umysłową Polaków nad Moskalami i spro-

*

wadzić ich do tego stopnia ciemnoty, na jakim się znajduje naród panujący. Szkoły moskiewskie w Polsce, miały więc za zadanie nie szerzenie oświaty, lecz systematyczną demoralizację i ogłupianie młodzieży; uniwersytety w Warszawie i Wilnie zostały zamknięte zaraz po roku 1830, zarówno jak i wszystkie wyższe zakłady, wstęp do uniwersytetów zagranicznych został całkiem zakazany Polakom, a w uniwersytetach rosyjskich przyjmowano ich tylko w pewnej bardzo małej liczbie, w gimnazyjach zaś i szkołach niższych mogło pobierać nauki bardzo nie wielu, gdyż liczbę uczniów także ograniczono prawem, i utrudniono wejście za pomocą bardzo wysokiej opłaty. Większa więc część młodzieży polskiej nie mogła wcale pobierać nauk publicznych i musiała ograniczyć się na wychowaniu domowym, z kąd stan wykształcenia ogólnego musiał być na bardzo niskim stopniu. Wszystkie te utrudnienia w pobieraniu nauk dla młodzieży polskiej istnieją i obecnie, gdyż naprzykład wznowiono przed kilku laty ukaz, wydany przez Mikołaja na mocy którego w uniwersytecie tylko dziesiąta część uczniów może być polskiego pochodzenia, a stanowią one bez wątpienia najdotkliwsze i najbardziej szkodliwe ze wszystkich barbarzyńskich praw na których Rosya chce oprzeć panowanie swe w Polsce. Wielopolski rzeczywiście zniósł te prawa, założył w Warszawie uniwersytet, urządzony na wzór Niemieckich i powołał do niego na profesorów ludzi najbardziej znanych w nauce, a zarazem otworzył wielką liczbę szkół średnich i niższych, ułatwiając wstęp do nich jak największej ilości młodzieży. Reforma ta wywarłaby niewątpliwie jak najzbawienniejsze skutki, ale wszystkie te szkoły istniały rok za ledwie, a już w roku 1864 rząd rosyjski wrócił znowu do swego tradycyjnego systemu ogłupiania i demoralizowania narodu przez szkoły.

W kwestyi uregulowania stosunków włościańskich, Wielopolski okazał daleko mniej zdolności i zmysłu politycznego, gdyż zamiast rozwiązania od razu wszystkich trudności przez uwłaszczenie włościan, czego chciała cała wykształcona i patriotyczna część narodu, wolał zadekretować oczynszowanie, które nie zadowolniło nikogo, wcale kwestyi nie rozwiązało, a co gorsza, zostawiło cały stosunek między włościanami i szlachtą niejako w zawieszeniu, dając tem mo-

żność Moskałom niecenia nienawiści stanowej i rozwiązania kwestyi włościańskiej za pomocą bezprawia i grabieży.

Oprócz tych dwóch reform, Wielopolski powziął w końcu września 1862 roku myśl przeprowadzenia najzgubniejszego i najbardziej dla Polski doniosłego w swych skutkach rozporządzenia, którem wywołał przedwczesne powstanie i pograżył naród cały w klęski i nieszczęścia, z których dotąd podnieść się nie może. Mamy tu na myśli nieszczęsny ukaz o brance, czyli raczej proskrypcyi, który jest dziełem Wielopolskiego, gdyż wiadomą jest powszechnie rzeczą że zarówno W. książę Konstanty jak i cały rząd byli przeciwni temu ukazowi i że Wielopolski jeden uparł się przy nim i sam go w życie wprowadził.

Historya i geneza ukazu tego są następujące: widząc że pomimo ucisku, aresztowań i ciągłego wysyłania na Sybir organizacya ruchu nie tylko nie słabnie, lecz rośnie do tego stopnia we wpływy i siłę, że paraliżuje wszelkie rozporządzenie rządu i walczy z nim skutecznie na każdym kroku, Wielopolski w zawziętości swej postanowił użyć następnego środka dla jej zgębienia i rozbicia.

Oto podał on W. księciu i carowi projekt ukazu na mocy którego w dniu pewnym, którego oznaczenie pozostawił sobie, miał się odbyć we wszystkich miastach Królestwa pobór do wojska nie w zwykły a prawem określony sposób, ale na podstawie najzupełniejszej samowoli policyi. Powiedziano bowiem było, że poborowi temu ulegną ci tylko z mieszkańców miast, których policya uzna za źle myślących pod względem politycznym, pobór zaś sam miał się odbyć w nocy i to w ten sposób, że policya będzie tajemnie wchodzić do domów, chwycić z góry oznaczone osoby i odstawić je do cytadeli, poczem odesłane one zostaną do batalionów konsystujących na Kaukazie i w stepach Orenburskich. Liczba osób, które w ten sposób miały być porwane, nie była wcale oznaczoną, a powiedziano było tylko, iż zależy ona od liczby podejrzanych politycznie ludzi w każdym mieście, szlachta zaś mieszkająca na wsi i chłopci mieli być wolni od tego poboru. Trudno doprawdy znaleźć w historii przykład rozporządzenia bardziej tyrańskiego i barbarzyńskiego, a niepodobna się dziwić, że wywołało powszechne oburzenie i popchnęło kraj na drogę szaleństwa wynikającego

z rozpaczy. Ukaz ten groził bowiem krajowi огоłoceniem go za jednym zamachem z całej młodzieży patriotycznej i inteligentnej, sąd o tem czy kto jest źle lub dobrze myślący powierzał policji złożonej z ludzi przekupnych i niemoralnych, a na dobytek wszystkiego złego, nie oznaczał nawet ilości lat w ciągu których nieszczęśliwi w ten sposób porwani mieli przepędzić po za krajem w szeregach nienawistnego im wojska rosyjskiego. Cały ten prawdziwie niegodziwy projekt Wielopolskiego obrachowany był na to, aby od razu rozbić bezpowrotnie organizację ruchu i uspokoić kraj na bardzo długo, lecz jeśli projekt ten był rzeczywiście radykalny i mógł doprowadzić do zamierzonego celu, to w wykonaniu jego Wielopolski uległ znowu zaślepieniu, wynikającemu z namiętności, i sam uniemożliwił osiągnięcie celu tego. Gdyby Wielopolski mógł był zachować zimną krew, niewątpliwie zatrzymałby w naściślejszej tajemnicy ów projekt aż do chwili jego wykonania, a w ten sposób nie dałby czasu zagrożonym opamiętania się i obmyślenia środków oporu. Byłby on może steroryzował na długo stronnictwo ruchu i uspokoił kraj, a chociaż z pewnością nie zjednałby sobie nikogo, ale to pewna że i powstanie byłoby niemożliwe. Stało się jednak zupełnie inaczej. Chcąc bowiem niejako dowieść, że jest pewny siebie i ma w rękę dość siły, aby zamiar powzięty wykonać, Wielopolski projekt branki ogłosił już w pierwszych dniach października, a w dzienniku urzędowym kazał umieścić uwagi nad nim, w których autor pochwalał zamierzoną brankę jako arcy dla kraju zbawienną i zapewniał, że nawet ci, którzy nią osobiście zostaną dotknięci, będą z czasem wdzięczni rządowi za nią, gdyż pobyt kilkoletni w szeregach wojska rosyjskiego wpłynie najkorzystniej na ich umoralnienie i wyleczy ich z mrzonek i rewolucyjnych zasad, któremi są dziś зараżeni. Była to więc ironia i obelga dodana do krzywdy, a jeżeli sam ukaz o brance wywołał rozpacz i oburzenie, to niecny artykuł ten urzędowy, podniósł je do szału i wściekłości. Całe stronnictwo ruchu a z niem razem cała młodzież oświecona nie należąca do klasy włościan lub większych posiadaczy ziemskich, ujrzała się naraz na łasce policji i zawisła nad nią, jakby miecz Damoklesa, groźba nocnego zaareztowania i wcielenia do wojska na Kaukazie lub Syberji.

Groźba ta mogła spełnić się lada chwila, lub kazać czekać na siebie miesiące i lata nawet, bo nikt nic nie wiedział o terminie branki, co jeszcze powiększało niespokojność ogólną i doprowadzało umysły do tem większej egzasperacji. Każdy kto należał do stronictwa ruchu, lub czuł się w sumieniu swem patriotą polskim, a zatem źle myślącym według wyobrażenia policyi, zaczął natychmiast po ogłoszeniu ukazu myśleć o sposobach uratowania się, wszyscy porzucali w nocy domy swe i szukali schronienia w miejscach mniej dla policyi podejrzanych, i w ciągu kilku miesięcy cała młodsza część ludności Warszawy i innych miast pędziła to życie koczownicze pełne niepokoju i trwogi. Ponieważ nie było prawie rodziny, któraby nie posiadała w swem łonie kogoś zagrożonego branką, ukaz więc ten zakłócił spokój życia rodzinnego i wniósł w łono jego agitację polityczną, która dotąd nigdy nie sięgnęła tak głęboko. Sprawił on, że kobiety i dzieci nawet zaczęły konspirować, z początku w celu ocalenia swych synów i braci, a następnie już jawnie w celu szkodenia tym, którzy mieli porywać i wywozić tych synów i braci. Konspiracja stała się powszechną treścią życia codziennego wszystkich, a oczywiście, że zagrożeni branką byli przedmiotem ogólnej sympatii i spóścucia, i wyrosli w opinii do wysokości bohaterów narodowych i ofiar najszczytniejszego patriotyzmu. W stosunku do podniesienia się egzaltacji patriotycznej, wzmogła się także nienawiść do Moskali i Wielopolskiego, którego opinia publiczna zupełnie już od nich nie oddzielała, a wszystko to przybrało cechę tak gwałtownego fanatyzmu, jakiego jeszcze nigdy w Polsce nie było. Takie to były bezpośrednie i natychmiastowe skutki ogłoszenia przez Wielopolskiego ukazu o brance. Zobaczmy teraz, jakie wrażenie ukaz ów sprawił w sferach organizacji narodowej, i co komitet Centralny postanowił przedsięwziąć w celu przeciwdziałania jemu. Dla masy członków organizacji rozegzaltowanej dwuletnią niemal agitacją i konspiracją, ukaz o brance był niemal rzeczą pożądaną, gdyż masa ta uważała powstanie zbrojne za jedyny cel swych marzeń, a nie będąc zdolną do bezstronnego ocenienia czy powstanie, to jest możliwe, przyjęła ukaz prawie z radością, gdyż widziała w nim najpewniejszy środek wywołania powstania. W samym jednak komitecie Central-

nym i w rozważniejszej części organizacyi, całkiem odmienne panowało zapatrywanie się. Komitet, świadomy środków jakimi rozporządzał i sił nieprzyjaciela, nie mógł nie widzieć, że powstanie jest prawie niemożliwe, i że klęska jego w razie wybuchu będzie nieuniknioną, z drugiej znów strony znał on dobrze usposobienie mas i przewidywał że pobór, w tej formie w jakiej go Wielopolski wykonać zamierzał, musi wywołać opór, któremu żadna siła ludzka przeszkodzić nie będzie w stanie. Na długich i częstych naradach komitetu, zastanawiano się gruntownie nad tem co robić należało i nie zgodzono się na nic stanowczego, gdyż zdania w tej mierze były podzielone. Jedni, a liczba ich była dość znaczna, ulegając oburzeniu i rozpacz, które wywoływał w nich ukaz o brance, byli za tem aby nie zważając na nieprzygotowanie kraju i zupełny brak broni, komitet dał hasło do powstania, gdyż, jak utrzymywali, nawet klęska najbardziej stanowcza na polu bitwy, mniej naród zdemoralizuje i dotknie, jak zachowanie się bierne w obec grożącej mu proskrypcyi. Inni znów, sprzeciwiali się stanowczo powstaniu i byli zdania, że obowiązkiem komitetu jest nie tylko powołać naród do walki zbrojnej, ale dać mu środki prowadzenia takowej i prawdopodobieństwo zwycięstwa, co w obecnych okolicznościach jest całkiem niemożliwe. Co się zaś tyczy mającej nastąpić branki, to uważając ją za straszne dla kraju nieszczęście, mieli oni jednak nadzieję, że komitet będzie mógł znaleźć środek zmniejszenia doniosłości tego nieszczęścia i wnieśli następujący projekt: komitet powinien wyteżyć całą swą działalność i zręczność, nie szczędząc żadnych kosztów i zachodów na to, aby być wcześniej zawiadomionym o dniu, a raczej nocy w której branka ma być dokonaną, i dostać listę osób, które jej ulegną. Jeżeli się uda dostać ową listę i dowiedzieć się dość wcześniej o terminie branki, w takim razie obowiązkiem komitetu będzie, dać możność zagrożonym ocalenia się, bądź ucieczką za granicę, bądź też zabezpieczeniem im schronienia w kraju, po wsiach, gdzie z natury rzeczy policya nie może być tak czujną jak w miastach. Środek ten, jak się zdawało tym co go podawali, miał tę dobrą stronę, że ocalał całą młodzież krajową od wywiezienia do Azji, a zarazem pozwalał uniknąć wybuchu powstania w warunkach najbardziej dla niego

niekorzystnych. Trafił on dość do przekonania większości komitetu Centralnego, który go przyjął. Ale znów przeciwnicy jego robili tę słuszną uwagę, że pomimo całej czujności komitetu i doskonale uorganizowanej policyi jego, zdarzyć się może, że nie potrafi on dowiedzieć się o terminie branki, i w takim razie wykonanie całego projektu stanie się niemożliwym, a zresztą przechowanie w kraju kilkudziesięciu tysięcy młodych ludzi, przy największej życzliwości i patryotyzmie mieszkańców, jest także prawie niewykonalnym. Dla tego też proponowali oni, aby próbować wykonania projektu wyżej wymienionego, ale też robić jednocześnie wszystko co można na to, aby przygotować kraj do powstania, które w razie branki może wybuchnąć pomimo woli i chęci komitetu, który będzie przed narodem odpowiedzialnym za brak broni i innych środków do walki. Ostatecznie, uwagi te przemogły, i Komitet postanowił robić wszystko, co będzie w jego mocy dla uniknięcia powstania i ocalenia od branki młodzieży, lecz jednocześnie przygotowywać wszystko co jest niezbędne dla powstania, na wypadek jeżeli się takowe nie da uniknąć. Postanowienie to grzeszyło połowicznością i brakiem stanowczej decyzji, a zarazem dowodziło że komitet nie był już na wysokości wypadków, że nie zdawał sobie dość jasno sprawy z sytuacji politycznej kraju i Europy, i że odwołując tylko na czas jakiś powstanie, liczył na to że Rosya rychło zostanie wplątana w wojnę zewnętrzną. To ostatnie przypuszczenie istniało rzeczywiście w łonie Komitetu i oparte było na wiadomościach z Francji, gdzie myślano wówczas na seryo o wojnie nad Renem, i dla tego starano się łączyć Polaków czcemi obietnicami pomocy na to, aby Polskę utrzymać w stanie ciągłej agitacji, a tem samem sparaliżować Rosyę na wypadek wybuchu wojny z Prusami. W ogóle fałszywe sympatyje rządu Napoleońskiego dla Polski i rady jakie on dawał przez księcia Napoleona i innych swych zaufanych, przywódców ruchu polskiego, przyczyniły się może najwięcej do wybuchu przedwczesnego powstania, a tem samem stały się powodem największych klęsk i nieszczęść Polski.

Komitet, zdecydowszy się raz na ową dwuznaczną metodę postępowania zależącą na przygotowywaniu najenergicznijszym powstania a zarazem na staraniu się o uniknięcie

takowego, wziął się z największą energią do pracy w tych dwóch kierunkach. Pierwszym warunkiem przygotowania powstania, było zakupienie broni, której w kraju zupełnie nie było, gdyż od 1830 roku Moskale niemal co parę lat odbywali po całej Polsce najściślejsze rewizye, w celu poszukiwania takowej, i konfiskowali nawet broń myśliwską i strażniczą, stanowiącą historyczną pamiątkę. Posiadanie broni było karane bardzo surowo, i nie dziw że w tych warunkach tylko gdzieśgdzie można było znaleźć ukrytą szablę, lub lada jaką strzelbę.

Na zakupienie broni komitet rozpiisał na kraj cały specjalny podatek, a skoro takowy wpłynął do kasy, w listopadzie 1862 roku, ustanowił w Paryżu pod prezydencją generała Wysockiego osobną komisję, mającą się zająć kupieniem broni i obmyśleniem środków sprowadzenia jej, w jak najkrótszym czasie do Polski. Komisya ta natychmiast kupiła w Londynie 5.000 karabinów, lecz kiedy jeden z jej członków wrócił do Paryża i miał jechać do Niemiec w celu urządzenia ich przewozu, został zaarrestowany przez policję francuską i wszystkie jego papiery zostały zabrane. Jak się później okazało, aresztowanie to nastąpiło w skutek denuncyacji ambasady rosyjskiej w Paryżu, która oskarżyła aresztowanego o należenie do spisku Mazziniego, mającego na celu zamach na życie Napoleona. Z papierów zabranych rząd francuski przekonał się wprawdzie, że cała ta denuncyacja była fałszywą i że Polacy nic przeciw niemu nie zamierzali, to też aresztowanego wkrótce wypuszczono. Skutki jednak tego aresztowania były jak najfatalniejsze dla Polski, urzędnicy bowiem policji francuskiej, przekupieni przez Ambasadę rosyjską, dostarczyli jej kopie papierów zabranych, z których rząd rosyjski dowiedział się w osobach mających broń przechowywać w kraju, i o owych które ją mieli przewozić przez Niemcy. Osoby te zostały zaarrestowane przez Moskali i Prusaków, przewóz broni stał się całkiem niemożliwy, a w skutek tego, w chwili wybuchu powstania, nie było w Polsce ani jednego karabina.

Oprócz zakupienia broni, potrzeba było także myśleć o dostarczeniu powstaniu dowódców, i w tym celu Komitet powołał natychmiast do kraju całą młodzież znajdującą się w szkole wojskowej w Genui, a zarazem polecił komisji

uzbrojenia w Paryżu, aby wybrała z pomiędzy oficerów dawnych emigracji, ludzi młodszych i gotowych do poświęcenia wszystkiego, i wysłała ich także do kraju. Zawezwano także Polaków, będących w wojsku rosyjskiem, i dymisyonowanych wojskowych, należących do organizacyi, aby byli gotowi na pierwsze wezwanie do zajęcia stanowisk, jakie im wskazane będą, a jednocześnie wyznaczono dla każdego województwa osobnego Naczelnika wojskowego, którego obowiązkiem było poznać dokładnie siły wojskowe województwa, obmyśleć plan wybuchu powstania i prowadzenia partyzantki, uorganizować ludzi zdolnych i gotowych do broni, odebrać od nich przysięgę na karność wojskową, i być w ogóle gotowym na pierwsze hasło od komitetu.

Komitet liczył zawsze na dostawę broni z zagranicy, i na tej nadziei opierał te wszystkie przygotowania; tymczasem nadzieja ta zawiodła, naczelnicy wojskowi zaś, nie przypuszczając aby broni nie było, wzięli się gorliwie do spełnienia powierzonych im obowiązków i wmówili w dobrej wierze swym podwładnym, że fakt sam branki, będzie uważany za hasło do powstania. Kiedy zaś branka przysła i powstanie rzeczywiście wybuchło, oprócz kijów i kos nigdzie innej nie posiadano broni. Papiery zabrane w Paryżu przez policję francuską, wykryły także rządowi moskiewskiemu istnienie konspiracyi między wojskowymi Rosyanami, a nawet wskazały mu ludzi stojących na jej czele i tem obudziły jego baczność i obezwładniły konspiracyę tę w samym jej zarodku. Kiedy ukaz o brance wyszedł i powstanie stało się coraz to bardziej prawdopodobnem, komitet rozwinął całą swą działalność na to, aby rozszerzyć stosunki swe w wojsku rosyjskiem i próbować czy agitacya, która tam istniała, nie da się zużytkować dla powstania. Wszyscy byli w owym czasie tak dalece rozgorączkowani, że wierzono powszechnie, iż owa agitacya w wojsku nie tylko pociągnie za sobą przejście wszystkich oficerów polskiej narodowości i znacznej części Rosyan do powstania, ale że nawet znajdują się całe bataliony i pułki, które połączą się z powstańcami. Że wojsko konsystujące w Polsce uległo powoli wpływowi otaczającej go ludności i okazywało jej w wielu razach sympatyę, o tem nie ma najmniejszej wątpliwości, zarówno jak jest rzeczą pewną, że prawie wszyscy Polacy w wojsku służący, byli

duszą i ciałem oddani sprawie narodowej. Wypadki jednak późniejsze przekonały, że wszystkie rachuby na sympaty Rosyan były płonne, a że tylko wyjątkowe między nimi indywidualia dotrzymały swych obietnic i zobowiązań. W owej jednak chwili działały się w wojsku moskiewskiem rzeczy, które mogły rzeczywiście złudzić ludzi najzimniejszych usposobień, a tem bardziej ówczesnych przywódców ruchu polskiego. Faktami tymi były: zawiązanie komitetu wojskowego w Warszawie i Petersburgu, złożonego z samych oficerów narodowości rosyjskiej, i pojawiające się dość często w Londyńskim dzienniku Hercena odezwy i programata tego komitetu oświadczające, że uczciwi Rosyanie uznają zupełnie słuszność dążeń narodowych polskich, i że wojsko z Polakami bić się nie będzie. Ponieważ komitet Centralny wiedział z doświadczenia jak wiele bywa zwykle przesady we wszelkich konspiracyjnych odezwach, starał się więc zbadać rzeczywiste siły i znaczenie owego komitetu rosyjskiego i wszedł z nim w bezpośrednie stosunki. Okazało się że w skład komitetu tego wchodził oficerowie nawet wyższych stopni (trzech pułkowników sztabu i gwardyi), że konspiracja była dość rozgałęziona, i że w ogóle cała ta sprawa była poważną i godną tego, aby na nią zwrócić uwagę. Po dwóch schadzках między przedstawicielami obydwóch komitetów postanowiono zawrzeć przymierze, lecz Moskale oświadczyli że ugodę tego rodzaju są gotowi zawrzeć, ale dopiero po naradzie z Herzenem i Bakuninem i za zgodą ich, gdyż ich dwóch uważają oni za swoich najwyższych kierowników. Zgodzono się więc z obydwóch stron na posłanie do Londynu umocowanych do zawarcia przymierza, i Moskale wysłali ze swej strony oficerów (Potebnia i Obruczew), a Komitet Centralny upoważnił od siebie Podleńskiego i . . . ¹⁾ Zjazd ten miał miejsce w Londynie jednocześnie z pobytem tam członków komisji uzbrojenia, ugodę na nim zawarto i Moskale zobowiązali się w niej do popierania powstania polskiego wszystkimi swojemi siłami, ale z obydwóch stron zgodzono się na to, że wybuch powstania należy odwlekać jak najdłużej, aby zyskać jak najwięcej czasu dla jego przygotowania. Akt zawierający warunki tego przymierza, zarówno jak i raport

¹⁾ Milowicza Włodzimierza (Przyp. Wyd.).

Zygmunta Podlewskiego do komitetu Centralnego, w którym wymienione były pułki rosyjskie, w których największa liczba oficerów należy do konspiracji, policja francuska zabrała przy agencji Komitetu, aresztowanym w Paryżu i zakomunikowała go rządowi moskiewskiemu, który w ten sposób został o całej rzeczy uprzedzony, i z niezaprzeczoną energią i zręcznością zaradził przeciw grożącemu mu niebezpieczeństwu. Kiedy wiadomość o tem wszystkiem przyszła do Petersburga, rząd rosyjski zatrwodził się z początku niezmiernie owym przymierzem zawartem między konspiracją polską i rosyjską, gdyż na razie sam sobie wyobrażał, że agitacja w wojsku jest daleko więcej rozgałęziona niż nią była rzeczywiście, i miał przesadzone wyobrażenie o jej doniosłości.

Idąc za zdaniem ministra wojny Milutyna, postanowił więc przedsięwziąć jak najbardziej stanowcze środki przeciw niej. Potrzeba było najpierw podkopać wpływ i popularność Herzena i emigracji rosyjskiej na masy ludności, i w tym celu policja rosyjska zaczęła sama drukować i rozpowszechniać proklamacye, pochodzące niby z Londynu, a przejęte jak najbardziej niedorzecznymi rewolucyjnymi zasadami. W proklamacyach tych wzywano Rosyan do obalenia rodziny, religii, państwa i własności, i jako początek rewolucyi, zapowiadano spalenie wszystkich miast, fabryk i domów bogatszych właścicieli. Wkrótce potem, we wszystkich częściach Rosyi, rozpoczęły się rzeczywiście pożary na olbrzymią skalę, które niszczyły całe ogromne miasta (Tambow, Kaługa, Saratow, Nowgorod i t. d.), i pochłonęły część Petersburga, a rząd oficjalnie w dzienniku rządowym ogłosił, że pożary te są dziełem konspiratorów, i że hasło do nich wyszło z Londynu. Chociaż nie ulega żadnej wątpliwości, że pożary te były dziełem rządu, gdyż niepodobna nawet przypuścić, aby tajemna konspiracja mogła jednocześnie palić miasta całe na przestrzeni kilkuset mil i to zapowiadając o miesiąc przedtem, którego dnia i gdzie ogień wybuchnie, ciemna masa ludu moskiewskiego, uwierzyła od razu temu co rząd jej twierdził. Imię Hercena i Bakunina stało się w jednej chwili przedmiotem powszechnej nienawiści i przekleństw, a wielu z młodych ludzi, których podejrzewano o stosunki z nimi, zostało literalnie rozszarpanych

i ukamienowanych przez lud na ulicach Moskwy i Petersburga.

Dziennikarstwo całe inspirowane i płatne przed rząd, a szczególnie moskiewskie, dyrygowane przez sławnego później Katkowa, wzięło na siebie obowiązek rozdmuchiwania tej nienawiści w masach, i zaczęło dawać do zrozumienia, że emigracja rosyjska i sprzymierzeni z nią Polacy, chcą wytepić wiarę prawosławną i narodowość rosyjską, że spalą i zniszczą całą Rosyę, i że kto posiada cokolwiek i chce pozostać wierny swej wierze i krajowi, powinien stanąć przy carze, a konspiratorów i Polaków mordować bez litości. Przez policję, dziennikarstwo i duchowieństwo rząd zdołał w bardzo krótkim czasie doprowadzić ciemne masy ludu moskiewskiego do stanu najdzikszego fanatyzmu, każda najniedorzeczniejsza pogłoska znajdowała wiarę, a nienawiść Rosyan do Polaków doszła do ostatnich granic możliwości. Zapewniwszy sobie w ten sposób wierność mas i możliwość zamienienia ich w razie potrzeby w ślepe narzędzie swej woli, rząd pomyślał dopiero o bezpośrednich środkach sparyalizowania wpływu konspiracji w wojsku. I tutaj rząd użył dla swych celów masy ciemnego żołdactwa, i przez swych tajemnych agentów, szerzył między nim nieufność do swych oficerów, zachęcając do szpiegowania ich i nawet do morderstwa, w razie gdyby oficer był podejrzany o tajemne sprzyjanie Polakom. Wiadomo powszechnie że w czasie powstania, dyscyplina w wojsku moskiewskim upadła była zupełnie, że żołnierze oficerów swych prawie nie słuchali że często kiedy ci ostatni chcieli powstrzymać ich od rabunku i mordowania bezbronych i niewinnych, podnosili ich na ostrzu bagnatów w powietrze, słowem, że armia moskiewska więcej podobną była do dzikiej hordy tatarskiej niż do wojska regularnego. Wszystko to sam rząd wywołał w obawie konspiracji którą rzeczywiście zabił, ale zarazem i zabił, bodaj czy nie na zawsze, dyscyplinę i karność swego wojska, gdyż, według zdania ludzi dobrze oświadczonych, żołnierz rosyjski i dziś oficerów swoich nie słucha, nie wierzy im i podejrzewa ich o niewierność dla cara. Nadzwyczaj częste sądy i wyroki wydawane przez nich na żołnierzy za brak uszanowania dla oficerów, o czem można się przekonać z dzienników rosyjskich, dowodzą że tak jest rzeczywiście

a jeżeli przy rozprężeniu karność, Rosya mogła zwyciężyć powstanie polskie zbrojne w kije i kosy, to bardzo jest wątpliwe aby mogła bez niej walczyć z nieprzyjacielem w te same co i ona zaopatrzonym środkami. Dalej, rząd rosyjski znacznieszą część wojsk konsystujących w ziemiach polskich przetranslokował z nadzwyczajną szybkością do guberni położonych w głębi Rosyi i zastąpił je pułkami gwardyi i grenadyerów, w których Polaków prawie nie ma zupełnie i na wierność których mógł najwięcej liczyć.

Skoro się stało wiadomem, że rząd wie o konspiracyi wojskowej, konspiracya ta rozbiła się sama od razu, gdyż prawie wszyscy należący do niej w przestachu, stali się gorliwsiymi i wierniejszymi od najgorliwsiych i najwierniejszych, a później, w czasie powstania, odznaczyli się największem okrucieństwem przeciw Polakom. Tylko Petebnia i kilkudziesięciu jego kolegów pozostali wierni swemu słowu i zginęli w szeregach polskich. Oczywiście że mówię to o oficerach Rosyanach, gdyż Polacy prawie wszyscy przyłączyli się do powstania.

*

*

*

Czujność jaką komitet Centralny rozwinął w celu dowiedzenia się o dniu, w którym branka miała mieć miejsce, była rzeczywiście nadzwyczajną i dwa razy udało mu się dowiedzieć się o niem i zarządzić wszystko w ten sposób, aby policya, przyszedłszy do domów, nie zastała w nich tych których szukała. Ale i rząd rosyjski w porę dowiedział się o tem, że został zdradzony i w porę odwołał rozkaz już dany do uskutecznienia branki. Tak wiec, cała walka między rządem moskiewskim i konspiracyą polską przybrała charakter, który mógłby być nazwany komicznym, gdyby tu nie szło o los i życie kilkunastu tysięcy ludzi, a obiedwie strony wysilały się wzajemnie, jedna na to, aby zachować tajemnicę tego co zrobić, a raczej kiedy zrobić zamierza, a druga na to, aby tę tajemnicę odkryć. Podwójne odkrycie terminu branki, dodało komitetowi Centralnemu wiele otuchy i nappełniło członków jego przesadzonem zaufaniem w zręczność jego policyi, a zarazem wzbudziło w masach organizacyi nieograniczoną ufność w czujność komitetu. Usposobienie to miało tę dobrą stronę, że było rękojmią posłuszeństwa dla

komitetu i zapewnieniem, że wbrew jego woli i rozkazom wybuch nie nastąpi, lecz z drugiej strony mogło ono także stać się powodem największych nieszczęść i zupełnie zachwiać autorytet i władzę jakiej komitet ten używał, w razie gdyby przekonanie o jego czujności i zręczności zostało zawiedzione przez uskutecznienie branki przez rząd. Uprzedzenie branki i ocalenie od niej tych, którzy nią byli zagrożeni, stało się więc dla komitetu warunkiem jego egzystencji, a każdy widział, że w razie gdyby on nie odpowiedział temu zadaniu, przestanie on być od razu władzą kierującą masami, lecz zejdzie na stanowisko wykonawcy woli tych mas, które go bez wątpienia pociągną tam, gdzie on iść na teraz wcale nie zamierzał. Tak rzeczy stały w końcu grudnia 1862 r., wszyscy czuli że burza jest w powietrzu, gdyż trudno było nawet przypuścić, aby środek tak monstualny jak branka Wielopolskiego mógł być dokonany bez żadnego oporu. Nikt jednak nie sądził aby mogło przyjść do ogólnego powstania, gdyż wiadano dobrze, że w kraju broni nie ma wcale. Spodziewano się więc, że skończy się wszystko na kilku lub kilkunastu krwawych, czysto indywidualnych starciach tu i owdzie, a liczone najzupełniej, że komitet w czas się dowie o dniu branki i że większą część nią zagrożonych zdoła ocalić, wyprawiając ich bądź na emigrację za granicę, lub też ukryje ich przed Moskalami w kraju,

Tymczasem 8. stycznia 1863 roku, w chwili kiedy się tego wcale nie spodziewano, rozeszła się po Warszawie pogłoska, że w nocy ma się odbyć pobor. Wiadomość ta wywołała w całym mieście popłoch niesłychany, a zarazem ogólne oburzenie przeciw komitetowi, któremu zarzucano że, zobowiązawszy się uprzedzić o poborze tych, którzy niem byli zagrożeni, zobowiązań swych nie dotrzymał, a przez to stał się powodem, że o ratunku i myśleć już nie podobna. Młodzież w skutek pogłoski tej zaczęła tłumnie opuszczać Warszawę, i bez planu i umiejętnych dowódców gromadziła się w lasach, znajdujących się w okolicy Serocka, a noszących nazwę Kampinoskiej puszczy. Ruch ten wynikł sam z siebie, bez wiedzy i woli komitetu Centralnego, który dowiedziawszy się dopiero o tem, że bardzo znaczna ilość młodzieży błąka się po lasach Kampinoskich, wysłał tam członka swego, Zygmunta Podlewskiego, z misją objęcia nad nią

dowództwa i po przejściu Wisły, starania się wyprowadzenia całej tej młodzieży za granicę. Dwunastego stycznia Podlewski przeszedł Wisłę, i unikając starcia z wojskiem rosyjskim, dążył małemi oddziałami ku granicy. Pogłoska o dokonaniu poboru 8. stycznia okazała się fałszywą i powstała jak sądzą ze źródeł zależnych od moskiewskiej politycy, rzuciła ona jednak popłoch ogólny na kraj, wywołała wielkie zamieszanie w organizacyi, i osłabiła niezmiernie autorytet komitetu Centralnego, w czynność i zręczność którego przestano wierzyć. Pobór w Warszawie i wszystkich miastach Kongresówki odbył się dopiero w nocy z 19. na 20. stycznia, ale rezultat jego był dla Moskali bardzo niekorzystny, gdyż ci którzy byli zagrożeni, mieli się wszędzie na baczności i prawie wszyscy, idąc za przykładem młodzieży Warszawskiej wczesnie opuścili miejsca swojego pobytu i wynieśli się do wsi okolicznych i lasów. W nocy tej Moskale dokonali tylko ogólny napad na domy w miastach i zaniepokoiili i oburzyli ich mieszkańców brutalnością z jaką odbywali swe poszukiwania, ale znaleźli tylko nie wielu z tych których szukali. Nazajutrz po tej ogólnej nocnej rewizyi, powstanie zbrojne w całej Polsce stało się samo przez się faktem dokonany, gdyż cała prawie młodzież krajowa znalazła się w tem położeniu, że jej nic nie pozostawało jak tylko wrócić do domów i oddać się dobrowolnie w niewolę moskiewską, lub też zorganizować się jako tako w lasach i rozpocząć rozpaczliwą walkę. Gdyby w obec tej rozpaczliwej sytuacji głos rozważy i rozsądku mógł trafić do ogólnego przekonania, to niewątpliwie młodzież przeniosłaby ucieczkę za granicę, a nawet niewolę moskiewską, nad powstanie bez broni i innych potrzebnych środków, które nie miało żadnych szans zwycięstwa, lecz narażało z pewnością krać na największe klęski. Większość komitetu i wszyscy ludzie rozważni w kraju byli stanowczo zdania, że lepiej jest znieść wszystko jak uciekać się w tej chwili do powstania, ale głos ich nie znalazł posłuchu, a zapaleńcy którzy dowodzili że „z kijami i kosami trzeba zdobyć karabiny na Moskalach, a karabinami temi odebrać im działa“, trafili więcej do przekonania doprowadzonej do rozpaczki młodzieży, która w rzeczywistości nie słuchała już komitetu, lecz działała zupełnie na swoją rękę. Ilość młodzieży

zebrana po lasach rosła coraz bardziej, a że Moskale, czy z umysłu, czy może z ostrożności pochodzącej z niewiadomości o siłach i środkach którymi ona rozporządza, nie na pastowali jej nigdzie a mieszkańcy wszędzie dostarczali żywności i wiadomości, mogła więc młodzież owa uorganizować się jako tako i w wielu miejscach zaopatrzyć się w broń myśliwska, kosy, rewolwery i t. d.

Naczelnicy wojskowi, ustanowieni we wszystkich województwach przez komitet Centralny, stanęli wszędzie na czele młodzieży zgromadzonej w lasach i uorganizowawszy ją o ile się to dało na sposób wojskowy, starali się wprowadzić między nią karność i obeznać z ruchami i musztrą. Oczywiście że wszystko to robiło się nadzwyczaj niedokładnie, po dyletancku.

W ciągu całego pierwszego tygodnia nie przyszło do żadnego starcia z Moskalami, którzy koncentrowali swe wojska w miastach, a kraj cały prawie opuścili zupełnie. Powstanie więc zyskało w skutek tego czas do uorganizowania się i uzbrojenia, a w miejscach gdzie lud wiejski był mu przychylny, jak na Podlasiu i w Świętokrzyskich górach oddziały powstańcze urosły do siły kilku tysięcy ludzi, i postanowiły działać zaczepnie. Pierwsze większe spotkanie z Moskalami nastąpiło na Podlasiu pod miasteczkiem Siemiatyczami, gdzie powstańcy napadli na Moskale, wyparli ich z miasta i zabrali kasy, broń i nawet jedną armatę. Ale wkrótce Moskale, otrzymawszy znaczne posiłki, napadli na powstańców i zadali im dotkliwą klęskę. Na Podlasiu pierwszymi dowódcami byli: Lewandowski, Sokół (Machlinski), Jankowski, Leleweł-Borełowski, Dr. Czarkowski, Szaniawski i inni.

W górach Świętokrzyskich, na pograniczu Galicyi, naczelnikiem był Langiewicz, późniejszy Dyktator, który potrafił oddział swój nieźle uorganizować i doprowadzić do siły kilku tysięcy ludzi. W województwie Płockiem, na granicy pruskiej, Zygmunt Podlewski, który miał także kilka dość szczęśliwych utarczek z Moskalami i, dzięki bliskości granicy potrafił zaopatrzyć się w broń. W ogóle w miejscowościach bliższych granicy stan oddziałów powstańczych był znacznie lepszy niż w głębi kraju, a to dla tego że sympatye mieszkańców pochodzenia polskiego, w Galicyi i Poznańskiem,

i stosunkowa łagodność rządów austriackiego i pruskiego, dawały możliwość sprowadzania broni, zapasów wojennych i ochotników.

*

*

*

Ponieważ opowiadanie wypadków wojskowych stanowić będzie drugą część pracy naszej, dla tego też ograniczamy się tutaj na tych kilku słowach wspomnienia o losach początkowych powstania na polu bitwy, a wrócimy do dalszego streszczenia tego, co się działo w łonie organizacji narodowej i komitetu Centralnego. Powiedzieliśmy już wyżej, że powstanie wybuchło samo z siebie, pomimo, a nawet wbrew woli komitetu, który do ostatniego dnia ludzi się nadzieją że ostateczności tej można będzie uniknąć. Kiedy powstanie stało się faktem i komitet zobaczył że wszędzie oddziały się formują a w organizacji panuje przeciw niemu najwyższe oburzenie za jego nieporadność i bezczynność, w obec tak stanowczych wypadków, zdecydował się dopiero na odzwanie się do kraju i określenie stanowiska swego. Odwoływać i potępiać powstanie, wówczas gdy się krew już lała, było rzeczą niemożliwą; uznać że powstanie wybuchło pomimo woli komitetu, nie można było także, gdyż byłoby to skonstatowaniem swej bezsilności i braku autorytetu; po długim wahaniu się i naradach, komitet postanowił stanąć na czele powstania, objąć dyrekcyę nad niem i o ile sie to da, dostarczyć mu środków do walki i nadać mu jak największą doniosłość. W odezwie, którą komitet wydał do kraju, 22. Stycznia, a w której przybiera nazwę Tymczasowego Rządu Narodowego, wzywa do broni kraj cały, oświadcza że walka rozpoczęta jest wojną narodu polskiego o niepodległość Ojczyzny w dawnych jej przedrozbiorowych granicach i oświadcza, że tylko osiągnięcie tego celu, a nie żadne koncesye autonomiczne ze strony Rosyi mogą walce tej koniec położyć. Jednocześnie, komitet wydał dekret nadający włościanom na własność ziemię, którą oni uprawiali i wzywający ich także do walki o niepodległość Ojczyzny, a także odezwę do Europy w której określał cel powstania, wyliczał wszystkie krzywdy jakie Polska poniosła od Rosyi i wzywał rządy i ludy Europy do poparcia czynnego jej słusznej sprawy.

*

Wiadomość o powstaniu polskiem wywołała w całym świecie jak najżywszą sympatyę, a głos opinii publicznej był tak silny, że nawet rządy europejskie musiały się z nim liczyć i nie mogły pozostać obojętnymi widzami tego co się działo w Polsce. W parlamencie angielskim, w ciele prawodawczem francuskim, i niemal wszystkich krajach posiadających reprezentację narodową, najbardziej wpływowi ludzie zabierali głos na korzyść Polski i wzywali swe rządy do czynnego wystąpienia przeciw barbarzyństwu rządu rosyjskiego, którego wojska zaczęły w owym czasie dokonywać okrucieństw niesłychanych w dziejach nowożytnych. Dziennikarstwo całe wtórowało wszędzie tym objawom opinii publicznej, a wszędzie gdzie tylko istniały jakie stowarzyszenia i assocjacje ludowe, powstanie polskie stało się głównym przedmiotem rozpraw i ogólnego zajęcia. Pomimo oddalenia i trudności dostania się do Polski, dość znaczna liczba ochotników dążyła do oddziałów powstańczych z Francyi, Włoch a nawet z Niemiec i Szwecyi, i we wszystkich tych krajach pozawiazywały się komitety, mające na celu zbieranie składek pieniężnych, broni i innych zasobów dla powstania. Rząd francuski, w obec nacisku opinii publicznej kraju swego, pomimo wewnętrznej niechęci ku powstaniu, które rozbijało od razu wszystkie plany jego oparte na przymierzu z Rosyą, nie mógł jednak pozostać zupełnie biernym widzem wypadków polskich, gdyż bierność ta depopularyzowałaby go w oczach własnego narodu i posłużyłaby jako wyborny pretekst do oskarżenia go przez opozycję o brak energii, siły i poważania w Europie. Będąc znów z drugiej strony wplątany w nieszczęśliwą wyprawę meksykańską i nie mogąc liczyć na współdziałanie żadnego z mocarstw europejskich, rząd napoleoński nie chciał, a może i nie mógł iść za daleko w interwencyi na rzecz Polski, gdyż zrywać zupełnie z Rosyą nie zamierzał wcale, a chciał tylko zrobić dla Polski coś pozornie, dla tego aby zaspokoić domagania się opinii publicznej we Francyi. W obec położenia tego Napoleon jak zwykle uchwycił się drogi półrodkowej i wziął inicjatywę owej kampanii dyplomatycznej, w której wszystkie mocarstwa europejskie, z wyjątkiem Prus, wzięły udział przesyłając do gabinetu Petersburskiego noty z przedstawieniami na korzyść Polski, a która się zakończyła sławną

odprawą, jaką na nie dał kanclerz moskiewski Gorczakow. Nieszczęsna ta interwencja dyplomatyczna, która z góry skazaną była na pozostanie bez skutku, gdyż wiadano dobrze, że żadne mocarstwo noty swej nie myśli popierać orężem, przyniosła niesłychaną szkodę Polsce, gdyż wzbudziła w Polakach nadzieję na pomoc zagraniczną i pobudziła ich do przedłużania walki, pomimo zupełnego braku środków do niej i oczywistego nieprawdopodobieństwa zwycięstwa, a z drugiej strony dała rządowi moskiewskiemu nowy środek do wzbudzenia w ludzie moskiewskim najdzikszego fanatyzmu przeciw Polsce, do usprawiedliwienia owego systemu eksterminacji wszystkiego co jest polskie, który on dotąd przeprowadza.

W chwili gdy powstanie wybuchło, pomimo całego współczucia, jakie wszyscy Polacy żywili dla nieszczęśliwej młodzieży, która doprowadzoną została przez ucisk moskiewski do tego kroku rozpacz, większość ludzi zdrowo na rzeczy patrzących, to jest prawie cała część społeczeństwa ukształcona i posiadająca stanowisko i majątek, o ile mogła unikała stanowczego przystąpienia do powstania, i myślała przedewszystkiem o tem, jakby można było utrzymać je w granicach prostego oporu młodzieży zagrożonej proskrypcją przeciw temu barbarzyńskiemu środkowi, a niedopuszczyć aby ono przybrało rozmiary rzeczywistego powstania narodowego. Interwencja dyplomatyczna mocarstw, unicestwiła odrazu te usiłowania, rozbudziła ona bowiem do najwyższego stopnia nadzieje na pomoc zewnętrzną i zmusiła niejako wszystkich do przystąpienia do powstania. Pod wpływem tej interwencji, cała organizacja biała złączyła się stanowczo z Komitetem Centralnym, który przyjął do składu swego dwóch członków z łona tej organizacji, i powstanie stało się aktem narodowym, którego nie uznać nie można było bez wyraźnej zdrady kraju. Ponieważ jednak, jak to widzieliśmy wyżej, powstanie to wybuchło całkiem nie w porę, a kraj nie był wcale do niego przygotowany pod względem uzbrojenia rozwinąć się ono nie mogło, pomimo całego patriotyzmu i poświęcenia ogółu, gdyż brak broni czynił to materialnie niepodobnem. Interwencja mocarstw, wywołując powszechną nadzieję na pomoc ich zbrojną, sprawiła że, pomimo zupełnego niepodobieństwa należytego uzbrojenia po-

wstania a tem samem rozwoju jego sił, postanowiono utrzymywać go jak można najdłużej. Przyjęto więc ów zgubny systemat ciągłych zbrojnych manifestacji, które kosztowały potoki krwi i wyniszczyły kraj z ludzi i pieniędzy, a którego rezultat był najzgubniejszy, gdyż zdemoralizował on w końcu żołnierza i mieszkańców kraju. Niezliczone oddziały powstańcze, które powstawały co chwila i co chwila rozpierzchały się w obec niezmiernej przewagi sił wojskowych moskiewskich, były formowane nie na to aby się biły na seryo z nieprzyjacielem, ale aby istnieniem swym i pozorną walką zaświadczyć przed Europą że powstanie istnieje, i aby dać czas dyplomacji Europejskiej do ukończenia swej kampanii gabinetowej i przekształcenia jej na zbrojną interwencję. Wszyscy, zaczawszy od żołnierza aż do ludzi stojących u władzy, myśleli w ten sposób i wierzyli w konieczność wdania się czynnego mocarstw na rzecz Polski, a wyrazy wyrzeczone przez Napoleona do jednego z agentów rządu narodowego: „*tachez de durer aussi longtemps que possible*“, zamieniały wiarę tę w pewność. Cóż więc dziwnego, że w takim położeniu rzeczy, powstania nie brano na seryo i że zarówno żołnierz jak i naczelnik bił się jakby od niechcenia a odwagę swą i energię odkładał, że się tak wyrażę, do czasu aż się zacznie wojna europejska, która dostarczy Polsce broni i pozwoli powstańcom uorganizować się w armię regularną. Z początku powstania, w wielu utarczkach pomysłnych i niepomyślnych, Polacy bili się z dzielnością niezwykłą i dali liczne dowody poświęcenia i bohaterstwa, lecz owa nieszczęsna interwencja dyplomatyczna sparaliżowała zupełnie wszelki zapał wojenny i wszelkiego ducha inicjatywy, i zamieniła powstanie całe w zupełnie bezsensowną zbrojną i bardzo krwawą manifestację. Wpływ ten interwencji owej na rozwój i charakter powstania należy mieć ciągle na uwadze przy opowiadaniu wypadków wojskowych, gdyż on tylko może wytłómaczyć, dlaczego działanie oddziałów powstańczych było tak chaotyczne i pozbawione wszelkiego planu wojennego i wszelkiej stanowczości. Jeżeli masy narodu współczujące najzupełniej powstaniu, nie wzięły w niem udziału, to przyczynę tego należy także szukać w nadziei na rychłe wypowiedzenie Rosyi wojny przez mo-

carstwa interwenjujące, a mianowicie przez Francję i Austryę. Do powstania bowiem szli tylko gorętsi, a większość, chociaż gotowa była do walki i pragnęła wziąć w niej udział, wolała przystąpić do niej wtedy, gdy będzie broń i gdy można będzie uorganizować się w armię.

Tak jak interwencya dyplomatyczna wciągnęła do popierania powstania wszystkich tych, którzy mu byli zasadniczo przeciwni, tak też przeszkodziła ona temu, aby powstanie to rozwinęło się przez poruszenie wszystkich sił narodowych a zamknęła go w błędnem kole zbrojnych manifestacyj i komedyi wojny, które moralnie zabiły ducha narodowego, a materyalnie wycieńczyły kraj przynajmniej tyle, jeżeli nie gorzej, jak najbardziej uporczywa wojna. Gdy się okazało, w końcu roku 1863, że nadzieje na pomoc zbrojną mocarstw zachodnich były płonne, i niektórzy z naczelników powstania chcieli probować rozżarzyć na seryo wojnę narodową, usiłowania ich nie mogły już przynieść żadnych owoców, bo najlepsze siły narodu zużyły się bezowocnie w zbrojnych manifestacjach, ludzie odznaczający się duchem inicjatywy i odwagą albo zginęli, albo jęczeli w więzieniach moskiewskich, organizacya była już rozbita i cały ruch narodowy konał w potokach krwi i zgłiszczach pożarów. Taka jest historia genezy nieszczęsnego powstania polskiego z roku 1863—64, które wybuchło przed czasem, pozbawione było wszystkiego tego, co jest niezbędne dla wojny i w samym początku swoim, skrzywionem i sparaliżowanem było przez fałszywy kierunek, jakie mu nadano z powodu dyplomatycznej interwencji mocarstw europejskich. Jeżeli jednak w tych warunkach powstanie to zdołało istnieć całe półtora roku i ściągnęło do ziem polskich prawie dwie trzecie sił rosyjskich, dowodzi to tem bardziej, że Polska stanowi dla Rosyi ową piętę Achileśa w którą najmniejsze uderzenie jest dla niej śmiertelne, a każdy człowiek bezstronnie na rzeczy patrzący nie może nie przyznać, że w stosunku do środków jakimi powstanie polskie rozporządzało i do warunków i okoliczności pośród których się ono rozwijało, sam fakt istnienia jego w ciągu półtora roku jest dowodem niepospolitej żywotności narodu polskiego i niezwyklej w naszych czasach ofiarności jego.

Po strasznych klęskach przez jakie Polska przeszła w czasie tego powstania i pomimo nadzwyczajnych wysiłków ze strony Rosyi w celu wytepienia ducha narodowego i patriotyzmu, naród polski pozostał dziś takim jak był, a świadectwa wszystkich tych, którzy znają dokładnie stan obecny kraju tego, zgadzają się na to, że ucisk moskiewski i system rusyfikacyi nie zdołał wcale złamać, ani nawet osłabić patriotyzmu Polaków. Jeżeli jest dziś jaka zmiana w usposobieniach kraju tego, to chyba ta, że stał się on bardziej rozważnym i mniej pochopnym do ruchu nie mającego szans powodzenia, a także mniej łatwowiernym i bardziej nieufnym dla Europy. Nie ma żadnej wątpliwości, że każde mocarstwo europejskie, rozpoczynające wojnę z Rosyą, miałoby za sobą szczere sympatye Polaków, ale to także pewna, że sympatye te pozostałyby zupełnie bierne, gdyby kwestya Polska była obcą tej wojnie. Użyć się za narzędzie przeciw Rosyi, dla celów obcych, Polacy się dziś nie dadzą z pewnością, ale jeżeliby mocarstwo wojujące z Rosyą, poruszyło kwestyę Polską i zawezwało Polaków do broni, to może być pewnem, że cały kraj leżący między Wisłą, Niemnem, Dźwiną i Dnieprem, na wezwanie takie głuchym nie będzie, a postawi żołnierzy tyle ile będzie karabinów. Powtarzamy to raz jeszcze, że za cudzą sprawę Polacy już bić się nie będą więcej, gdyż dzieje Napoleońskie i rok 1863 są zbyt świeże w ich pamięci i zbyt wiele ofiar ich kosztowały, lecz kto potrafi sprawę swoją zsolidaryzować ze sprawą Polską, ten powitany będzie jak zbawca przez wszystkie klasy ludności polskiej i będzie mógł liczyć co najmniej na 200.000 do 300.000 ochotników walecznych i gotowych do walki na śmierć i życie, gdyż warunki w których Polska zostaje pod rządem rosyjskim są tego rodzaju, że będą oni woleli zginąć jak pozostać w stanie obecnym.

Chociaż można stanowczo powiedzieć, że rząd rosyjski nie ma w żadnej części dawnej Polski, ani w żadnej klasie jej ludności stronników, lecz przeciwnie jest powszechnie nienawidzony, usposobienie jednak prowincyi polskich nie jest wszędzie jednakie. I tak, w całym Królestwie Kongresowem i na Litwie patriotyzm polski jest silnie rozwinięty we wszystkich warstwach społecznych, i zarówno chłop jak szlachcic i mieszczanin, gotowi są w danym razie do chwy-

cenia za oręż przeciw wspólnemu wrogowi. Oczywiście że, jak wszędzie, tak i tu ludność ukształcensza, a szczególnie miejska jest wrażliwszą i bardziej pochopną do czynu, wówczas gdy masa chłopów bardziej ostrożna i konserwatywna, dałaby się poruszyć chyba wtedy, gdy widzieć będzie większe prawdopodobieństwo zwycięstwa. Jednak, w czasie powstania 1863 roku, pomimo słabości sił jego i braku uzbrojenia, w wielu okolicach chłopci całymi masami brali w niem udział (n. p. na Żmudzi i Podlasiu, t. j. w guberni Kowieńskiej i w okolicach Białegostoku, Brześcia Litewskiego i Siedlec), a wiele oddziałów powstańczych składało się prawie wyłącznie z chłopów. Jeżeli były przykłady, że chłopci znajdowali się nieprzyjaźnie dla powstania, to nieprzyjaźń owa pochodziła li tylko z powodu nienawiści socjalnych, zręcznie podniecanych przez rząd, lecz wcale nie z przychylności ku temu rządowi. Dziś nienawiści te umniejszają się, bo chłop jest wszędzie zrównany w prawach ze szlachcicem i ma własność ziemską, a ucisk moskiewski dolega zarówno wszystkim klasom ludności. Przytem, przesładowanie religii katolickiej, przymusowe nawracania na schizmę i ciągłe bezprawia popełniane przez urzędników rosyjskich, wznieciły w chłopach nienawiść do rządu, tak że dziś chłop w Królestwie i na Litwie daleko więcej jak przed powstaniem 1863 roku skłonnyby był do ruchu przeciw Moskalom. Każda armia regularna reprezentująca siłę rzeczywistą, mogąca mierzyć się z moskiewskim wojskiem, może być pewną, że w masie chłopskiej na Litwie i Kongresówce znajdzie jak najsympatyczniejsze dla siebie usposobienie, a od umiejętnego wzięcia się jej naczelników, zależeć będzie zamienienie usposobienia tego na zbrojne powstanie.

Na Wołyniu, Ukrainie i Podolu usposobienie ludności jest całkiem odmienne: tu cała klasa wyższa, to jest szlachta, znaczna część mieszczan i w ogóle wszystko co posiada jakie takie wykształcenie, jest zarówno z pochodzenia i języka, jak z usposobień swych, czysto polskie, i odznacza się patryotyzmem najwyższym. Ale wielka masa ludu wiejskiego składa się z Rusinów, którzy patryotyzmu polskiego nie mają, a żywią przytem ku klasie ukształconej pewną niechęć opartą na zawiści społecznej i na wspomnieniu ucisku doznawanego

dawniej od szlachty. Lud rusiński w prowincjach tych, poczucia narodowości nie ma żadnego, i jeżeli nie uważa się sam za Polaka, to także i Moskala ma za obcego sobie i nienawidzi go namiętnie, zarówno jak i rządu jego. Masa ta ludu ciemnego i najzupełniej biernego jest zwykle neutralną w walce Polski z Rosyą i przychyła się w końcu na stronę tego kto jest silniejszy. Ale ponieważ lud ten z natury swej jest wojowniczy i ma niezwykły popęd do awantur a przytem nienawidzi Moskali, armia obca wkraczająca do kraju tego, po pierwszym odniesionem nad Moskalami zwycięstwie, mogłaby z łatwością pociągnąć go przeciw Rosyi. Potrzeba tylko do tego, aby lud ten widział rzeczywistą siłę po stronie nieprzyjaciela Rosyi, a przytem aby nieprzyjaciel ten zapewnił go, że będzie szanować wolność jego. Rząd rosyjski bardzo zręcznie potrafił wmówić w lud ten, że Polacy dążą do wskrzeszenia niewoli i pańszczyzny i w ten sposób rozniecił podejrzliwość jego, dlatego też zapewnienie tego rodzaju jest niezbędne. Między ludnością wiejską Wołynia i Podola, jest kilkakroć sto tysięcy tak zwanych jednodworców, czyli dawnej szlachty zagrodowej polskiej, która z pochodzenia i języka pozostała do dziś polską, lecz będąc systematycznie rujnowaną i demoralizowaną przez rząd, przedstawia nader smutny obraz pod względem stanu swego moralnego i materyalnego. Żadna część ludności nie jest tak uciemioną i upośledzoną jak owi jednodworczy, dla tego też nigdzie nie ma gwałtowniejszej jak między nimi nienawiści dla Rosyi. Jednodworczy ci są rozrzućeni po całym obszarze kraju, ale w pewnych powiatach Wołynia i Podola, jak Owrućkim, Kowelskim, części Żytomierskiego i Proskirowskim, zajmują oni wyłącznie całe okolice. Żydzi nakoniec, którzy w całej dawnej Polsce stanowią główną ludność miast, są zupełnie obojętni pod względem politycznym, oddani wyłącznie myśli o zysku, służą oni zwykle temu, kto lepiej płaci a ulegają temu kto silniejszy. Dla rządu rosyjskiego utrzymującego ich w stanie poniżenia i ucisku, sympatyi oni mieć nie mogą i nie mają, ale boją się go i obróćą się przeciw niemu chyba wtedy, gdy widzieć będą, że szala zwycięstwa stanowczo się przechyliła na stronę jego przeciwnika. W powstaniu 1863 roku, w Kongresówce, żydzi dość sprzyjali ruchowi polskiemu, gdyż widzieli, że Polacy i dla nich

domagali się równouprawnienia; były nawet dość liczne przykłady młodych żydów bijących się w szeregach powstania lub pracujących gorliwie w organizacyi. Przykłady te, jakkolwiek dość liczne, tyczą się jednak indywidualów, wówczas gdy masa żydów, nie lubiąc Moskali i sprzyjając Polakom, zachowała się jednak zupełnie biernie.



Wszystkie te sprawy są bardzo ważne i należy do nich zwrócić uwagę. W szczególności należy zwrócić uwagę na to, aby wszystkie sprawy były prowadzone zgodnie z przepisami. W tym celu należy wyznaczyć odpowiednich pracowników i zapewnić im odpowiednie szkolenie. Ponadto należy zwrócić uwagę na to, aby wszystkie sprawy były prowadzone w sposób przejrzysty i otwarty. W tym celu należy udostępnić wszystkim zainteresowanym osobom wszystkie niezbędne informacje. Wreszcie należy zwrócić uwagę na to, aby wszystkie sprawy były prowadzone w sposób efektywny i oszczędny. W tym celu należy wyznaczyć odpowiednich pracowników i zapewnić im odpowiednie szkolenie.



Wspomnienia z czasów młodości.



Wspomnienia z czasów młodości

Wspomnienia z czasów młodości.

Miasto gubernialne w którym skończyłem gimnazyum, było ciche i spokojne — posiadało trzy kościoły kat. zbór ewangelicki i cerkiew prawosławną, domów murowanych jedno- i dwu- piętrowych ilość dostateczną dla pomieszczenia 10.000 ludności, lichej i zaniedbany ogród spacerowy, dwa odwachy i roгатkę przy każdym wyjeździe z miasta, znaczną ilość żydów, zajmujących oddzielną część miasta, którą na każdą sobotę, zawieszanymi drutami na przygotowanych specjalnie na ten cel słupach zamieniano na jeden niby dom — słowem posiadało to wszystko, co miasto gubernjalne mieć powinno. Mieszkańcy żyli spokojnie, — jedli, pili, chodzili spać we właściwym czasie, rodzili się i umierali — latem w dniu świąteczne, wychodzili gromadami za roгатki miejskie dla spaceru i zabawy, ale dalej po za tem myśl ich nie sięgała. Wyjątek stanowiło kilku weteranów Napoleonowskich i kilku niedobitków armji 31 r. którzy czytali pilnie Kurjerek warszawski, niecierpliwie codziennie czekali na przybycie kasetki pocztowej z Warszawy i na ucho wzajemnie szeptali sobie polityczne wiadomości, a zawsze pełni otuchy po swojemu urządzali przyszłość Europy.

Trzydziestoletnie rządy Mikołaja doprowadziły kraj do jakiegoś dziwnego odrętwienia. Ówczesne tak zwane abecadło mikołajowskie — „Abramowicz, Baty i Cytadela“, dobrze znane było każdemu i lekcywałyć go było bardzo niebezpiecznie. Mawiano, że ściany mają uszy; a życie po ludzku było wprost niemożliwem. Starsze pokolenie przywykło do takiego pojmowania życia — my młodzi, wówczas raczej dzieci, bez żadnych widomych i wyrozumowanych powodów a wprost instynktownie, wskutek gwałtowniejszego obiegu krwi i zapasu energii życiowej nie mogliśmy się z tym stanem pogodzić. Bez kierowników, jak to błędnie wielu utrzymuje, szukaliśmy upustu dla młodych sił — nam było ciasno

i duszno w tym olbrzymim karmniku, w którym nahajka i „byt’ po siemu“ miały regulować wszelkie interesa, sprawy i potrzeby. Lgnęliśmy chętnie do owych weteranów, czasem który z nich w przystępie dobrego humoru, coś nam o swojej przeszłości wspominał, a gdy się zapomniał i rozmarzył wspomnieniami — to dla nas i uczta gotowa.

Po skończeniu gimnazjum znaleźliśmy się w położeniu bez wyjścia. Od roku 31 szkoły wyższej w kraju nie było. Znaczna część pogodziła się z losem i szukała kariery w zawodzie urzędniczym, zamożniejsi udawali się do Marymontu aby tam uzyskać wykształcenie fachowe, jako przyszli obywatele rolnicy. Kilku malkontentów przemyślało, jak zdobyć jaki taki grosz, aby się dostać choćby w lat parę do uniwersytetu. Należałem do tych ostatnich. Ojciec, były żołnierz, nie kępował mnie, co do moich dalszych widoków i po roku dopomógł wyjechać do Warszawy, gdzie miałem się rozjeździć i o losie przyszłym zdecydować.

Warszawa ogłuszyła mnie swoim ruchem i wrzawą, zdało mi się, że martwota mego gubernialnego miasteczka była jego winą. Postanowiłem wstąpić do szkoły sztuk pięknych na wydział budownictwa, jedyny wyższy specjalny zakład naukowy. Na malarstwo i rzeźbę przyjmowano z domowej edukacji — na budownictwo można było wejść tylko po ukończeniu gimnazjum, lub wyższej szkoły realnej 6-klasowej w Kielcach. Patent nie dawał prawa wejścia do szkoły, trzeba było poddać się egzaminowi. Na egzaminie z matematyki Wrześniowski przekonał mnie stanowczo, że nie mam ani pojęcia o matematyce analitycznej, co mocno zachwiało moją wiarę w otrzymany atestat dojrzałości. Wpuścił mnie do szkoły, dlatego tylko, aby nie kompromitować gimnazjum, gdyż w patencie miałem najwyraźniej wszystkie stopnie z matematyki celujące. Poczciwy stary profesor wierzył, że muszę posiadać przynajmniej zdolność szczególną do matematyki, jeżeli potrafiłem zyskać stopnie najwyższe. Wchodząc do szkoły po części i ja w to wierzyłem, prędko jednak przekonałem się, że uzupełnienie braków było dla mnie wprost niemożliwym. Troska o kawałek chleba, ubieganie się za lekcyami, pochłaniały mój czas, który trzeba było w zupełności poświęcić dla siebie.

Ówczesny wydział budownictwa był wzorowym zakładem naukowym i dał krajowi przez czas krótkiego swego istnienia kilku zdolnych budowniczych, pomimo bardzo szczupłej liczby uczniów. Na pierwszy kurs weszło ze mną 11 uczniów, ale już na trzecim kursie liczba ta zredukowała się do 4 czy 5. Profesorowie światli, sumienni, nie szczędzili pracy, aby przygotować z nas pożytecznych pracowników. Wrześniowski wykładał matematykę, z powodu wieku może trochę ociężyła, ale wielkich zdolności profesor; Bernard mechanikę, Przystański fizykę, Marconi budownictwo, Podczaszyński historią budownictwa i w ogóle sztuki oraz rysunek architektoniczny — Penczarski, wykreślą — Papłoński, język rosyjski, rysunek z gipsów Kaniowski, pejzaże Breslauer. Z tych Penczarski, Przystański zajęli katedry w znacznie później otwartej szkole głównej. Dyrektorem szkoły był Wołków, moskał, człowiek wykształcony, lubiący sztukę i ten nie zawadzał nam wcale.

Po dłuższym pobycie w Warszawie, przekonałem się, że i ona niczem tak bardzo nie różniła się od mego małego miasteczka. Papu, okrywka i teatr, a w tym ostatnim balet, zapełniały najkompletniej życie ówczesnego mieszkańca stolicy. Warszawiak z natury jest gorączkowo ruchliwym i dlatego chociaż miasto miało wówczas (w 1854 r.) 180.000 ludności, Warszawa prezentowała się i robiła wrażenie wielkiego miasta. Dla nas miała tę zaletę, że łatwiej w niej było o książkę, niż w każdym innym mieście. Abramowicz dniem i nocą jeżdżący z kozakami po wszystkich ulicach i zaułkach, cytadela grożąca miastu swymi czerwonymi murami i bastyonami, cała armja szpiegów, obok licznej urzędowej i umundurowanej policji — trzymała ówczesną Warszawę w takich kleszczach i pod taką grozą, że każdy mieszkaniec jak dobrze tresowany pudel, skakał tak jak mu kazano. Mikołaj znał nas zanadto dobrze, aby na swoim abecadle poprzestać. Groza dobrą była dla starszych, wobec młodej burzliwej krwi mogła się okazać bezsilną, pomyślał więc o zobojętnieniu tak niebezpiecznego czynnika na innej drodze za pomocą innych środków.

Ministrem-sekretarzem stanu dla Królestwa był Turkuł, człowiek o ile pamiętam, względnie do zajmowanego stanowiska młody, elegancki, ulubieniec Mikołaja, który

zamiast w Petersburgu chętnie przesiadywał w Warszawie. Prowadził życie hulaszcze, fundusz podobno czerpał z prywatnej szkatuły Mikołaja. Po nocach incognito można go było spotkać po najbrudniejszych kawiarniach, gdzie wzbudzał podziw ówczesnej tłumnie zapełniającej bióra młodzieży, a jeżeli któremu z aspirantów do urzędów, udało się cynicznym przewyższyć p. Ministra, to dowiedziawszy się o jego nazwisku, niezawodnie przy pierwszej zdarzonej sposobności awansem nagroził. Czasem wskutek awantury pan Minister dostał się na odwach, z kąd prędko się wydobywał wyprawdzając i współwinnych z niewoli. Jaki wpływ podobny dygnitarz mógł mieć na młodzież, nie trudno sobie wyobrazić. Były to czasy artystyczno-literackiej cyganerii, a Włodzimierz Wolski, Brzozowski, Gierdziejewski, Szermentowski z całą falangą, kto wie czy nie najzdolniejszej młodzieży dobrze byli znani, we wszystkich najbrudniejszych knajpach ówczesnej Warszawy. Że w tych wertepach marnowały się najpierw siły, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Uosobieniem tego kierunku był może najzdolniejszy z pomiędzy wyżej wymienionych Gierdziejewski. W innych warunkach może byłby wyolbrzymiał na mistrza z Bożej łaski — a zmarł na sobie ostаточно. Noce spędzone na orgjach i pijatykach, dnie do południa przespane, po przebudzeniu znów pijatyki i hulanki, w przerwach między jedną a drugą libacją wybryki dobrego humoru, wprawiające w zdumienie pocziwych warszawskich mieszczuchów, mogły zaiste nie już iskry, ale płomienie darów bożych zagasić, bo nie było czasu na ich pielęgnowanie.

Na Miodowej ulicy do dziś prawie w niczem nie zmieniony stoi dom Grabowskiego, kiedyś pałac Tepera, o czem świadczą dotąd zachowane niegdyś wspaniałe schody w bramie frontowej. W domu tym na 3 piętrze były kawalerskie mieszkania. Jedno z nich zajmował Gierdziejewski. O umówionej godzinie, weszliśmy do obszernego pokoju, w którym oprócz sztalug nic więcej literalnie nie było. Ściany porysowane węglem w najrozmaitsze fantastyczne figury: czarownicy, diabłów, morowego powietrza, głodu, ognia i wojny, a wszędzie pełno kurzu, brudu i śmiecia. Na środku pokoju na równie brudnym sienniku niewielka, blada postać Gierdziejewskiego w czystej bieliznie, która wobec podobnego oto-

czenia wydawała się być olśniewającej białości. W głowach z jednej strony kawałek łożówki w butelce, z drugiej butelka z niedopitą wódką. Na palcach cicho siania się bosi famulus Gerdziejewskiego, zwany Bóg wie dla czego Migdał — poczciwy drab warszawski, który zawsze doskonale zna gusta i upodobania swojego pana i jest więcej przyjacielem poufnym niż sługą, znoszący z filozoficznym spokojem złe i dobre czasy, a bywały tak złe, że pan i Migdał posiadali jedną parę obuwia i gdy pan wychodził — Migdał zostawał bosi w mieszkaniu i na odwrót.

Czy dziś są w Warszawie tacy słudzy nie wiem, ale dawniej byli. — Obudzony Gerdziejewski chwycił za niedopitą butelkę, prosił aby pić, chciał nawet Migdała posłać po wódkę, ale, że pora była spóźniona, a damy zamówione czekały, ubrał się pospiesznie i wyszliśmy wszyscy na ulicę. Było południe. Tłumy pobożnych wyroiły się na ulicę z kilku pobliskich kościołów. Jeden z nas, nie pamiętam już z jakich powodów, porzucił zamiar udania się stosownie do umowy, na Saską kępę i chciał się pożegnać, gdy Gerdziejewski zdejmując z nogi kamasz i grozi obiciem. Raptowna kapitulacja zażegnała skandal i dalej wesoło, ale już spokojnie powędrowaliśmy nad Wisłę. Mówię o tem dlatego, że szczególne względy Mikołaja dla Ministra Sekretarza stanu dla Turkuła nie były bezinteresowne. Który z nich był inicjatorem takiego sposobu zużycia sił młodych, jest dla mnie tajemnicą, wiem jednak, że Mikołaj go za dobry i skuteczny uznawał. W Warszawie miał Turkuła, a jednocześnie w Kijowie Bibikowa, o którym później, co zasłyszałem, opowiem, bo go już w Kijowie nie zastałem.

Szatańska polityka mikołajowska względem młodzieży względnie dość prędko zrobiła kompletne fiasco. Zebrani w szkole z rozmaitych okolic kraju, chociaż z początku poszliśmy z ogólnym prądem, rychło jednak, podobny sposób życia wydał nam się wstrętnym. Ponieważ nie żyliśmy w ciasnym kółku szkolnym, a chętnie łączyliśmy się z całą młodzieżą, prędko zebrała się dość liczna gromadka zniechęconych do knajp i bez rozpraw i programów zaczęliśmy szukać przyjemności i rozrywki na innych drogach.

Pewnej pięknej nocy letniej, po długiej przechadzce nad brzegami Wisły, po północy usiedliśmy, dla wypoczynku

na ławeczce, około budki na Zjeździe, która do dziś dnia istnieje, zmęczeni spacerem milczeliśmy długo. Noc była prześliczna, pogodna miliardami gwiazd błyszcząca. Miasto spało, wszelki ruch ustał. Wisła zalana srebrem księżycy, zdawało się, że zapatrzona w niebo nie płynie, raczej do drogi mlecznej niż do rzeki podobna. Na statkach u brzegu stojących pogasły ostatnie ognie i tylko pomiędzy statkami w pewnych odstępach czasu — cichy do szeptu podobny, plusk wody świadczył, że matka rzek naszych zawsze, bez wytnienia wciąż naprzód dąży ku morzu.

W ciszy tej jeden z kolegów zaczął półgłosem „Z ojców mych ziemi przez wroga wygnany“ a w miarę jak skupił uwagę naszą, głośniejsz z pamięci deklamował wspaniały hymn wiary i nadziei — przesunął przed naszymi oczami Alp granitowe szczyty pokryte lodem, a na uboczach kapiące różami i bluszczem, kazał się wpatrzeć w tę harfę bez końca o strunach z świata i błękitu — wymówił imię co wypadło z lutni życia — pytał czy po nocach woła nas rodowego krzyk anioła — a my w tę muzykę słów zasłuchani, gdy kazał rzucić pieśni i wziąć się do czynu i mówić przestał, jeszcześmy słuchali — drgał nam w uchu i jęczał w duchu głos hetmana, co o przyszłości kraju nigdy nie wątpił.

Wkrótce zdobyliśmy kompletne dzieła Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, na czytanie ich zbieraliśmy się tłumnie. Upojeni do szału bładziliśmy nocami po Powązkach, nie zdając sobie jasno sprawy dlaczego? To znowu pod wrażeniem wiersza Adama do matki Polki całowaliśmy się bez upamiętania wzajemnie. Na zebraniach u kolegi z budownictwa Kaplińskiego słuchaliśmy godzinami całemi to rzeźnych, to tęsknych, aż prawie beznadziejnych pieśni ukraińskich — a o ludzie który w tych pieśniach swoją dolę i niedolę wypiewał pomimo skończenia gimnazjum wiedzieliśmy mniej niż o czerwonoskórcach. Trzeba się było uczyć. Dostaliśmy Lelewela, Moraczewskiego, a następnie Trentowskiego, Cieszkowskiego, Libelta, Kremera, tem, co wpadło do rąk, dzieliliśmy się jak mogli. To znowu wracaliśmy chwilowo do urządzania maskarad artystycznych, co nam jednak nie przeszkodziło otrząsnąć się i z uroków Mikołajowskich, którym ojcowie nasi oprzeć się nie mogli i pozbyć

się tego strachu nieopisanego, którym do szpiku kości byli przejęci.

W czasie mego pobytu w szkole sztuk pięknych, Mikołaj w Warszawie był dwa razy — raz sam, drugi raz na krótko przed wojną krymską podejmował Franciszka Józefa i Wilhelma. Obadwa przyjęcia były wspaniałe. Tłumy strojne cisnęły się wszędzie. Nikt z obcych nie mógł wątpić o wier-nopoddaństwie Warszawy. Twarda tresura zrobiła swoje; kto wie czy o tej dobie, Rzewuski nie miał prawa powie-dzieć tego, co mu potem jako grzech śmiertelny całego życia, jako zdradę zarzucano. Znadto był rozumnym, aby nie widział tego, co się w koło niego działo. Wśród nawykłych do obróży tłumów rozbawionych, można było i nas wszędzie spotkać, pędziła nas chęć zrobienia jakiegoś skandalu wobec tej wszechpotęgi, dokuczenia tym tłumom ogłupiałym. Za pomocą sztucznego wiru w masie tłoczących się pań i panów na mostku nad kanałem tuż obok pałacu Łazienkowskiego, prawie wprost okien, gdzie pan życia i śmierci podejmował dostojnych gości, udało nam się złamać baryerę i dziesiątki elegantek wraz z policją skapać w kanale. Po tej zaimpro-wizowanej nad program kąpeli zajęliśmy amfiteatr pomimo że był zamknięty i sprowadzili tam tym sposobem tłumy. W tę stronę skierowane były wszystkie race z mających się spalić fajerwerków. Mieliśmy z tego powodu dużo uciechy ratując zbyt bojaźliwych z pod ulewy iskier i spadających niedopalonych rac, wśród sykań i śmiechów z naszej, a jęków i krzyków ze strony ratowanych — kilku naszych kolegów zajmowało facyatę frontową w pałacu Karasia na krakowskim przedmieściu z balkonem. Ponieważ mie-szkańcy miasto przyozdobili masztami i dywanami, bo flagi wówczas nie były jeszcze w użyciu, postanowiliśmy i my swój balkon ozdobić. Z paru kołder mocno wyszarzanych, dziurawych szlafroków, ręczników i bielizny brudnej, udało nam się urządzić jakąś parodję festonów; oczekiwaliśmy nie-cierpliwie efektu jaki podobna dekoracja wywrze na stróżów porządku i przyzwoitości. W ciągu dnia był u nas kilka-krotnie komisarz cyrkułowy, prosząc abyśmy balkon upo-rządkowali. Za każdą razą odmawialiśmy stanowczo, utrzy-mując, że balkon nasz jest w kompletnem porządku, że czem chata bogata tem rada, a brak pańskich dywanów za winę

poczytanym nam być nie może, w końcu że w jednym tylko razie, moglibyśmy żądaniu jego zadość uczynić, gdyby nasze dobre chęci nie podobały się Cesarzowi, o czym jednak wątpimy. Nakoniec wieczorem zebrawszy wszystką gotówkę jakąśmy posiadali, kupiliśmy świeczek groszowych multum i w każdej szybie głównego okna pomieściliśmy tyle, ile się zmieścić mogło, w bocznych za to mogliśmy tylko po jednej zapalić. Nie długo trwała ta oryginalna iluminacja, jednak po dwakroć odwiedził nas znowu komisarz, proponując abyśmy światło w oknach zgasili, a proponował bezskutecznie.

Pomimo znanego nam przysłowia, że „wiele robi ten, co musi“, mieliśmy niewypowiedziany żal do tych rozbawionych tłumów, strojnych nie z rozkazu i bawiących się nie z musu. Że nie odznaczamy się rozumem politycznym, bo i dawniej nie grzeszyliśmy nim zbyt, o tem wszyscy wiedzą; podobne opisanym wystąpienia, świadczą wymownie, nawet o braku taktu politycznego, wskutek czego albo rzucamy się na oślep do walki, bez należytego przygotowania i nagromadzenia odpowiednich sił, albo pokonani opuszczamy ręce i zamiast stać wytrwale na gruncie prawnym, lojalność naszą zmieniamy na służalczość bezgraniczną, którejby się nie powstydział najprawowierniejszy, urodzony carski poddany.

W takim opłakanym stanie doczekaliśmy wojny krymskiej, w czasie której pomimo użycia wszystkich ówczesnych zasobów militarnych Rosyi, pomimo ogołocenia nawet Królestwa z wojska i posunięcia go na linię bojową, gościła widocznie gwiazda Mikołajowska. Królestwo po wyprowadzeniu wojska, Mikołaj zalał, że się tak wyrażę, dobrowolcami.¹⁾ Ta armija ochotnicza, zorganizowana na prędce, w gruncie rzeczy, przed niczem go nie zabezpieczała. Gdyby wówczas było możliwe przebudzenie się kraju, cała ta hałastra rozpedzona być mogła na cztery wiatry i śladu by nie pozostało, ubi Troia fuit. Przez cały czas postoju w Królestwie ochotnicy ci po ukazach byli pośmiewiskiem uliczników i wesołych warszawskich przekupek.

¹⁾ Zwano ich po rosyjsku opolczenie t. j. prawie to co dziś odpowiada pospolitemu ruszeniu.

Jednak ani huk armat pod Sylistryą i Sebastopolem, kruszących potęgę mikołajowską, ani głuche wieści o legii polskiej, nie wyprowadziły kraju ze stanu odrętwienia, nie wstrząsnęły społeczeństwem. Najśmielsi bawili się naiwną polityką pieczonych gołąbków i wierzyli mocno, że Francuzi i Anglicy, przyjdą do nich i pieczone gołąbki będą im wsuwać do rozdziawionej bezmyślnie gęby. A okoliczności tak dalece sprzyjały, że gdy ludzie, do których to należało milczeli, na krańcach rzeczypospolitej, na Ukrainie chłop ruski, zrozumiał położenie i on wystąpił z inicjatywą żądając, aby mu szlachta drogę wskazała. Mało że mu tego odmówiono, ale użyto wszelkich środków, nie pożałowano żadnych starań, aby zdrowy jego rozum obalamucić i opętać i od ruchu powstrzymać. W takim położeniu — to co mogło przy udziale szlachty i inteligencji w ogóle, bo Rusini swojej nie posiadali, cały kraj objąć płomieniem i zachwiać ostatecznie potęgę caratu, skończyło się na miejscowych bez planu i kierunku wybuchach, zgnieconych od razu, bez żadnych poważnych następstw. Podobno kilku studentów z Uniwersytetu kijowskiego zsolidaryowało się z tym ruchem, mówię kilku bo dokładnie nie wiem, a nie chcę utrzymywać, że tylko jeden Rozental, którego później na Syberyi spotkałem.¹⁾

¹⁾ Autor nieco się myli; szlachta podolsko-ukraińska. bliżej placu wojny zamieszkała, a utrzymująca stale stosunek z ks. Adamem Czartoryskim w Paryżu wysyłała dwa razy delegata do Paryża, który konferował z ówczesnym ministrem spraw zagranicznych Drouin de Lhays, ale w Paryżu nie życzone sobie wcale powstania w Polsce ani rozszerzenia placu boju; bardziej niż francuzki był temu przeciwny gabinet londyński z lordem Palmerstonem na czele. O samodzielnym zaś ruchu czy powstaniu naturalnie mowy nie było. Przesadza też autor doniosłość ru hu ludowego zwanego buntem chłopskim na Ukrainie w r. 1855. Ani lud ruski nie był zrozumiał ducha czasu, ani nawet jego przewodcy nie myśleli o skorzystaniu z osłabienia Caratu wojną by mu wojnę wypowiedzieć. Uwierzone pogłosce o powołaniu „w wolne kozaki“ t. j. o udarowaniu wolnością tych, co do kozaków się zapiszą a skoro rząd cesarski sprzeciwił się tej woli udawał się lud istotnie do pauów (Hr. Branickiego w Białej Cerkwi) po radę co mają czynić. Nie można twierdzić, by ten ruch nie mógł się rozwinąć, stać się wrogim i niebezpiecznym dla Rosyi — ale autorowie jego nie byli świadomi celu, ani w istocie niebezpiecznymi. Wyd.

poczytanym nam być nie może, w końcu że w jednym tylko razie, moglibyśmy żądaniu jego zadość uczynić, gdyby nasze dobre chęci nie podobały się Cesarzowi, o czym jednak wątpimy. Nakoniec wieczorem zebrawszy wszystką gotówkę jakąśmy posiadali, kupiliśmy świeczek groszowych multum i w każdej szybie głównego okna pomieściliśmy tyle, ile się zmieścić mogło, w bocznych za to mogliśmy tylko po jednej zapalić. Nie długo trwała ta oryginalna iluminacja, jednak po dwakroć odwiedził nas znowu komisarz, proponując abyśmy światło w oknach zgasili, a proponował bezskutecznie.

Pomimo znanego nam przysłowia, że „wiele robi ten, co musi“, mieliśmy niewypowiedziany żal do tych rozbawionych tłumów, strojnych nie z rozkazu i bawiących się nie z musu. Że nie odznaczamy się rozumem politycznym, bo i dawniej nie grzeszyliśmy nim zbyt, o tem wszyscy wiedzą; podobne opisanym wystąpienia, świadczą wymownie, nawet o braku taktu politycznego, wskutek czego albo rzucamy się na oślep do walki, bez należytego przygotowania i nagromadzenia odpowiednich sił, albo pokonani opuszczamy ręce i zamiast stać wytrwale na gruncie prawnym, lojalność naszą zmieniamy na służalczość bezgraniczną, którejby się nie powstydział najprawowierniejszy, urodzony carski poddany.

W takim opłakanym stanie doczekaliśmy wojny krymskiej, w czasie której pomimo użycia wszystkich ówczesnych zasobów militarnych Rosyi, pomimo ogołocenia nawet Królestwa z wojska i posunięcia go na linię bojową, gościła widocznie gwiazda Mikołajowska. Królestwo po wyprowadzeniu wojska, Mikołaj zalał, że się tak wyrażę, dobrowolcami.¹⁾ Ta armija ochotnicza, zorganizowana na prędce, w gruncie rzeczy, przed niczem go nie zabezpieczała. Gdyby wówczas było możliwe przebudzenie się kraju, cała ta hałastra rozpedzona być mogła na cztery wiatry i śladu by nie pozostało, ubi Troia fuit. Przez cały czas postoju w Królestwie ochotnicy ci po ukazach byli pośmiewiskiem uliczników i wesołych warszawskich przekupek.

¹⁾ Zwano ich po rosyjsku opolczenie t. j. prawie to co dziś odpowiada pospolitemu ruszeniu.

Jednak ani huk armat pod Sylistryą i Sebastopolem, kruszących potęgę mikołajowską, ani głuche wieści o legii polskiej, nie wyprowadziły kraju ze stanu odrętwienia, nie wstrząsnęły społeczeństwem. Najśmielsi bawili się naiwną polityką pieczonych gołąbków i wierzyli mocno, że Francuzi i Anglicy, przyjdą do nich i pieczone gołąbki będą im wsuwać do rozdziawionej bezmyślnie gęby. A okoliczności tak dalece sprzyjały, że gdy ludzie, do których to należało milczeli, na krańcach rzeczypospolitej, na Ukrainie chłop ruski, zrozumiał położenie i on wystąpił z inicjatywą żądając, aby mu szlachta drogę wskazała. Mało że mu tego odmówiono, ale użyto wszelkich środków, nie pożałowano żadnych starań, aby zdrowy jego rozum obalamucić i opętać i od ruchu powstrzymać. W takim położeniu — to co mogło przy udziale szlachty i inteligencji w ogóle, bo Rusini swojej nie posiadali, cały kraj objąć płomieniem i zachwiać ostatecznie potęgę caratu, skończyło się na miejscowych bez planu i kierunku wybuchach, zgnieconych od razu, bez żadnych poważnych następstw. Podobno kilku studentów z Uniwersytetu kijowskiego zsolidaryzowało się z tym ruchem, mówię kilku bo dokładnie nie wiem, a nie chcę utrzymywać, że tylko jeden Rozental, którego później na Syberyi spotkałem.¹⁾

¹⁾ Autor nieco się myli; szlachta podolsko-ukraińska, bliżej placu wojny zamieszkała, a utrzymująca stale stosunek z ks. Adamem Czartoryskim w Paryżu wysyłała dwa razy delegata do Paryża, który konferował z ówczesnym ministrem spraw zagranicznych Drouin de Lhays, ale w Paryżu nie życzyło sobie wcale powstania w Polsce ani rozszerzenia placu boju; bardziej niż francuzki był temu przeciwny gabinet londyński z lordem Palmerstonem na czele. O samodzielnym zaś ruchu czy powstaniu naturalnie mowy nie było. Przesadza też autor doniosłość ru hu ludowego zwanego buntem chłopskim na Ukrainie w r. 1855. Ani lud ruski nie był zrozumiał ducha czasu, ani nawet jego przewodcy nie myśleli o skorzystaniu z osłabienia Caratu wojną, by mu wojnę wypowiedzieć. Uwierzono pogłosce o powołaniu „w wolne kozaki“ t. j. o udarowaniu wolnością tych, co do kozaków się zapiszą a skoro rząd cesarski sprzeciwił się tej woli udawał się lud istotnie do pauów (Hr. Branickiego w Białej Cerkwi) po radę co mają czynić. Nie można twierdzić, by ten ruch nie mógł się rozwinąć, stać się wrogim i niebezpiecznym dla Rosyi — ale autorowie jego nie byli świadomi celu, ani w istocie niebezpiecznymi. Wyd.

Przebieg wojny i oblężenia przekonały Mikołaja, że bagnety w które tak mocno wierzył, tym razem zawiodły jego rachuby, że bagnatów tych nie stało, że postawił Rosyę nad przepaścią, że dla ocalenia jej trzeba prosić o spokój, a prosić tego, czyje przymierze odrzucił. Na to zdobyć się nie mógł, a więc się usunął. Jak dalece umiał być postrachem tłumów, niech świadczy fakt, że wiadomość o jego śmierci, czy wśród wrzawy ulicznej, czy w salonie, komunikowano szeptem do ucha, bez wymienienia imienia.

Wraz ze śmiercią Mikołaja runął i cały jego system. Na tron wstępuje Aleksander II., którego Hercen wskazywał Moskwie jako zbawcę, starając się jednocześnie wmówić w niego, że był niby przez opatrność wskazany, do przeobrażenia Rosyi i wprowadzenia jej w grono cywilizowanych narodów Europy, jako czynnik dodatni. Nie do mnie należy oceniać działalność Aleksandra, jako Cara Moskwy; rozmiary tych notatek pobieżnych z pamięci nie pozwalają na to. Chcę tylko zaznaczyć zachowanie się jego względem Polski. Dla nas w rezultatach okazał się gorszym od Mikołaja. Słabego charakteru w krytycznej chwili, wydał nas na pastwę i samowolę całej sfory Murawiwych, chociaż dotąd mówią tylko o jednym w Wilnie.

Po zawarciu pokoju i kongresie paryzkim, z którego Rosya wyszła nietknięta prawie, nie pamiętam w jaki czas, jednak dość prędko, nowy car zawitał do Warszawy. Warszawa¹ niedoczekawszy się pieczonych gołąbków, przyjęła go nie już z zapałem, ale z pewnego rodzaju szalem; a złośliwi mówili, że ludzie przodujący wówczas narodowi — co rozumie się z pozycyi urodzenia i majątków, przeszli w okazaniu swoich wiernopoddańczych uczuć, po za wszelkie możliwe granice. Zdawało im się, że liberalny cesarz, bo taką miał opinię Aleksander, zarzuci kraj, a przynajmniej ich łaskami. My młodzi dorośliśmy na tyle, że nie przesądzając kwestyi co dla kraju robi car liberalny, chociaż te dwa wyrazy wzajemnie się wykluczają, przyznawaliśmy sobie prawo ocenienia podobnych przekonań i podobnego zachowania się i w sumieniach naszych potępiliśmy go stanowczo. Sądziliśmy, że należało zachować się spokojniej, że uprzejmość nie powinna w żadnym razie posunąć się aż do zaparcia się własnej godności, że gościnność choćby nawet

polska, powinna być polską i nie przypominać gościnności hord koczujących po stepach centralnej Azji. W dzień wyznaczony na bal w zamku, postanowiliśmy gromadką wyjść z miasta i udać się na pola Grochowskie a potem dzień cały spędzić w Olszynie, o którą rozbiła się cała armia Dybicza, rozbitą zaś była i zdeorganizowaną tak dalece, że ów Dybicz Zabałkański, chociaż przeszedł Bałkany, po bohaterkiej obronie Olszyny, nie śmiał ani jeden krok posunąć się ku Warszawie, na ścieżaj otwartej.

Na wspomnieniach, śpiewach i deklamacjach przeszedł nam dzień, jak jedna chwila. Nałamawszy zielonych gałęzi w Olszynie wracaliśmy do miasta prawie o północy, znaleźliśmy się na Zjeździe wśród gapiących się tłumów, złożonych z ludzi wszelkiego wieku, stanu i płci. Stary Zamek królewski tonął w morzu świateł, gorzał, że tak powiem, wewnątrz i zewnątrz, rzucając łunę na duży szmat nieba. Muzyka brzmiała; wybrani tańczyli; bawił się Car, bawili się goście, gawiedź na ulicy zasłuchana i zapatrzona również się bawiła, a my widząc ciała niewieście ubrane w szaty, i widząc że polot ich sukien powiewem trącanych, duchowniejszym był niż ich dusze, szliśmy smutni i samotni ku domowi. Zrównawszy się z zamkiem, w smudze największego światła, jeden z nas zaśpiewał „Tańczujcie polki, dzisiaj czas tańcować“; wszyscyśmy go podtrzymali i chór nasz zmieszał się z dźwiękami muzyki rozbrzmiewającej w zamku. Onie miały tłum rozstał się przed nami i poszliśmy spokojnie dalej, jak ludzie zupełnie obcy, nie mający nic wspólnego z tymi, co tłumnie zalegali zjazd i sąsiedni plac Zygmunta. Na drugi podobno dzień Car przyjmował samowolnych reprezentantów szlachty i obywateli stolicy i dał im: naukę, na jaką zasłużyli. W szorstkich słowach oświadczył im „Co ojciec mój zrobił, dobrze zrobił, pogroził i skończył zgrzytem „Point des reveries!“

Politykom żebrani nosy spadły, jak to mówią na kwintę — myśmy tryumfowali. O ile młody Car umiał zażyć Napoleona III., o tyle brutalne wystąpienie w Warszawie było ze strony jego błędem. Chwila ta była przełomowa, decydująca. Kraj cały ocknął się, oprzytomniał. Czego nie dokazał huk armat przedtem — to zrobił Aleksander swoją nierozważną, zbyt carską mówką. Od tej chwili naród stanął

na pochyłości, która go przy ówczesnych warunkach musiała doprowadzić do wybuchu 1863 roku.

Aby słusznie ocenić późniejsze wypadki — nie trzeba szukać przyczyn dalekich aż po za granicami kraju, ale uprzytomnić sobie dobrze, tę niezdrową i duszną atmosferę, w jakiej się wychowywali i wzrastali ludzie, co w latach sześćdziesiątych wpłynęli tak stanowczo na losy kraju.

Od 31 r. kraj był pozbawiony wyższej szkoły. Kierunek wychowania publicznego był złożony w ręce kuratora okręgu naukowego warszawskiego, Muchanowa, który potrzeb kraju nie rozumiał, a więc o zaspokojeniu ich myśleć nie mógł, a co najważniejsza, pedagogiem nigdy nie był. Istniejące po gubernialnych miastach gimnazyja filologiczne, były przedmiotem ciągłych eksperymentów, ze strony rządu, bez jasno wytkniętego celu; nie dawały też rezultatów, jakich od nich kraj miał prawo oczekiwać i wymagać. Cała uwaga ówczesnego kuratora była zwróconą na wprowadzenie rygoru mikołajowskiego, pod względem formy. Przepisano liczbę haftek u kołnierzy, formę czapek i obroży na szyję pod zapięty na haftki kołnierz mundurowy. Pilnowano, aby głowy uczniów były jednakowo pod grzebień ostrzyżone. Szkoła pod względem formy przypominała koszary. O to zaś, co się w tych krótko postrzyżonych pałkach mieści, dbano bardzo niewiele. Rosya królowała wszechwładnie, była podstawą, fundamentem, dźwignią, początkiem i końcem całego systemu wychowawczego. Bito nas niemilosiernie, słusznie i niesłusznie, za byle figiel. Miałem koleżkę, który w niższych klasach po trzy razy dziennie był bitym. Bito nawet uroczyście, z wyroków Muchanowa, wobec zebranego całego gimnazjum w mundurach galowych, w sali bibliotecznej. W końcu chciano się różgą posługiwać i w wyższych klasach. Nie udało się jednak. Opór ze strony starszych niby zbrojny, bo ze scyzorykiem w rękę — położył tamę raz na zawsze tej dziwnej pedagogii, stosowanej do klas wyższych.

Dziesięć godzin tygodniowo w każdej prawie klasie języka moskiewskiego, z których dwie były przeznaczone na starosłowiański i cerkiewny, nie wystarczało, na wyuczenie się tego języka. Kazano wszystkie przedmioty wykładać w języku rosyjskim, zarzucano nas podręcznikami russkimi. Podręcznik dla historii polskiej z polecenia władzy, wydał

ówczesny wizytator Pawliszczew. Zniechęceni nauczyciele zaniechali się zaczęli kompletnie. Język francuzki i niemiecki wysunięto po za program to jest, że każdy uczeń miał prawo zapisać się na jeden z tych języków, drugi w takim razie był dla niego nie obowiązującym. Uczniowie wyzyskiwali tę swobodę w najszkodliwszy dla siebie sposób. Na lekcjach bywało po kilku zaledwie uczniów, bo gdy przychodziły godziny przeznaczone na język francuski, każdy mówił, że jest zapisany na niemiecki i na odwrót. Nie wiele można było korzystać z wykładów dawniej, wskutek reformy zaś był to czas absolutnie stracony — nie korzystano nic. Po skończeniu gimnazjum, nie przypominam sobie ucznia, któryby był w możności pochłubić się jaką taką znajomością języka francuskiego, lub niemieckiego, oprócz dwóch trzech indywiduów, które jednym, albo drugim w domu paplać umiały.

Podobną próbę zrobiono z językiem greckim i łacińskim. Od piątej klasy podzielono gimnazjum na dwa wydziały: prawny i filologiczny — podług tego arcy-mądrego podziału prawny miał się obchodzić i obchodził bez łaciny.

Nie mogę zamilczeć o tem, jak jednocześnie z wprowadzeniem wykładów w gimnazjum w języku rosyjskim, kazano ojcom naszym po godzinach biurowych, uczyć się azbuki.

A jednak dobre szkoły były gwałtownie potrzebne. W połowie czwartego lat dziesiątka na trzymane w żelaznych kleszczach społeczeństwo, powiał jakiś wiatr z zachodu. Młodzi chcieli, pragnęli się uczyć. Starsi nie śmieli im się sprzeciwiać. Mieszczanie z małych miasteczek tłumnie zaczęli się cisnąć do gimnazjum, wykwalifikowani młodzi rzemieślnicy, rzucali rzemiosło i zaczynali od pierwszej klasy. Liczba uczniów w klasach niższych raptownie wzrosła, każdą klasę trzeba było podzielić na dwa oddziały równoległe. Dziś jeszcze pamiętam swoich kolegów: Stępniewiczów, Barszczewskich i t. d. jak od pierwszej klasy i w następnych zajmowali po dwie trzy ławki ostatnie, a wszyscy to chłop w chłopą pod wąsem. Uczyli się prawie wszyscy dobrze, a Stępniewicz brał pierwsze nagrody. W piątej klasie zaskoczył ich ukaz Mikołaja, aby do gimnazjum przyjmowano tylko szlachtę i synów urzędników. A tak bezwzględnie wprowadzono go w wykonanie, że pomimo próśb, starań,

przedstawię władzy szkolnej o wzorowym ich sprawowaniu, musieli gimnazjum opuścić.

Jednocześnie otworzono przy każdym gimnazjum cztero-klasowe szkoły realne. O ile pamiętam, program był ten sam co i dla czterech klas gimnazjalnych. Usunięto łacinę i grekę a wprowadzono botanikę, zoologię i mineralogię.

Tak było w tem gimnazjum, które ja skończyłem; że nie lepiej było w innych, mogę o tem mówić z tego powodu, że w szkole sztuk pięknych, w liczbie kolegów, a w kółku młodzieży, z którą utrzymywaliśmy stosunki po za szkołą, spotykałem reprezentantów ze wszystkich zakątków kraju, i często bardzo razem zebrani wspominaliśmy szkolne czasy. Na tem ponurem tle ówczesnego szkolnictwa nie wiem już wskutek jakich szczęśliwych okoliczności, odbijało świetnie gimnazjum realne warszawskie i sześcioklasowa szkoła realna w Kielcach. Uczniowie obu tych zakładów wyróżniali się większym znacznie zasobem wiedzy.

Przez lat 30 szkoły podobne nie mogły się przyczyniać do krzewienia i podtrzymywania światła w kraju — poziom intelektualny opadał coraz niżej i jeżeli mrok ciężący nad krajem nie przeszedł w kompletną noc — to tylko dzięki temu światłu, jakie nieśli i pielęgowali w miarę sił i możliwości ostatni uczniowie byłego uniwersytetu warszawskiego, Akademii wileńskiej, Liceum krzemienieckiego, wreszcie kursów prawnych.

Położenie młodzieży po wyjściu z gimnazjum było nie do zazdrości. Tradycyjna buta szlachecka systematycznie ogłupianego społeczeństwa — podtrzymywana przez moskiewskie czynopoczytanje i szczególną predylekcyę Mikołaja do armii, zamykała młodym ludziom wszelkie drogi do zabezpieczenia sobie przyszłości, po za urzędową karierą i armią. Rzemiosła i handel były w kompletnej pogardzie, pierwsze zostawiano hołocie, drugie żydom, lub niemcom. Młodemu człowiekowi patent posiadającemu nie wolno było myśleć o podobnem zajęciu — myśl taka to grzech śmiertelny, to hańba. To też biura były wprost zapchane aspirantami do urzędów. W każdym biurze młody człowiek obowiązany był pracować kilka lat bezpłatnie w charakterze aplikanta. Doszło do takiej ostateczności, że w niektórych władzach ograniczono liczbę aplikantów. Tak było n. p.

w komisji skarbu. Byli też tam aplikanci na aplikantów to jest, że po trzech, albo czterech latach daremnej pracy, bez żadnych widoków, zyskało się prawo do daremnej pracy z widokami otrzymania w końcu posady kancelisty — z pensją roczną od 100 do 200 rs.

Chociaż Warszawa była wówczas jednym z najtańszych większych miast, nie miała jednak przywileju, aby żyjąca w niej młodzież, karmiła się słońcem tylko i powietrzem a pomimo to cieszyła się dobrem zdrowiem. Co żyło, szukało płatnej pracy, lekcyi. Nadmierność podań zniżyła wynagrodzenie do minimum. Lekcja płatna 20 złotych miesięcznie zaliczała się do świetnych, a nieraz za obiad, lub dach nad głową trzeba było oddawać czas na usługę bardzo czasami kapryśnych dzieci.

Szczęśliwym trafem dostałem lekcję wyjątkowo dobrą. Wprowadzony do domu i zarekomendowany byłem b. profesorowi b. szkoły aplikacyjnej, ostatecznie naczelnikowi wydziału czy sekcji wymiarów w komisji skarbu. Człowiek światły, zacny — wówczas już emeryt, mieścił się z rodziną w skromnem mieszkaniu na drugiem piętrze, które całe było raczej biblioteką niż mieszkaniem. Potrzebował nauczyciela do dwojga dzieci: syna i córki na dwie godziny dziennie. Przyjął mnie z nadzwyczajną uprzejmością — wypowiedział swoje wymagania, dodając w końcu, że aż nadto dobrze rozumie, jako wynagrodzenie zł. 50 miesięcznie, które mi ofiaruje jest niewystarczającym, on jednak więcej płacić nie jest w stanie. Warunki przyjąłem z radością, a koledzy aż do chwili wyjazdu mego z Warszawy uważali mnie za człowieka arcy-szczęśliwego. W czasie trzechletniego pobytu mego w Warszawie, o lepiej płaconej lekcyi nie słyszałem; — ale po co odsłaniać i roztaczać obraz nędzy, w jakiej nieraz żyliśmy, z dnia na dzień, z nadzieją lepszej przyszłości!

Lekcyje u Pana N. były dla mnie, pomijając wynagrodzenie, prawdziwą rozkoszą. Codziennie zostawałem chętnie na jaką godzinę gawędy. Spowiadałem się przed nim ze wszystkich moich myśli. On cierpliwie tej mojej spowiedzi słuchał i wzajemnie z zapałem młodzieńca roztaczał przed moimi oczami, nieznanne dla mnie horyzonty; całemi garściami rzucał przedemną światło, wiedzą swoją wszechstronną ośniewał i upajał. Zasady, jakie mi zalecał, to nie były

oderwane teorye, bo on stwierdzał je życiem całym i stał przy nich mocno. Imponował mi tem. Pamięć o nim na zawsze pozostanie mi drogą — bom mu winien bardzo wiele. Wspomnieniem tem chcę złożyć hołd jego zacnej, świetlanej duszy.

Na wydziale budownictwa w szkole sztuk pięknych było mi ciężko; czułem aż nadto dobrze, jak wiele mi przygotowawczych nauk brakowało. Wykłady wykresłnej mechaniki, analizy, były dla mnie, dla braku gruntownego przygotowania w gimnazyum nadzwyczaj uciążliwe, a że do rysunków zdolności nie miałem, widziałem że nie mogę być, ani dobrym konstruktorem, ani dobrym rysownikiem. Porzuciłem też je po dwóch latach studyów, i postanowiłem pojechać do kijowskiego uniwersytetu. Ojciec, który mi bezgranicznie ufał, ani jednym słowem, nie starał się skłonić mnie do pozostania na kursach — przeciwnie, gdym go o zamiarze moim, na parę miesięcy uprzedził i potem przyjechałem do rodzinnego miasta, aby się z ojcem i rodziną pożegnać, wsunął mi w rękę kilkadziesiąt złp., zaoszczędzonych jak mi mówił dla mnie i na drogę pobłogosławił.

Miasto moje spało snem sprawiedliwego, jak dawniej. Jeden z dobrych znajomych, którego poszedłem pożegnać, dziwił się mojej niepomiernej odwadze, że się zdecydowałem jechać za siedm gór i siedm rzek, a jeden z radców rządu gubernialnego, a więc miejscowy dygnitarz, okazał jeszcze większe zdziwienie, argumentując, że gdy jego, radcy, syn poprzestaje na patencie gimnazyalnym — mnie ojciec pozwala udać się do Uniwersytetu.

II.

Ze względu na bardzo skromny fundusz, jakim rozrządzałem, wyjechałem z zaspianego miasteczka, jak to mówią rzemiennym dyszlem, na Puławy, Lublin do Uścituğu. Uścituğ, leżący tuż na prawym brzegu Bugu, małe miasteczko absolutnie żydowskie, wyglądało niby umarłe, bo przyjechałem w sobotę.

W domu, w którym się zatrzymałem, spotkałem szlachcica zagonowego z pod Zaslawia, dostawiał on jakiś towar i wracał do domu trzema mierzynkami. Za względnie niewielkie wynagrodzenie zobowiązał się dowieźć mnie do Ber-

dyczowa, z nim więc w dalszą puściłem się drogę. Podróż o ile pamiętam trwała bardzo długo. Pogoda na szczęście bardzo nam sprzyjała, a prześliczne lasy wołyńskie i cały szmat kraju, który przesunął się przed mojemu oczyma, piękny, od natury bogato uposażony, a mnie nieznanymi, skracając podróż i pozwalając zapominać o czasie tem łatwiej, że na termin nie spieszyłem. Litwy ówczesnej nie znałem, ta zaś część zabranego kraju, z pierwszego zaraz wejrzenia, różniła się bardzo od Królestwa kongresowego. Ostatnie bądź co bądź, zachowało pewnego rodzaju autonomję, miało swoją administracyę, skarbowość i sądy, a wskutek tego posiadało drogi bite świetnie utrzymane, dobrze urządzone poczty, kraj wyglądał schludnie po europejsku. Prowincye zabrane oddane na pastwę wszechrosyjskiej administracyi, a chłop na łaskę pańskiej fantazyi, pozostały w stanie takim w jakim przeszły pod panowanie moskiewskie, z tym dodatkiem że czas to co było zrobione niszczył, a nikt się nie troszczył, aby to co się w gruzy rozsypywało podtrzymać. Za Bugiem już do samego Kijowa nie spotkałem ani kawałka szosy. Jechaliśmy traktem pocztowym, którego niezwykła szerokość z podwójnymi i potrójnymi po obu stronach objazdami w dość znacznych odstępach, świadczyła wymownie o dobroci pocztowej drogi, jak również o wielkiej ilości ziemi i małej jej wartości. Trakt szedł na Włodzimierz Wołyński, Łuck, Dubno, Ostrog. Ilę razy zbliżaliśmy się do miasta, ulegałem złudzeniom optycznym. Szczególniej silnego wrażenia doznałem pod Łuckiem — zdała wydał mi się wielkiem prawie miastem. Wspaniałe kościoły, zamek pochłaniały całą moją uwagę i nie pozwalały rozpatrzyć się w szczegółach, choć znać już było za zbliżeniem, że większość tych kościołów stoi pustką, to jednak i wtedy jeszcze z rzeczywistości nie zdawałem sobie dokładnie sprawy. Wjazd dopiero w niechlujne ulice miasteczka, zabudowanego w brudne i nędzne domki, sklejone z gruzów rospadających się olbrzymów i tulące się do ich szkieletów, przekonał mnie, że z daleka widziałem, Łuck dawny, świetny, przyjmujący monarchów, o dwunastu kościołach, mieszczący w swoich murach rezydencye czterech biskupów różnych obrządków; ale to było kiedyś! Po obejrzeniu z bliska tego olbrzymiego rumowiska zapadłem w smutek, bo terazniejszość była tak uboga,

nędzna, że nie budziła nadziei, aby tym karłom starczyło kiedykolwiek sił i chęci przeszłość do nowego życia powołać. Handlowe ruchliwe niegdyś Dubno nie lepiej się prezentowało. W Ostrogu jeszcze większy upadek, jeszcze większa nędza. Na wysokiem wzgórzu nad Horyniem ledwie resztki sterczały z wspaniałej niegdyś rezydencji książęcej, a dalej nieco sterczał szkielet zboru kalwińskiego a i to co zostało istne cacko architektoniczne.

Berdyczów, mrowiący się żydowstwem, nie zrobił na mnie żadnego wrażenia. Każde miasto gubernialne w Królestwie ma w sobie mały Berdyczów. Żyd furman, zwany tu bałaguła, zabrał mnie wraz z innymi amatorami podobnej jazdy do Kijowa. Tak samo długo wybierał się w drogę, pod rozmaitymi pozorami wyczekując, czy jeszcze nie trafi się mu jaki pasażer, choć nas już bardzo ciasno w swej budce upakował.

Kijów oddany w zakład traktatem Andruszowskim, nigdy już do rąk Rzeczypospolitej nie wrócił, niepodobnym był też wcale do miast polskich. W czasie przybycia mego miał on, że tak powiem, podwójną fizyonomię. Starożytny gród ruski reprezentowały liczne cerkwie i monastera zupełnie różne od cerkwi i monasterów moskiewskich. Jeden tylko Diesiatynnyj Sobor, najstarszy ze świątyń kijowskich, zbudowany w stylu bizantyńskim. Inne stawiane pod wpływem cywilizacji zachodniej, skapane w jej blaskach, tworzą oddzielny typ świątyń, oddzielny styl ruski. Najnowszą cerkiew Andrejewską budował Włoch i włoską też nakrył ją kopułą. Samo zaś miasto rozrzucone na dość znacznej przestrzeni, zupełnie nowe, drewniane, przypominało miasta moskiewskie. Z wyjątkiem kilku domów prywatnych murowanych na Kreszczatiku i niewielkiej liczby gmachów publicznych, jak pierwszego i drugiego gimnazjum, instytuty pańien, dwóch pensyj żeńskich, kadeckiego korpusu, gmachu mieszczącego biura rządowe na placu Sofijskim i uniwersytetu, mających wygląd europejski — reszta były to domki drewniane, rozrzucone grupami z powodu nierówności gruntu, zawsze bokiem zwrócone do ulicy, o sakramentalnej liczbie okien. Front domu zwrócony do dziedzińca i cały prawie zamaskowany rodzajem ganku, oszklonego drobnymi szybami, z domieszką w zamożniejszych domach szkła kolo-

rowego, widziany z ulicy przypominał raczej cieplarnię, niż dom mieszkalny. Na Kreszczatiku, przy którym wznosiło się kilka domów murowanych, nie było ani jednego z bramą wjazdową. Każdy zaopatrzony był w jakąś przystawkę z jednej lub z obydwu stron, stosownie do długości domu, które służyły za wejście do mieszkania, a dopiero już w murze służącym za ogrodzenie zajmowanego placu, mieściła się brama wjazdowa w podwórze. Najwspanialszym gmachem w całym Kijowie, (r. 185.) był bez zaprzeczenia Uniwersytet. Olbrzymi prostokąt zbudowany w stylu poważnym o 4 frontach, z których główny zwrócony na obszerny plac z podjazdem ozdobionym w środku kolumnadą dorycką, był prawdziwie imponującym. Od ogrodu botanicznego, równoległe do frontu skrzydło, w którym mieściły się kaplice: katolicka i prawosławna było równie piękne. Wewnątrz szerokie widne korytarze, obszerne audytoria, zasobne gabinety, nakoniec ogromna sala na pierwszym piętrze, przeznaczona na akty uroczyste, sprawiały, że budynek wydawał się bez zarzutu i kompletnie odpowiadał celowi, któremu służył. Oprócz tego w gmachu uniwersyteckim mieściły się kliniki, archiwum akt dawnych, kancelarye, mieszkania dla pewnej liczby stypendystów, mieszkanie rektora i inspektora studentów. Że wbrew zwyczajowi, był otynkowany kompletnie, gdy wszystkie inne budynki w mieście, obchodziły się bez tynku, nie dziwiło mnie wcale. Przyczyną zwyczaju nietynkowania domów jest wyborna fajansowa cegła, która po wypaleniu ma kolor kawy ze śmietanką, przy otynkowaniu pilastrów, gzymsów, półkolumn, w ogóle wszystkich wystających części budynku, daje mu możliwość obejść się bez tynku, wygląda oryginalnie i mogę śmiało powiedzieć ładnie. Mocno mnie natomiast zdziwiło pomalowanie Uniwersytetu na jakiś szczególny brudno czerwony kolor i jedno z pierwszych pytań, które po obejrzeniu gmachu zadałem moim kolegom, było to, aby mi raczyli wytłómaczyć, co mogło spowodować podobne oszpecenie jednej z najpiękniejszych budowli w mieście?

W odpowiedzi usłyszałem pierwszą opowieść z czasów panowania w Kijowie wszechwładnego Bibikowa; łączył on w swojej osobie stanowisko generał-gubernatora z kuratorem kijowskiego naukowego okręgu, a więc był bezpośredni

dnim przełożonym władz uniwersyteckich. Otóż gdy pewnego razu zjechał do Kijowa Mikołaj I. i zwiedził uniwersytet w towarzystwie Bibikowa miał, wychodząc niezadowolony dać rozkaz »Pomazat' to wołczeje gnieздо na byczyj ćwiet«, i tak go też pomalowano.

Bibikow wedle licznych opowiadań, które o nim słyszałem, był czynnym i energicznym, a energią i działalnością swoją silnie zaciężył nad losami kraju, który mu Mikołaj w ręce oddał. Młodzież uniwersytecką chciał zdemoralizować, dlatego nie tylko, że patrzył obojętnie na wszelkie rozpasanie, ale sam do rozpusty, kart i pijatyki, przy każdej sposobności w mowach swoich zachęcał. Mowy jego do studentów były wypowiedane w tak cyniczny sposób, że powtórzyć je brak mi odwagi. Streścić zaś wszystkie dadzą się mniej więcej w tych słowach. „Wszystko wam wolno, za nic nie będziecie strofowani, a tem bardziej karani „tolko wolnodumstwa“ (ale wolnomysłności) strzeżcie się jak ognia. Pilnował więc, aby guziki u munduru i haftki u kołnierza były zapięte, bo wszelkie odstępstwo od przepisanej formy, uważał za objaw wolnodumstwa i karał karcerem. Uczniów z gimnazyum chciał od dzieciństwa przyzwyczaić do tresury wojskowej mikołajowskiej i ślepego posłuszeństwa. Zbierał ich na placu przed uniwersytetem, kazał maszerować, to w prawo to w lewo, a gdy w miejscu tych manewrów trafiła się kałuża, kazał kłaść się na ziemię; tych którzy bez względu na kosztowny dla biednych może rodziców mundurek, kładli się w błoto, nagradzał cukierkami, nieposłusznym czekała różga.

Najszkandaliczniejsze, choćby w biały dzień wybryki studentów puszczał płazem, zdawały się robić mu szczególną przyjemność, co mimowoli przypomina Turkułła, z tą tylko różnicą, że w Królestwie robiło się to w nocy, w jakichś norach, z zachowaniem ścisłego incognito, przez człowieka dobrze wychowanego, a więc szanującego pozory; tu przez nieokrzesanego mikołajewskiego sołdata w generalskim mundurze, a więc jawnie, publicznie. Bibików mowy swoje, o których wyżej wspominałem, wygłaszał w sali uniwersyteckiej, przeznaczonej na różne uroczystości.

Między obywatelstwem wybryki bałagulstwa, osłaniał swoją opieką. Był to rodzaj hulaszczego stowarzyszenia.

Pracując tak nad zdemoralizowaniem całego społeczeństwa, wszelkimi sposobami starał się zgnieść drobną szlachtę, żądając obowiązkowo wylegitymowania się każdego, co chciał z tytułu i praw szlachcica korzystać. Chodzenie po kancelaryach, poszukiwanie dokumentów, przepłacanie za wszystko urzędników, rujnowało drobną szlachtę niezamożną. Brak dokumentów i środków na ich wydobycie, pozbawiało ich praw, z których dotąd korzystali i postawił ich na równi z włościanami, z tą różnicą, że ci ostatni przynależni byli do gruntu (glebae adscripti), oni zaś zostali ludźmi wolnymi, pod nazwą jednodworców. Bibikow opuszczając stanowisko, wiedział, jak wielką tem przysługę wyrządził rządowi i jak doniosłą klęskę zadał żywiołowi polskiemu w trzech zabranych prowincjach. W mowie pożegnalnej do obywatelstwa, chełpił się tem najwięcej, że parę dziesiątków tysięcy rodzin pozbawił szlachectwa. Zamiana drobnej szlachty na jednodworców była dla pierwiastku polskiego klęską niepowetowaną. Wraz ze stratą przywilejów i ostatecznem zubożeniem — zamarła tradycja, co te masy podtrzymywała. Katolicyzm jeszcze resztki tej szlachty zachował, ale to co odpadło od kościoła, to stracone bezpowrotnie na zawsze. Nie obcą mu była polityka obruszenia. Na tej drodze uganiał się nawet za pozorami. Obywatelom przyjeżdżającym na kontrakty, nie pozwalał używać polskiego zaprzęgnięci furmanów ubierać po krakowsku. Z tej jego polityki furmańskiej opowiadano mi następujący casus. Jakiś śmielszej natury obywatel, sankami zaprzężonemi czwórką w lejc z furmanem w świtce — podjechał przed salę kontraktową. W krótkce po nim zajechał i Bibików; spostrzegłszy zakazany zaprząg, dowiedział się do kogo należy i pospieszył na salę szukać winowajcy. Obywatela ktoś ostrzegł, a że był małego wzrostu, chciał w tłumie ująć przed Bibikowem. Wybiegł spiesznie przed salę i zawołał „Janie dawaj konie“. W tej chwili, wielkiej siły i dobrego wzrostu Bibikow chwycił go za kołnierz, odwrócił do siebie i powiedziałwszy „Ja tobie dam Janie dawaj konie, nie możesz skazat' Wańka podawaj łozadi“, puścił.

Że pod względem obruszenia kraju doszedł do znakomych rezultatów, może posłużyć za dowód fakt następujący.

Tegoż samego dnia, którego przyjechałem do Kijowa, kilku kolegów z Warszawy, podjęło się wieczorem, dla spaceru oprowadzić mnie i zapoznać z miastem. Wieczór był pogodny letni, szliśmy więc wolno, a rozmawiali głośno, gdy wtem ktoś idący za nami odezwał się z pewnym zdziwieniem do swoich towarzyszków „Słyszysz! słyszysz! po polsku mówią“. Owoce jednak pracy jego w samym Kijowie, nie długo trwały. W czasie pięcioletniego mego pobytu mowa polska, na ulicach, w ogrodach publicznych, w teatrze w sklepach zajęła należne sobie stanowisko.

III.

Uniwersytet Kijowski powstały z przeniesionej tu dla dobra kraju Akademii wileńskiej, jak to akt inauguracyjny opiewa, chociaż przez Mikołaja ufundowany, miał te same co inne Uniwersytety rossyjskie, odrębne w państwie, i poniekąd uprzywilejowane stanowisko. Profesorowie i studenci podlegali władzy kuratora okręgu naukowego, a ci ostatni nawet osobnej uniwersyteckiej policji, która się składała z Inspektora studentów, wojskowego w randze pułkownika, kilku subinspektorów cywilnych i pewnego quantum pedeli. W teatrze, na spacerach, zabawach publicznych, obok policmaistra miasta, znajdował się zawsze obowiązkowo Inspektor studentów z jednym subinspektorem i pedelami. Dbali oni wszyscy, aby prawa ich w niczem nie były naruszone, i w ten sposób pośrednio, bo przez rywalizację dwóch władz wywiązała się pewna niezależność studentów od zwykłej administracyjnej policji. Temu status in statu chciał Bibikow jako generał-gubernator położyć koniec, obejmując sam i kuratorstwo naukowego okręgu, ale to połączenie władz nie trwało długo, zaledwie do roku 1857, a nawet i wówczas też w zarządzie Bibikowa policja raczej pokrywała przestępstwa studentów, niż je wskazywała władzy politycznej, chcąc sama uniknąć nagany za niedostateczne dozоровanie.

Bezpośrednią władzą nad uniwersytetem był Rektor, obieralny w początkach istnienia uniwersytetu, zaś zamianowany następnie aż do r. 1860. Radę uniwersytecką składało 4 dziekanów obieralnych, pod prezydencją Rektora. Dobrze nie pamiętam wzajemnego stosunku tych władz

i dlatego w bliższe szczegóły wdawać się nie będę. Miał 4 fakultety: Prawny, filologiczno-historyczny, medyczny i matematyczno-przyrodniczy. Co do obsady katedr, jeżeli nie wielu miał profesorów rozgłośnych po za granicami kraju, miał jednak pierwszorzędne siły i bodaj czy w owym czasie nie był jednym z najlepszych uniwersytetów w Rosyi. Katedrę chemii na fakultecie matematycznym zajmował były profesor Akademii wileńskiej Fonberg, fizyki Knor. Korowajew, Alferjew, Matwiejew, Walter wyróżniali się na fakultecie medycznym; Bunge późniejszy minister finansów, Selin i Pawłow na historyczno-filologicznym; Iwanyszew, Mitiukow na prawnym. Oprócz Fonberga był z Polaków zwyczajny profesor prawa kanonicznego i teologii a zarazem kapelan uniwersytetu ks. Tomasz Dobrzewicz i na medycznym Gorecki, a prosektorem Izydor Kopernicki.

Fonberg, chociaż kompletnie siwy, ale wysoki piękny mężczyzna, prezentował się w owym czasie względnie do wieku młodo. Zawsze elegancko i czystutko ubrany w białym krawacie zjawiał się na katedrze, a chociaż znać było, że język w którym wykładał przyswoił sobie niedawno, mówił gładko, potoczyście, a co największa, demonstrował znakomicie to, co wykładał. Słowo i fakt jednocześnie wzajemnie się dopełniały. Nie były mu obce nowe zdobycze w dziedzinie przedmiotu, który wykładał, ale mówił o nich z pewnym odcieniem ironii, czego mu słuchacze za grzech wielki nie poczytywali. Chętnie uczęszczali na lekcye i sala, w której wykładał, zawsze pełną była.

Ksiądz Tomasz wyglądał w porównaniu z nim staro, Wykładał po polsku teologię dogmatyczną i moralną, historję kościoła dla wszystkich, prawo zaś kanoniczne wyłącznie dla prawników. O sympatycznej fizjonomii, łagodny, wyrozumiały, przemawiał do studentów, jak dobry ojciec do dzieci, a znakomitemi kazaniem, miewanemi co niedziela podczas nabożeństwa w rzymsko-katolickiej kaplicy uniwersyteckiej oddziaływał na całe społeczeństwo polskie w Kijowie.

Dr. Izydor Kopernicki, był nam starszym dobrym kolegą w całym znaczeniu tego słowa. Bywał na naszych zebraniach, wszystko co nas dotyczyło, obchodziło go gorąco brał udział w dysputach, sprzeczkach, sporach i spiewach. W obec niego nie mieliśmy żadnych tajemnic, gdybyśmy

w ówczas spiskowali, jestem przekonany, że i on by z nami spiskował¹⁾).

Na prawnym fakultecie wykładami prawa rzymskiego wyróżniał się Mitiukow, a chociaż pandekta i kodeks Justyniana, nie mogły bardzo interesować przyszłych matematyków, przyrodników lub lekarzy, wykłady jednak były na tyle barwne, iż chętnie z nich korzystali o ile byli wolni od obowiązkowych lekcyj. Nie mogę pominąć milczeniem i Iwanyszewa, chociaż był to człowiek fałszywy i ambitny karierowicz. Na katedrze więc nie był profesorem, ale raczej adwokatem pewnych poglądów i teorii, naukę traktował jako narzędzie, które powinno służyć do osobistego wyniesienia się i dlatego pomimo wybitnych zdolności, nie był ani lubianym, ani poważanym.

Najbardziej uczęszczane tak przez studentów, jak również i publiczność były lekcye literatury i historii rosyjskiej. Pierwszą wykładał Selin, drugą Pawłow. Selin z pochodzenia Tatar, z przekonania niby słowianofil, był przyjacielem Michała Grabowskiego, podówczas mieszkającego w Kijowie; jeżeli dobrze znał literaturę rosyjską, to nie gorzej była mu znana literatura powszechna i emigracyjna polska. Zapalony wielbiciel Adama, słuchał jego kursów literatury słowiańskiej i wykłady swoje na nich wzorował. Nazywał Mickiewicza największym genjuszem w świecie słowiańskim i wynosił ponad Bajrona, Schyllera i Goethego. Nieboską komedję Krasińskiego przetłumaczył na język rosyjski znakomicie, bo komentując ją z katedry, czytał nam całą w tem tłumaczeniu. Wygłaszał z katedry, że Mickiewicz, Krasiński i Słowacki wypowiedzieli ostatnie słowo w poezyi wszechludzkiej stąd z wykładów jego mieliśmy raczej lekcye literatury powszechnej niż rosyjskiej. Często był i suto oklaskiwanym. Nieboska komedya w tłumaczeniu była przygotowana do druku i miała być drukowana łaćnińskimi czcionkami. Wypadki polityczne przeszkodziły temu. Nie był to

¹⁾ W 1862 r. był on członkiem zarządu Rusi — w początkach powstania naczelnym lekarzem województwa kaliskiego, w Sierpniu 1863 r. został komisarzem pełnomocnym wschodniej Galicyi, umarł w 1892 r. jako profesor Jagiellońskiego Uniwersytetu w Krakowie. (Przyp. Wydawnictwa).

jednak człowiek przekonań. Na manifestacye polskie, dopóki one nie przekroczyły granic Królestwa Kongresowego nie tylko się godził, ale je pochwalał. Bardzo skromna manifestacya w kościele kijowskim z powodu jakiegoś nabożeństwa żałobnego, rozwiła jego słowianofilstwo i wzbudziła wszystkie tatarsko-moskiewskie instynkta; z pianą na ustach, nie umiał wyrazić swego oburzenia przeciwko Polakom.

Wprost przeciwnie zachowywał się Pawłow. Z przekonaniami swojemi na katedrze się nie produkował. Wyłącznie zajmował uwagę słuchaczy przedmiotem, który wykładał, a że na historję Rosyi patrzył szeroko otwartemi oczyma i kraj swój kochał, opowiadał więc słuchaczom dzieje tego kraju tak, jak się one przedstawiały w świetle wszechludzkiej cywilizacyi. Urzędowo-historyczne wielkości druzgotał bez miłosierdzia. Wady społeczeństwa, którego był członkiem wydobywał na światło dzienne i chlostał bezlitośnie, a że posiadał nie małą dozę szczedrynowskiej ironii, co zdaje się że już nie sercem gryzie, a stanowi jedną z cech charakteru Moskali; lekcye jego były bardzo ucześnie Zdarzało się, że w skutek napływu studentów, otwierano okna na korytarz, bo i tam cisnęli się słuchacze, którzy w audytorjum nie mogli się pomieścić. Jeżeli między zbranymi spostrzegł oficerów, niezawodnie połowę lekcyi, poświęcił stanowi wojskowemu; jeżeli zobaczył popów i im gorzkich słów prawdy nie szczędził. Wtedy czarne jego oczy dziwnie błyszcząły, a twarz pałała gorączkowym prawie rumieńcem. Czem jaskrawiej tę kałużę oświetlił, w której brnęli po uszy, tem większą sprawiało mu to przyjemność.

Nie doczekał się on w Kijowie roku 1863, ale opuścił katedrę i miasto w r. 1860, przenosząc się do Petersburga, jako profesor historyi Rosyi w wyższej szkole prawa. Zegnaliśmy go gremialnie i mimowoli poruszoną została kwestya — dlaczego porzuca Kijów? Wtedy dopiero z całą otwartością wypowiedział powody, które go skłoniły do ustąpienia z katedry. W serdecznych słowach zapewniał nas, że tylko głębokie przekonanie o nieużyteczności jego wykładów, dla braku znajomości historyi polskiej, zmusiło go do tego kroku. Wtedy jednak dopiero zgodził się objąć katedrę w Petersburgu, gdy go zapewniono, że miejsce po nim zajmie nie kto inny, tylko Kostomarów. Uważaliście

mnie panowie za kosmopolitę, dlatego, że w wykładach moich stroniłem od polityki; bo katedrę uniwersytecką stawiam wyżej, ponad wszelkie chwilowe prądy polityczne. Jestem Moskalem i dobrym patriotą, a zwracając się do nas mówił dalej: „Aspiracye panów aż nadto dobrze rozumiem. Wierzę, że kwestya polska musi być rozwiązana, albo z góry ustępstwami rządu, lub z dołu za pomocą przewrotu, albo nareszcie wskutek kombinacyi politycznych; jako dobry Moskał pragnę, aby dla wspólnego naszego dobra, na pierwszej drodze została rozwiązana“. W końcu mówiąc do Rusinów niepomysłnie stawiał im horoskopy; może się mylił, widać jednak było, że mówił szczerze, z głębi przekonania i bardzo poważnymi popierał to argumentami.

Z wykładów na fakultecie medycznym, fizjologia Waltera ściągała tłumy. Jedną z najoryginalniejszych figur, a jednocześnie prawdziwą znakomitością był chirurg Korowajew. Na wiadomość, że Korowajew robi operacyę, każdy student biegł do kliniki, ale bo też i było na co popatrzeć. Katarakty zdejmował na poczekaniu, a gdy mu wieszowano z dobrodusznym uśmiechem odpowiadał „Kakaja tam operacya wsio równo mozol (nagniotek) wyriezat“. W czasie roboty, gdy mu który z asystentów źle, lub nie w porę podał narzędzie, wymyślał w słowach, które Borkow nazywa chlebem i solą russkiego narodu. Tak samo mu płacono i to nie psuło harmonii i zgody. Wypadek chciał mieć, że ktoś z nowicyuszów, zdetonowany brutalnością profesora, zamiast według przyjętego zwyczaju zapłacić pięknem za nadobne, lub zaśmiać się z oryginała, nazwał go „izwoszczykiem“. Obrażony Korowajew wywołał całą awanturę, groził że będzie się domagał wypędzenia niegrzecznego studenta i biegł z tem do rektora. Otoczony tłumem studentów, usiłujących go udobruchać, zmiękł w końcu, ale ustępując pod naciskiem, z pewnym żalem powiedział do otaczających: „Jak tam sobie panowie chcecie, wymyślać można, bo i ja wymyślam, ale bądź co bądź profesor to nie furman“. Był tak dzielnym chirurgiem, że przybyły na kuratora uniwersytetu nieco później znakomity Pirogow, zaćmić go nie potrafił,

Przechodząc z kolei do studentów, z góry się zastrzegam, że wszystko, co o nich powiem, odnosić się będzie wyłącznie do Polaków. Z Moskalami nie mieliśmy innych stosunków, oprócz oficjalnych w kwestyach odnoszących się do całego ogółu studentów; raz z powodu ich niewielkiej liczby, a powtóre ze względu na to, że sposób ich życia, poglądy, przekonania, ideały — są tak dalece różne od naszych, że bliższy stosunek czynią wprost niemożliwym.

Do kart, pijatyki i rozpusty nie potrzebował ich Bibikow zachęcać, bo mają do tego pociąg wrodzony. Cała Rosya gra w karty i pije. Wskazanie przyczyn podobnego stanu za dalekoby nas zaprowadziło i nie ma związku z mojem opowiadaniem. Zaznaczam tylko, że ta jedna okoliczność, z konieczności wytworzyła rozdział studentów, na dwa odrębne koła: Polaków i Moskali. Z tymi ostatnimi nie ze względu wrodzonych skłonności, ale wprost z widoków osobistych, z zasady łączenia się z żywiołem panującym trzymała się znaczna większość żydów tak dalece, że w grodzie polskiem można ich było na palcach jednej ręki policzyć.

Koło polskie, z przyczyn, że się tak wyrażę historycznych, i z powodu trudnych wówczas komunikacyj między prowincjami łamało się na oddzielne grupy prowincyjne, a więc Litwa, Wołyń, Podole, Ukraina zarysowywały się dość wyraźnie. Z trzech ostatnich pojedyncze jednostki, zaczęły się skupiać w odpowiednie kółko, inspirowane przez Włodzimierza Antonowicza, który pod hasłem krańcowego demokratyzmu i chłopolubstwa, wykluczał odrębność Rusi.

Rzeczywiście bowiem Rusini, chociaż uniwersytet był w stolicy Rusi, byli bardzo nieliczni, do odrębności się nie poczuli, a jako synowie czynowników, myśląc tylko o karierze, — łatwo i chętnie wsiąkali w rządowy i z tytułu tego panujący element. Obok wspomnianego krańcowo demokratycznego odłamu, istniało niewielkie kółko studentów Polaków, które z przesadą protestowało przeciwko wstrętnym dążnościom bibikowskim. W początkach kółko to wywierało silny dodatni wpływ, i utrwaliło go założeniem polskiej biblioteki studenckiej, zaopatrywanej w książki niecenzurowane — ale w r. 1858/59 przeżyło się i straciło rację bytu. Chociaż studentów z Królestwa było w Kijowie niewiele, żyli ze sobą w ścisłych stosunkach i stanowili oddzielną grupę.

Tak się przedstawiała mgławica studencka, w chwili mego przyjazdu do Kijowa. Najdrobniejszy wypadek mógł wywołać przeobrażenie się tych grup w oddzielne zorganizowane korporacje. Koroniarze dali początek. Wynajęli na wspólny koszt mieszkanie na zebrania. Nazwali tę wspólną kwaterę knajpa, wybrali gospodarza i we wspólnem mieszkaniu każdy z członków stowarzyszenia miał prawo czasowo zamieszkać, jeżeli z powodu braku środków, był rugowanym z własnego kąta. Knajpa zyskała aprobatę i w innych kółkach, a że już była dawniej założona biblioteka studencka wspólnemi siłami — organizacja korporacyjna, która dotąd wisiała w powietrzu, przybrała wyraźne kształty stała się faktem.

Tradycja niekaralności wybryków studenckich utrzymała się w całej sile, a spotkawszy się z gorączką liberalną pierwszych lat panowania Aleksandra wytworzyła tę kompletną swobodę, z jakiej wówczas korzystali studenci; porzucono zupełnie mundury, każdy ubierał się tak, jak mu się żywnie podobało. Kto w świtce, czobotach z potarganą i na czoło spadającą czupryną, kto w tużurku, kto w czamarce, kto w wice-mundurze, słowem jak chciał, lub na co go stać było. Przesadnych elegantów zwano piżmowcami i na zebraniach jeżeli się zjawiali, podkurzano znakomicie machorką¹⁾.

Nadzwyczaj szybko, prawie z dnia na dzień zmieniały się formy zewnętrzne, a jednocześnie i myśl jakby rozpetana, zaczęła wybiegać coraz dalej i dalej i obejmować co raz szersze horyzonty. Ktokolwiek spojrzalby na ówczesną młodzież i zbadał stan umysłów nie uwierzyłby nigdy, że od śmierci Mikołaja upłynęło tak mało czasu!

Na krótki czas przed mojem przybyciem niby ostatnie echo czasów bibikowskich miała miejsce większa awantura studencka, zwana brinkeniadą. Nie mam danych, aby twierdzić, że niechęć, która istniała za jego czasów między studentami i wojskowymi, była jego dziełem, zaznaczam fakt, że ona istniała, że zataczała coraz szersze kręgi, bo w walce tej przyjmowali w części udział mieszkańcy, a nawet pensjonarki kijowskie, dzieląc się na dwie partye „sinich“ zwo-

¹⁾ Najgorszy gatunek tytoniu.

lenniczek studentów i „krasných“ oficerów, nosząc odpowiedniego koloru aksamitki, lub wstążeczki na szyi. Niechęć przeszła w pewnego rodzaju nienawiść, doprowadzała do ciągłych starć nie tylko w zakładach publicznych, ale i na ulicy. Z Brinkenem awantura rozwinęła się na większą skalę. Brinken pułkownik chodził po ulicach z pieskiem, który miał brzydki zwyczaj chwycić za nogi przechodzących — pewnego razu ugryzł studenta, ten psa kopnął, a pan Brinken powiedział „szto ty malczyszka rozbojniczat' budiesz?“ i uderzył go pejczem.

Studenci ze skargą udali się do ówczesnego kuratora Rebintera. Ten z początku gorąco wziął do serca sprawę, prosił o cierpliwość, obiecując kompletną satysfakcję. Gdy mu jednak na ucho powiedziano, że Brinken jest naturalnym synem Mikołaja, stracił zapęd i nietylko nie żądał u generał-gubernatora przyobiecanej satysfakcji, ale zrobił studentom cierpką wymówkę, że się sami awanturują, a gdy pomimo to ci stanowczo żądali zadośćuczynienia, powiedział „Róbcie sobie co wam się podoba, ja do tego ręki przykładać nie myślę“.

Dostawszy taką odprawę postanowili fligel-adjutanta publicznie obić i wychodzącego z teatru otoczyli w sieni. Student med. Sałajło rzuciwszy płaszcz by widać było, iż ubrany w uniform studenta uniwersytetu, działa jako student korporacji, uderzył go w twarz, inni zbili go kijami. Publiczność zachowywała się spokojnie, nie szła ratować pułkownika, a profesor uniwersytetu Walter będący tamże na pytanie co robić? odpowiedział przyjacielom Brinkena — „chołodnyja primoczki“. Rząd jednak nie chciał takiej publicznej awantury puścić płazem; wyznaczono komisję, zaczęło się pakowanie studentów do fortecy, śledztwo, sądy, wreszcie wyrok z samemi batalionami, sybirami etc. etc. Surowy wyrok przedstawiony do konfirmacji Aleksander zmienił, redukując wszystkie kary do czasowych wydaleń, krótszych lub dłuższych, z prawem wstąpienia potem do tegoż samego, lub innego uniwersytetu. Brinken wyzdrowiał i wyniósł się z Kijowa.

Komenderujący wojskami, chcąc położyć koniec takiemu stanowi rzeczy, porozumiał się z Robinderem, a ten znowu wezwał nas do sali uniwersyteckiej, uprzedzwszy

naprzód o dobrych chęciach generała, który gotów jest w każdym podobnym wypadku dać nam kompletne zadosyćuczynienie, bylebyśmy sobie go sami nie robili; dlatego zaś, abyśmy łatwo mogli poznawać do jakiej broni i pułku oficer należy, on ich wszystkich w oznaczonym dniu do uniwersytetu sprowadzi, i metodą pogładową całą tę mądrość wyłoży. W dniu oznaczonym generał oficerów sprowadził, w przedsiönku uniwersytetu w trzy szeregi ustawił, a sam wszedł na górę, gdzie nas w gromadzie wielkiej z Rebinderem znaleźli.

Po stosownym przemówieniu, zaczęły się pytania o wyjaśnienie bliższe ogólnikowo zarysowanych warunków ugody, mimowolnie wysunęły się na pierwszy plan wzajemne pretensye i urazy. Tłumnie otaczaliśmy generała i kuratora. Co chwila występował nowy interpelant, a każdego Rebinder czuł się w obowiązku podtrzymać, położenie z każdą ubiegłą chwilą stawało się drażliwsze. Zniecierpliwiony generał zwrócił się do kuratora mówiąc: „Odnako u was bezporiadok!“ Tknięty do żywego Rebinder, zrobioną mu uwagą wybuchnął: »Wy dumajecie szto moi studienty eto waszy oficerzy etc. etc. i manifestacyjnie sałę wraz z nami opuścił. Próba pogodzenia z urzędu zrobiła kompletne fiasko.

Zmieniono pułk stojący w Kijowie. Nowi oficerowie zastali studentów w fortecy ze sprawy Brinkena i tak dobrze się porozumieli z nimi, żeśmy ich zaprosili do siebie na studencką bibkę. Następnie oni zaprosili nas do fortecy. Stosunki bez niczyjej interwencji radykalnie się zmieniły. Już samo nawiązanie stosunków, zasługuje na baczną uwagę. Studenci zamknięci w fortecy, przyzna każdy, nie mogli być inicjatorami zbliżenia. Inicjatywa musiała wyjść od oficerów. Z początku dyżurni przynosili nam kartki od kolegów, następnie zamieniając ubranie, zastępowali ich w więzieniu przez czas, gdy ci korzystając z ich mundurów udawali się do miasta. Gdy przyszło do wzajemnych zaproszeń, przyjęcie jakie nam w fortecy zgotowali, mowy oficerów powołujących się na tradycye swego pułku¹⁾, w końcu

¹⁾ Nazwiska pułku nie pamiętam, wiem, że pułk był przemianowany po skompromitowaniu się w sprawie dekabrystów.

w murach fortecy przez muzykę wojskową odegrany w czasie wiwatów polski hymn narodowy, wymownie świadczą, że gdy my ani myśleliśmy o politycznej organizacyi i spisowaniu, w armii rosyjskiej istniało niezadowolenie z politycznego i społecznego stanu państwa.

Zaznaczam, że zbliżenie to wojskowych do studentów komenderującemu wojskami, który tak niedawno jeszcze pragnął polepszenia stosunków, nie przypadło do smaku. W krótkim bardzo po wieczorynce czasie oficerów, przyjmujących w niej udział, poprzerzucano do innych pułków i tylko co nawiązane stosunki rozerwano.

W tym czasie prawie, bo w roku 1850, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, przyczyniliśmy się do zmanifestowania publicznie przewagi żywiołu polskiego w trzech zabraniach prowincyach.

Chociaż uniwersytet kijowski rozporządzał znacznymi funduszami edukacyjnymi, otrzymanymi w spuściznie po akademii wileńskiej, tak że oprócz licznych stypendyów stałych, ten tylko płacił wpis, kto chciał i miał środki po temu, każdy bowiem student złożony egzamin półroczny, semestralny, na stopień dostateczny ipso facto uwalniał się od zapłacenia wpisu na następne półrocze — istniał jednak zwyczaj, że w czasie kontraktów, studenci dawali trzy przedstawienia amatorskie, z których dochód czysty, sami rozdzielali między kolegów więcej potrzebujących.

Urządzenia owego amatorskiego teatru, było bodaj jedynym węzłem, łączącym nas z grupą studentów Moskali i urzędowych Rusinów. Stawiano komedye i wodewilki polskie, rosyjskie i rusińskie. W trzech przedstawieniach każda grupa miała możność postawienia dwóch sztuk. Wybrana na ten cel dyrekcyja obowiązana była, znaleźć amatorów, uprosić amatorki, dać owe trzy przedstawienia, złożyć rachunki i otrzymaną sumę proporcjonalnie między uczestników rozdzielić. W tym roku dyrekcyja nie mogła się jakoś porozumieć, w dodatku Moskale zaczęli nam dość niegrzecznie dawać do zrozumienia, że oni są w Kijowie gospodarzami, a my tylko gośćmi, z którymi liczyć się bardzo nie mają obowiązku, zaproponowaliśmy rozdział w taki sposób, aby każda ze stron dała po trzy przedstawienia na wyłączne swoje ryzyko. Wysoce zarozumiali propozycyę przyjęli, szło

tylko o uzyskanie sankcyi ze strony władz uniwersyteckich i generał-gubernatora. Uniwersytet nie stawiał żadnych trudności, a generał-gubernator, gdy mu przedstawiano znakomite stąd korzyści materialne, bo dochód zostanie prawie zdwojony, dał się namówić i na podział zezwolił.

My wynajęliśmy teatr miejscowy, płacąc za każdy wieczór po 500 rs., im dano salę aktową w uniwersytecie i dawne dekoracje. Na pozór szanse ich były lepsze. Tym czasem pierwsze przedstawienie w uniwersytecie nie opłaciło kosztów oświetlenia i drobnych wydatków na urządzenie bufetu. Generał-gubernator był tem przygnębiony i oświadczył że na przedstawieniu polskim nie będzie, czem zmusił cały światek urzędowy do przyjęcia takiejże pozycyi. Pomimo to na przedstawieniu naszym teatr był pełny, bilety przepłacano, miejsc zabrakło, tak że korzystając z owego oświadczenia, przed odsłonięciem kurtyny posłaaliśmy kilku studentów do generał-gubernatora z zapytaniem czy pozwoli łożę swoją sprzedać? Pomimo zgryzoty, jaką mu nasze powodzenie sprawiało, łożę sprzedać pozwolił.

Oni dali za wygraną — my zasłaniając się kontraktem z dyrekcją teatru daliśmy trzy przedstawienia i rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania. Czystego dochodu mieliśmy do 4.000 rs. Upojeni powodzeniem, do podziału zebranego funduszu wezwaliśmy pobitych na głowę i oddaliśmy im tyle, ile zwykle otrzymywali.

Pod względem zebrań nie byliśmy żadnym regulaminem skrupowani, wolno nam było zbierać się w uniwersytecie i po domach, ile razy nam się podobało. Biblioteka, doroczny teatr, dawały powody do zebrań publicznych — imieniny kolegów, do zebrań prywatnych. Jeżeli zapraszał Wołyniak, Ukrainiec lub Podolanin, to na kluski z serem; jeżeli Litwin, to na kołduny, a koroniarz na zrazy z kaszą. Zamożniejsi urozmaicali te uczyty, ale nie wolno im było zapomnieć o sakramentalnych dniach. Piwo i herbata stanowiły napitek. Dżonka (było to jakieś mixtum compositum; z wina, rumu, cytryn, cukru, etc. etc.) kończyła przyjęcie. Z początku bawiono się rozmową, która prędzej czy później przechodziła w ogólną dysputę. Co raz któryś z biesiadników prosił o głos, stawał na krześle i przemawiał co chciał a czasami co ślina na język przyniosła. Czas leciał, a gdy

kluski zjedzono i piwo wypito okazywał się kociołek z dżonką. Dwie szpady (koniecznie szpady) na krawędziach kociołka układano na krzyż, na tym stawiano przynajmniej pół głowy cukru, oblewano rumem, zapalano, a jednocześnie wszystkie światła w tym pokoju gaszono. Przy niebieskawym płomieniu spirytusu, który na twarze obecnych, kładł niby całun śmierci, i robił je trupio blade, rozpoczynały się spiewy. Najprzód uniwersalne „Gaudeamus igitur“, potem miejscowe pieśni studenckie „Precz! precz smutek wszelki“ albo „A więc bracia w jedno koło“ to znowu „Tutki hora a tam staw“; „Podnoś krylja orle biłyj“, „Oj! kozacze, kozacze“, wracano do polskich „Armaty pod Stoczkiem zdobywała wiara“ zapijano dżonką, a gdy tego nie stało, festyn kończył hymn „Boże coś Polskę“.

Tak bawiliśmy się, kart przez cały czas pobytu w Kijowie nie widziałem. Ci którzy grywali w karty, kryli się z tem i byli po za kołem.

Pieśni „Precz! precz smutek wszelki“ i „A więc bracia w jedno koło“, które nazwałem miejscowemi, były utworem b. wychowanka uniwersytetu kijowskiego, a później nauczyciela języka polskiego w gimnazyum kijowskim Juliana Kędrzyckiego. Na każdym zebraniu były spiewane, co dowodzi, że doskonale odpowiadały usposobieniu ówczesnej młodzieży. O Julianie Kędrzyckim, jeżeli znajdę możność opisanie pobytu na Syberyi, obszerniej powiem. Obecnie żałuję, że nie mogę przytoczyć w całości obudwu tych ulubionych spiewek; zestawione z piosnkami studentów Moskali, dałyby najlepsze pojęcie o różnicy charakterów, pojęć, ideałów i dążeń obu narodów.

Jednym z najciekawszych zjawisk w naszym życiu studenckiem, było to mianowicie, że w tym czasie Rusini rzeczywiście w uniwersytecie nie stanowili odzielnej grupy. Na kółko rusińskie, jak to już wyżej powiedziałem, składali się Polacy ze wszystkich trzech prowincyj i bodaj jeden koroniarz. Na czele ich stał Antonowicz, który urodził się z polskiej szlacheckiej rodziny, wstąpił do uniwersytetu w Kijowie wśród r. 1851, nie ukończył jednak fakultetu medycznego, a z czwartego czy piątego roku przeniósł się w roku 1856 na historyczno filologiczny. Małego wzrostu, blondyn, o nie-

regularnych rysach twarzy, którą szpecił jeszcze szczególnem czesywaniem włosów na czoło, z pierwszego wejrzenia był niesympatyczny. Chodził w świtce z grubego sukna, z głową potarganą, jakby umyślnie. O szlachcie mówił z widoczną niechęcią, wszystkie swoje sympatye zwracał do ludu. Z dalszymi widokami swymi nigdy się nie wypowiadał. Pięć lat pracy na medycynie, dalsze studia na fakultecie historyczno-filologicznym dawały mu przewagę nad młodszymi kolegami, a teorye demokratyczne, jednały między nimi zapalonych zwolenników. W początkach pomagał mu w robocie literat Leonard Sowiński b. student uniwersytetu. Namiętny, wymowny, wielkich zdolności, bywał na zebraniach studenckich, głos często zabierał i wymową swoją czarował. Czasami czytał ustępy ze swoich satyr, które wówczas przygotowywał do druku. Będąc z przekonania sam demokratą, był rzecznikiem milczącego Antonowicza, dopóki nie spostrzegł, że pod maską demokratyczną kryje on zręcznie inne dalej sięgające tendencje. Wtedy, ale znacznie później, w r. 1861 dopiero stał się jego zaciętym przeciwnikiem i z podwójną energią, starał się zwalczać go na każdym kroku, chcąc odwrócić od niego tych, których wpływem swoim do jego kółka pociągnął. Antonowicz propagandę swą prowadził bardzo zręcznie: gdy on sam występował zawsze, jako umiarkowany demokratą, uczniowie jego dochodzili do krańcowych rezultatów, wypowiadali nawet potrzebę powtórzenia koliszczyzny, rzezi całej szlachty. Gdy mu robiono zarzut z tego powodu, uśmiechał się żartobliwie, wysuwając na pierwszy plan polskie swoje przekonania i dążności. W r. 1861 zerwał jednak swe z polskim ruchem i kolegami stosunki, otworzył odrębne polsko-ruskie grono „Hromada“ a w r. 1863, w chwili wybuchu pozostał obojętnym widzem; z naszego grona pozostał sam bo zwolennicy jego Polacy stanęli prawie wszyscy do apelu. Pomimo to — zdrady nie śmiałyby mu zarzucić. Mam przekonanie, że wziął na swoje barki za wielki ciężar, marzył o wskrzeszeniu Rusi, chciał dla niej tylko pracować. Nie mógł nie widzieć, że z przeszłości nic nie zostało, że trzeba ją na nowo stworzyć, potrzeba więc czasu. Żywioł moskiewski nie wydawał mu się tak groźnym. Trzeba więc było

politykować, wyzyskać pozycję, niedopuszczać do wzmożenia żywiołu polskiego.

Nedorósł do wysokości zadania, maleńki Machiavel przeliczył się i pod koniec życia może się i pogodził z prawosławiem, pod które w pierwszej chwili podszył się z widoków politycznych, a może dla karyery, bo przez prawosławie doszedł do katedry historii w uniwersytecie kijowskim.

Po złagodzeniu wydanego wyroku na studentów winnych przez pobicie pułkownika Brinkena zakłócenia porządku w miejscu publicznym, w r. 1857 zawitał Aleksander II. do Kijowa. Zwiedzając zakłady naukowe nie pominął i uniwersytetu. Zapowiedziana wizyta zaniepokoiła władzę uniwersytecką. Cały dzień przeszedł na rokowaniach, jak mamy się zaprezentować? Życzeniem władz uniwersyteckich było abyśmy wystąpili w galowych mundurach, co okazało się niemożliwym. Na 1200 studentów zjawienie się 20 lub 30 na przyjęcie cesarza, byłoby wprost nieprzyzwoitem, zaniechano więc tej myśli i postanowiono, aby każdy ze studentów zjawił się w takim kostjumie, jaki posiada. Zebraliśmy się licznie. Przed przybyciem oczekiwanego dostojnego gościa Rektor i profesorowie jak mogli tak nas porządkowali, wysuwając naprzód umundurowanych. Niezapomniano uprzedzić nas, jak powinniśmy odpowiedzieć na słowo powitania, ze strony cesarza. Sakramentalny okrzyk bodaj, że powtórziliśmy kilka razy z kompletnym powodzeniem, wszystko zdawało się być w porządku. Odwołuję się do wszystkich żyjących kolegów Polaków, czy aby jeden, idąc do uniwersytetu w tym dniu, nie mówię już wiedział, ale czy się domyślał, że będzie świadkiem skandalu?

Około południa, po parogodzinnem oczekiwaniu, uroczymaconem dowcipami, któreśmy między sobą i profesorami przerzucali, zrobił się ruch większy przed uniwersytetem; karety jedna za drugą podjeżdżały i za chwilę na progu aktowej sali zjawił się cesarz. Wysoki, przystojny, chociaż wówczas jeszcze młody, miał twarz jakby zmęczoną, bez wyrazu energii i poczucia siły. W pięknym mundurze kawalergardów, trzymając w lewym ręku kask w miejscu osadzenia na nim złotego orła, z lekka opierając go na lewej nodze powyżej kolana, posunął się parę kroków naprzód, witając nas słowami „Zdrowstwujiie Gospoda”. Zamiast okrzy-

ku, martwa cisza panowała w sali. Na bladej twarzy cara okazał się lekki rumieniec, oczy mu wtedy dopiero gniewem zabłyśły. Jeszcze kilka kroków postąpił i powitanie z pewnym naciskiem powtórzył. W ostatnich szeregach dał się słyszeć pojedynczy głos, ale na pierwszym słowie okrzyku, głos ten raptownie się oberwał, inaczej nazwać tego nie można, bo zdało się, że wydający okrzyk, padł nagle apopleksyą rażony. Car spłonął, duże niebieskie oczy krwią mu nabiegły i gniewnem rzekł słowem „Gaspada ja wami niedowolen“, dalej wymówił nam wybryk z Brinkieniem; przypomniał, jak łagodnym był dla nas sędzią, wyrzucał niewdzięczność i zakończył grożąc dosłownie w te słowa: „Szałosti jedinicznych lic, wsiegda gotow proszczat’, no szalosti w massach — pomnitie! pomnitie! Gaspada, ja nikohda nie proszczu!

Opuścił natychmiast salę, a my i profesorowie, staliśmy nie poruszając się z miejsca. Młodzież pierwsza oprzytomniała i z przerażenia profesorów żartować zaczęła. Co do nas, chyba wiatr zawiął z mogił i zamknął nam usta. Co skłoniło obecnych tam studentów Moskali, do urzędzenia bądź co bądź skandalicznej sceny, co wreszcie spowodowało profesorów do milczenia, którzy byli zgromadzeni w dostatecznej liczbie, aby ocalić przynajmniej pozory, nie jestem w możności objaśnić i nikt z obecnych tam wówczas Polaków nie wyjaśni.

Wkrótce potem Rebintera usunięto, a miejsce jego w r. 1859 zajął Pirogow, kurator liceum odesskiego. Kiedy nas przyjmował pierwszy raz w tej samej sali, zrobił na wszystkich bardzo korzystne wrażenie. Powiedział nam, że ani chwili nie wahał się przyjąć zaofiarowanego mu stanowiska, chociaż aż nadto dobrze wiedział, że w uniwersytecie kijowskim zastanie silnie rozwinięty duch korporacyjny. Uroczyście zapewnił, że niema, ani myśli, ani chęci przeciwdziałać temu kierunkowi, przeciwnie będzie się starał go podtrzymać, bo jest przekonany, że tylko w takich warunkach wychowana młodzież, może wyrość na pożytecznych obywateli kraju. Możecie panowie liczyć na moją pomoc, uprzedzam was tylko, że uniwersytet uważam za świątynię nauki i wierzę, że tej świątyni nie uczynicie polem starć

politycznych. Programowi temu Pirogow w niczem się nie sprzyniewierzył.

W Kijowie i w uniwersytecie pozostawałem do połowy r. 1861 — w którym pod wpływem wypadków warszawskich inaczej już się ukształtowały stosunki studentów Polaków z kolegami Rosyanami i Rusinami, z władzami i ze społeczeństwem. Charakterystycznym tego stosunku z moich czasów objawem zdaje mi się wypadek z kolegą Paszkowskim który miał miejsce w marcu r. 1861 w czasie głoszenia manifestu uwalniającego włościan od pańszczyznianych stosunków.

Manifest ów ogłoszono z zachowaniem pewnego ceremoniału na wszystkich placach miasta. W czasie kiedy go publikowano na tak zwanym „Tołkuczym rynku“ a czytano go w stronie placu od Sofijskiego soboru, student Paszkowski przechodząc Kreszczatykiem, chwilowo na trotuarze, zatrzymał się, papierosa nie zgasił i czapki nie zdjął; pomimo nalegania komisarza cyrkułowego. Aby się uwolnić od natrętnego urzędnika policyjnego, który ściśle rzeczy biorąc, nie miał prawa monitować go, powiedział mu swoje nazwisko prosząc, aby go zostawił w spokoju, i od uwag swoich uwolnił. Kto zna Kijów i obszar placu przyzna, że wymagania komisarza były niekoniecznie słuszne. Gorliwy urzędnik policyjny zdał raport generał-gubernatorowi. Książę Wasilczykow, stary mikołajowski żołnierz, nie był ani na jotę rozumiejszym od oskarzyciela i korzystając z tytułu honorowego kuratora uniwersytetu i naczelnika kraju, wymógł natychmiastowe wykreślenie Paszkowskiego z listy studentów.

Na wieść o wypędzeniu studenta z uniwersytetu na żądanie Wasilczykowa, porzucono lekcyę i sala zebrań (zbornaja) w jednej chwili zamieniła się w burzliwy sejm. Moskałe tłumnie się zbiegli, oświadczając, że sprawa Paszkowskiego w żadnym razie nie może być odniesioną wyłącznie na rachunek Polaków, że jest sprawą czysto studencką a nie polityczną i że oni czują się w obowiązku stanąć także w obrobie pokrzywdzonego.

Gdy już się wiele nagadano, a jeszcze więcej nakrzyczano, zjawił się ówczesny rektor Bunge (późniejszy minister finansów) i zaprosił nas do obszernej obok audytoryi, gdzie

z katedry w słowach pełnych godności, starał się nas uspokoić, oświadczając, że Wasylczykow żądanie swoje cofnął i Paszkowski zostaje w uniwersytecie — poczem zaproponował spokojne rozejście i udanie na lekcye. Rozgorączkowanj Moskałe obrzucili go obelgami — rektor uciekł, a oni tłumnie przeszli do sali zebrań.

Jeszcze z większym ferworem zaczęto krzyczeć, bo inaczej tego nazwać nie było można. Oburzenie przeciwko Bungemu motywowali tem, że cofnięcie się Wasylczykowa, nastąpiło nie z chęci dania studentom zadosyćuczynienia, ale dlatego, że Paszkowski jest synem jenerała, studenci więc powinni się zabezpieczyć od podobnych nadużyć w przyszłości. Nie mogąc jednak w chaosie takim nic postanowić, zaproponowano zgrupowanie się podług narodowości, i wybranie deputatów, raczej komisyi, która miała obmyślić i przedstawić projekt, jak mamy sobie postąpić.

My liczniejsi zaczęliśmy się cofać ku ścianie, na której za siatką wisiały publiczne ogłoszenia władz a wśród nich pamiątkowe carskie „spasibo“¹⁾. Małorosi i Moskałe zajęli dwa przeciwległe kąty. Nigdy nie zapomnę arcykomicznej sceny, gdy jeden ze studentów, stanąwszy na środku sali, zwrócił się z następującem zapytaniem do całego ogółu „Panowie! Ojciec mój Chachoł, matka Polka, urodziłem się w Żytomierzu, do jakiej więc narodowości należę? Na tak postawione zapytanie jeden z Moskali radził mu, aby się zwrócił do Polaków, o rozstrzygnięcie tej zawilej kwestyi. Zdetonowany młody człowiek, widząc że śmiech tylko wywołał, po chwili wahania stanął w grupie Rusinów.

W czasie gdy my ustępowaliśmy ławą ku ścianie, wypadkiem ktoś nacisnął silniej siatkę metalową a chroniącą szyby w szafach. Szkło z brzękiem pękło, a jednocześnie

¹⁾ Za jednej z bytności cara Mikołaja w uniwersytecie w Kijowie zakończył on swą mowę do studentów, chwając ich zachowanie się słowem „Spasibo!“, co tak uradowało Bibikowa, że złotymi literami kazał wypisać datę wizyty, słowo carskie, oprawić w złotą ramę wielkości arkusza papieru i w uniwersytecie na wieczną rzecz pamiątkę w sali zebrań pomieścić. To carskie spasibo było pomieszczone w jednej z oszklonych szaf ściennych, przeznaczonych do pomieszczenia ogłoszeń uniwersyteckich, odnoszących się do studentów, wystawiania nieodebranych listów, etc. etc.

w grupie wielkorosów rozległ się okrzyk „Ura! polaki łomajut carskoje spasibo“ i krzyczący tłum gwałtownie posuwał się ku nam. Instyktownie rozstąpiliśmy się w jedną i drugą stronę dając im miejsce. W pięć minut potem, kupa drzazg z połamanymi szaf, strzępków z podartych papierów i słup kurzu nad nimi świadczyły o gorącym temperamencie i skłonności do awantur wielkorosów, kiedy występują w masach, bo pojedynczo zanadto pamiętają o II przykazaniu „Ruki po szwam“.

Na drugi dzień, gdy delegaci przedstawili projekt adresu do Wasylczykowa, pierwsi powstałi na jego szorstkość wobec broniących go Polaków, zarzucali mu tendencje polskie. Zrobione poprawki nie zadowolniły ich, wreszcie gdy Krytowski przez nich wybrany zaczął poprawionego adresu energicznie bronić, publicznie zrobili mu zarzut, że został przez nas przekupiony. Oburzony Krytowski wystąpił z korporacyi, prosząc aby go która z gmin polskich do siebie przyjęła — (był w powstaniu rannym).

Widząc, że do porozumienia nie przyjdzie, bo adres przysłoby zamienić na najpokorniejszą prośbę, opuściliśmy salę, oświadczając, że podamy adres, oni zaś mogą podać co im się podoba. Tak i zrobiono. W kilka dni Wasylczykow zebranych aktowej sali studentom, dał odpowiedź następującą. W tych dniach otrzymałem prośbę od korporacyi rosyjskiej, w odpowiedzi na nią, oświadczam panom, że fakt podobny wydalenia studenta z uniwersytetu na jednostronne moje żądanie już się nigdy nie powtórzy. W razie potrzeby delegaci ze strony mojej, władzy uniwersyteckiej i studentów sprawę rozpatrzą i wyrok wydadzą. Jednocześnie otrzymałem od korporacyi polskiej szorstki adres na który miałbym prawo nie odpowiadać, ale przypuszczając, że był napisanym pod wpływem wypadków warszawskich, udzielam panom odpowiedź taką samą, jaką tylko co dałem studentom korporacyi rosyjskiej.

Był to ostatni wypadek za moich czasów w uniwersytecie.

Ponieważ w pobiciu Brinkena, nawet smutnej pamięci Katkow nie doszperałyby się zabarwienia politycznego, a przyjęcie Aleksandra było wynikiem ówczesnych okoliczności, nie rezultatem zmywy uprzedniej, każdy bowiem

z Polaków mógł się nie poczuwać do obowiązku wydawania powitalnych okrzyków, bez chęci zmanifestowania się pozostał to kolegom moskalom i nie wątpił, że krzycheć będą. Adres zaś najlepiej dowodzi, że propozycja podobnego zachowania się z naszej strony była wprost niemożliwą. Co skłoniło Moskali do milczenia, ich oto należy zapytać. Sądzę, że był to objaw fantazyi studenckiej, na gruncie szerokiej wielkoruskiej natury niczem nie krępowanej, bo car poprzestał na berle i knut chwilowo z rąk wypuścił. Ponieważ w ostatnim wypadku nie przyjmowaliśmy żadnego udziału, a byliśmy tylko obojętnymi widzami furji moskiewskiej, z całą stanowczością twierdzą, że wówczas w uniwersytecie kijowskim żadnych tajemnych politycznych związków nie było. W roku 1859 spotykałem się już z propagandą pewnego rodzaju organizacyi poza korporacyą studencką, pod nazwą „Trojnicki“¹⁾ opartej na liczbie 3, to jest, że każdy związkowy znał tylko dwóch swoich kolegów, którym komunikował udzielone sobie wiadomości, ale nie miał przy mnie ten związek prawie żadnego wpływu na życie studenckie. Jedyna próba oddziaływania studentów na zewnątrz o której zaraz mówić będę, nie przez Trojnickiego była zainicjowana; wyjazd do Warszawy, aresztowanie, a po uwolnieniu, ostateczny egzamin i spieszny wyjazd z Kijowa nie dały mi możności bliżej się z owym Trojnickim zapoznać dlatego nic więcej o nim powiedzieć nie mogę.

IV.

W czasie pobytu Aleksandra II. w Kamieńcu podolskim w r. 1859, zgromadzona tam szlachta podała adres, prosząc o obowiązkowy wykład języka polskiego w gimnazyach okręgu naukowego kijowskiego. Car raczył się przychylić do prośby obywateli i wykłady natychmiast były wprowadzone. Nadspodziewanie łatwy sukces obywateli, był przyczyną że na jednym z zebrań studenckich w r. 1860, koroniarze poruszyli kwestyę, czy nie należałoby skorzystać z chwili i wysłać depytacyę do Petersburga, z prośbą o zaprowadzenie w uniwersytecie kijowskim wykładów w języku polskim, Prośba miała być motywowana w następujący

¹⁾ Powstała w 1857 roku.

sposób. Uniwersytet kijowski jest dalszym ciągiem akademii wileńskiej, którą zgasił cesarz dla dobra obywateli kraju raczył przenieść do Kijowa. W akcie inauguracyjnym, jak nas zapewniano niema ani jednego słowa o tem, że ma być zamienioną na ruski zakład naukowy. Mając na uwadze, że na 1200 studentów jest 800 polaków, że jedną trzecią pozostałej reszty, stanowią mieszkańcy trzech zabranych prowincyj i język polski nie jest im obcy, cel więc wytknięty przez założyciela uniwersytetu. tylko przy wykładach w języku polskim, może być w zupełności osiągniętym. Podole, Wołyń, Ukraina zgodziły się na rzeczony projekt. Ponieważ przewidywaliśmy możliwość ocknięcia się deputacyi w Petropawłowskiej fortecy, postanowiliśmy z pewnej liczby kandydatów trzech wybrać przez losowanie. Wybrano Gustawa Wasilewskiego, W. J i T. B. Pirogow, gdy deputaci przyszli prosić o urlopy, wydania takowych nie odmówił, mówiąc: wiem po co chcecie jechać do Petersburga, uważam sobie za obowiązek uprzedzić, abyście panowie, w razie doznanego niepowodzenia, na pomoc i opiekę uniwersytetu ani moją nie liczyli.

Gdy tak rzecz cała była prawie skończoną, zjawia się Antonowicz z propozycją, abyśmy się porozumieli z Rusinami, ofiaruje swoje pośrednictwo, głównie zwraca uwagę na większą doniosłość prośby, gdy ta popartą będzie przez przedstawicieli rdzennej miejscowej ludności. Łatwo daliśmy się nakłonić do zawiązania pertraktacyi, które się przeciągnęły dość długo i do żadnego rezultatu, oprócz straty czasu nie doprowadziły. Rusini bowiem po długich rokowaniach postawili ultimatum, że wtedy tylko przyłączyć się do deputacyi gotowi, jeżeli prośbę naszą ograniczymy do bardzo skromnych rozmiarów, a mianowicie: o katedrę literatury polskiej i katedrę języka rusińskiego. Ponieważ katedra literatury polskiej de jure istniała w kijowskim uniwersytecie, a była tylko nie obsadzona, podobną więc prośbę uważaliśmy wprost za nieloiczną i oświadczyliśmy Antonowiczowi, że zrzekamy się współdziałania Rusinów i sami pojedziemy do Petersburga. Na takie dictum Antonowicz zagroził contrdeputacją i contradresem, wobec czego zmuszeni byliśmy zaniechać zamiaru. Manewr Antonowicza był zręcznym, należy mu to przyznać i rzuca pewne światło na

całe jego zachowanie się ówczesne; bał się przewagi elementu polskiego, co zdaniem moim osłonić go powinno od zarzutu zdrady.

Przyciśnięci do muru przez Antonowicza, postanowiliśmy pojechać do Warszawy i tam na ręce prezesa towarzystwa rolniczego złożyć adres, prosząc, aby towarzystwo uwzględniając potrzeby kraju wystąpiło z prośbą, lub adresem, do tronu o zaspokojenie tych potrzeb, nie pomijając braku szkoły wyższej.

Po przybyciu do Warszawy deputacja złożona z Gustawa Wasilewskiego, K. P. i B. znalazła się w dość trudnem położeniu. Wtedy dopiero spostrzegła, że głos jej nie może być należycie doniosłym, mając na widoku, że młodzież polska, kształciła się we wszystkich uniwersytetach rosyjskich — ona zaś jakkolwiek przedstawiała najliczniejszą grupę, w każdym razie za przedstawicielkę ogółu uczącej się młodzieży uważaną być nie mogła. Na razie zwróciła się do studentów akademii medycznej warszawskiej szkoły sztuk pięknych i Marymontu. Następnie za pośrednictwem bawiącego wówczas w Warszawie studenta petersburskiego uniwersytetu Markiewicza¹⁾ skomunikowała się z młodzieżą petersburską, a ta zaprosiła Dorpat i Moskwę.

Oczekując na deputację z Petersburga, Dorpatu i Moskwy, staraliśmy się wejść w stosunki z młodzieżą i wybitniejszymi osobistościami w mieście. Szkoła sztuk pięknych otworzyła nam podwoje na ścieżaj. Akademia medyczna i Marymont — z pewną rezerwą, szczególniej pierwsza. Warszawa była nadzwyczaj ożywiona, chociaż ludzie pracowali jak zwykle, ale praca ta nie była wykonywana apatycznie, z twardej konieczności, aby jeno z głodu nie umrzeć, ale aby żyć całą pełnią życia. Zelektryzowana pogrzebem Sowińskiej i manifestacją na Lesznie przed Karmelitami, przebudzona z długiego letyrgu, zaczęła jasno zeznawać, że ma pewne prawa do życia i że iluminacyami i balami dla cara tych praw nie uzyska. Nagłe przebudzenie, brak ludzi, brak programu spowodowały pewnego rodzaju zamęt. Towarzystwo rolnicze, jedyna zorganizowana i wówczas w Warszawie obradująca instytucja nie stała na wysokości

¹⁾ Zdaje się, że dobrze nazwiska pamiętam,

zadania, nie umiała z danej chwili skorzystać, pozostała też do końca swego istnienia, bez należnego wpływu na rozwijające się wypadki. Po za towarzystwem rolniczym istniało między młodzieżą kilka kółek o ile można było zorientować się w czasie krótkiego pobytu w Warszawie, wzajemnie sobie obcych: Szkoła sztuk pięknych była najzuchwalszą, ona była inicjatorką odśpiewania hymnu „Boże coś Polskę“ przed kościołem na Lesznie i w tej chwili zajęta była przygotowaniem manifestacyi na 25 lutego.

Najpoważniejsze i zarazem najliczniejsze było kółko Jurgensa urzędnika komisyi skarbu z programem pracy u podstaw, utrzymywało czucie z Towarzystwem rolniczym, ale zaskoczony wypadkami, prawidłowo funkcjonować nie mogło, a oddawszy się na usługi Towarzystwa rolniczego przy braku zmysłu politycznego w przywódcach Towarzystwa los jego podzieliło. Mówiono głośno o partyi Mierosławskiego, wówiec jednak o niej seryo nie uważam za stosowne. Ruchliwy i bardzo wówczas czynny student akademii medycznej K. M. podtrzymujący stosunki z ludźmi należącymi do rozmaitych kółek, ambitny a nie bez pewnych zdolności, i rzeczywiście zwolennik i umocowany p. Ludwika, nigdy się do tego nie przyznawał, bo ex-jenerał był dla umiarkowanych straszdyłem, a dla najgorętszych firmą mocno zdyskredytowaną.

Po przyjeździe deputatów z Petersburga, Dorpatu i Moskwy, po dwóch z każdego uniwersytetu, zaopatrzonych w pełnomocnictwa¹⁾ na ogólnym zebraniu, zredagowanym został adres do Towarzystwa rolniczego w bardzo umiarkowanej formie. Szło już tylko o jego wręczenie. Sami deputaci wykazali w wysokim stopniu oględność, o wręczeniu go publicznie na posiedzeniu Towarzystwa mowy nawet nie było, byli jednak pewni, że będą prywatnie przyjęci przez prezesa Towarzystwa i jemu adres złożą. Tymczasem hrabia Andrzej Zamojski, uchylił się od przyjęcia deputacyi, zastępując się Tomaszem hr. Potockim, temu więc złożono adres. Następnie wybitniejsi członkowie Towarzystwa, przyjmowali deputatów po kolei u siebie z największą uprzejmością. Między innymi pp. Przedziecki, Ostrowski, etc. etc. Szlachta

¹⁾ Borejsze, Harasimowicz, Peplowski; reszty nie pamiętam.

urządziła kilka zebrań po hotelach, na które deputaci otrzymali zaproszenia i na każdym z nich byli starannie badani, co zacz są? i czego chcą? W końcu panowie bracia wystąpili z obiadem w hotelu europejskim. Po zwykłych w podobnych razach toastach i wzajemnych komplementach, gospodarze wieszowali deputatom, że cel osiągnęli, bo podanie adresu jest stanowczo zdecydowanym i że słuszne żądanie młodzieży, pominięte w nim nie będzie. Na ostatniemu posiedzeniu przed zakończeniem obrad, drzwi sali zostaną zamknięte i przedstawiony adres, przez wszystkich zgromadzonych musi być podpisanym. Jeżeli wziąć pod uwagę, że deputowani bądź co bądź byli wybrańcami młodzieży, kształcącej się w wyższych zakładach naukowych, zachowanie się Towarzystwa rolniczego, od początku do końca było co najmniej niewłaściwe. Prezes bez ujemy dla siebie i szkody dla instytucji, mógł deputację przyjąć; przyjęcia u wybitniejszych członków Towarzystwa i zbieranie się po hotelach byłyby wtedy zbyt bezsensowne. Na owym zaś pożegnalnym obiedzie zamiast opowiadań o zamykaniu drzwi, co przy ówczesnym usposobieniu wydaje mi się absolutnie zbyt bezsensownym, właściwiej należałoby nie robić tajemnicy z żądań, jakie czcigodni reprezentanci narodu, mieli zamiar przedstawić tronowi.

Ulica w czasie tym wrzała. O przygotowującej się manifestacji mówiono głośno. Towarzystwo zdecydowawszy się na podanie adresu, chciało jej zapobiedz, używając ku temu wszelkich środków. Widząc, że szkoła sztuk pięknych okazuje deputatom szczególne względy, zdecydowano się za jej pośrednictwem oddziaływać na szkołę. Nauczyciel gimnazjum Władysław Gotemberski i inni których nazwisk nie pamiętam, nalegali na deputatów, aby wpływem swoim, starali się powstrzymać zapaleńców. Kijowianie stanowczo uchylili się od pośrednictwa, motywując odmowę, że byłoby z ich strony zarozumiałością nie do darowania, gdyby sądzili że wpływem swoim potrafią skutecznie przeszkodzić temu, co od miesiąca przygotowane, stało się poniekąd własnością ogółu, który zachowaniem się swoim, zbyt wymownie świadczy, że nic przeciwko temu nie ma. Jeżeli Towarzystwo rolnicze było przekonane o szkodliwości manifestacji, należało przeciwdziałać od początku, wszelkie usiłowania w osta-

tniej chwili celu nie dopną, a mogą spowodować tylko ujemne rezultaty, bo rzecz bardzo być może poważną zredukują do prostej burdy ulicznej. Opinię tę podzieliła i reszta deputatów.

O przybyciu do Warszawy deputacyi policya tak dobrze wiedziała, jak o przygotowującej się manifestacyi. W nocy z 26 na 27 wszyscy deputowani pod opieką żandar mów zostali wywiezieni do miejsc z kąd przybyli. W pośpiechu nie odszukano mieszkania mego i Gustawa Wisilewskiego. Poszukiwano nas w Marymoncie, o czym rano 27 zostaliśmy przez znajomych zawiadomieni. Szlachta w imieniu Towarzystwa, zaczęła nastawać, abyśmy wyjechali. Po naradzie z Wasilewskim, ja miałem udać się do Trepowa, on zaś dopiero po widzeniu zię moim z Trepowem, miał co do siebie ostatecznie zdecydować. Około godziny drugiej w mieszkaniu policmaistra zastałem dyżurnego komisarza cyrkułowego. Na zapytanie czego sobie życzę? Żądałem osobistego widzenia się z Trepowem. Ponieważ byłem w cywilnem ubraniu, komisarz wzdragał się obudzić dostojnika, gdym mu jednak powiedział, że jestem studentem kijowskiego uniwersytetu natychmiast udał się do gabinetu, prosząc, abym się chwilkę zatrzymał. Nie długo potrzebowałem czekać. Jednocześnie z komisarzem wyszedł i Trepow. Zacząłem od skargi na policję, przedstawiając mu, że przyjechałem za urlopem, wydanym mi przez właściwą władzę. Urlop zgodnie z przepisami policyjnemi, złożyłem rządcy domu w którym zamieszkałem; tymczasem dowiaduję się, że jestem poszukiwany przez policję po nocach i to w Marymoncie, który przecież nie jest hotelem, a zakładem naukowym. Chcąc więc policji oszczędzić daremnych trudów, zjawiam się osobiście i proszę o wyjaśnienie, z jakiego mianowicie powodu jestem poszukiwanym. Trepow był widocznie skonfundowanym. Zaczął od tego, że on osobiście nie ma nic ani przeciwko mnie, ani przeciwko moim kolegom, ale otrzymał rozkaz, aby nas z miasta do dnia jutrzejszego wyrugował. Następnie zaproponował, abym mu dał słowo, że dnia dzisiejszego wyjadę, wtedy wyda mi przeznaczone na drogę rs. 50 i uwolni od towarzystwa żandarma, w przeciwnym razie, zmuszony będzie mnie chwilowo zatrzymać, tymczasem poszle po konie pocztowe i żandarma

który mnie odwiezie do Kijowa. Jeżeli dam słowo, że dobrowolnie wyjadę, aby mi dać dowód, że on osobiście nie aprobeje podobnego postępowania dodał, o możliwości wyjechania gdzie mi się podoba, byłoby jutro w Warszawie nie był.

Mając do wyboru zupełną swobodę i przyjaźdzkę przymusową z żandarmem, dałem słowo, że jutro o godzinie szóstej rano wyjadę z Warszawy. Pieniądzy jednak na drogę nie potrzebuję i przyjąć nie mogę. Trepów starał mi się wytłumaczyć, że pieniądze asygnowane są z funduszków miejskich, z zastrzeżeniem, aby w czasie późniejszym były wygzekwowane z dochodów, jakimi każdy z nas w przyszłości rozporządzać będzie, nie są więc datkiem, skończył argumentem, że odebrany rozkaz literalnie spełnić musi.

Gdy opowiedział Wasilewskiemu o dobrowolnem złapaniu się w pułapkę, życzył mi szczęśliwej podróży, do dając, że jest zbyt ciekawym dnia jutrzejszego i sprobeje pozostać.

Na drugi dzień punkt o godzinie szóstej zapukał do mego mieszkania komisarz X. cyrkułu Dzierzanowski powiedział mi, że mu polecono, aby mi towarzyszył do rogatki, ale on ufa memu słowu i od swego towarzystwa zwalnia. Wręczył mi czterdzieści kilka rubli, bo resztę zapłacił za ekstrapocztę do pierwszej stacyi, prosząc abym jak najspieszniej wyjeżdżał. Wyjechałem nie bez pewnego żalu. Na pierwszej stacyi długo się namyślałem, czy mam jechać dalej, czy powrócić do miasta. W końcu postanowiłem słowa dotrzymać i pojechałem dalej. Tak niespieszno mi było jechać, że około godziny 10 wieczorem byłem dopiero na trzeciej stacyi. Piłem herbatę, gdy na stację gwarnie weszła gromada obywateli z okolicy, żądając koni. W liczbie ich było kilku moich kolegów z gimnazjum. Po wzajemnych przywitaniach zapytany dokąd jadę, opowiedziałem im w jaki sposób zostałem zmuszony wyjechać z Warszawy i wlokę się do R..... Widocznie nic nie wiesz co zaszło w Warszawie. Śmieję się z Trepowa — Warszawą nasza, jedź więc z nami nazad. Chętnie propozycję przyjąłem i za kilka godzin znowu stanąłem na bruku warszawskim.

Jaki był przebieg 27 lutego, nie będąc naocznym świadkiem wypadków opisywać szczegółowo nie będę,

a tylko z opowiadań naszkicuję. Tłumy pod przewodnictwem czerwonych, jak już wówczas zaczęto nazywać — postępowały spokojnie ku pałacowi namiestnikowskiemu, gdzie się odbywały posiedzenia Towarzystwa rolniczego. Na krakowskiem przedmieściu stał oddział piechoty pod rozkazami generała Zabołockiego, który miał rozkaz niedopuszczenia manifestantów do Towarzystwa. Tłum nie chciał się cofnąć i rozejść, choć wojsko zagradzało drogę. Zniecierpliwiony pertraktacyami Zabołocki, kazał dać ognia! Padło 5 trupów!

Ówczesny namiestnik, Książę Gorczakow, osiwiwały i od huku armat ogłuchły obrońca Sewastopola, wzdrygnął się przed myślą dalszego mordowania bezbronych i kazał cofnąć wojsko.

Kto wie czy oprócz uczucia nie kierował się i zmysłem praktycznym w ocenie danej chwili. Jako głów dowodzący wojskami, znał siły jakimi rozporządzał, widział do jak wysokiego stopnia masy były podbudzone, jak łatwo mogły wpaść w szal, który ma także swoją logikę, często zadziwiająca a nieledwie genialna. Może obliczył, że nie ma dostatecznych sił do zmiżdżenia tych tłumów, a drażnić ich było niebezpiecznie, bo jedno gorące słowo, mogło ich zmienić w ślepa siłę żywiołową. Obwiniono go potem o brak energii, czy słusznie? to wielkie pytanie. Nie przeczę, że decydując się ustąpić — ryzykował, ale w rezultacie rząd nietylko nic na tem nie stracił, ale przeciwnie odniósł niezaprzeczalne korzyści. Nie należy zapominać o tem, że potrzeba było 6 tygodni czasu przy wzorowym, absolutnym spokoju na zgromadzenie dostatecznej ilości wojska, aby władza mogła się poczuć dość silną, że bez telegrafów w 24 godziny wszystkie miasta i miasteczka podtrzymałyby stolicę, że bez inicjatywy skądkolwiek bądź ludność cała dobrowolnie okryła się żałobą.

Była więc chwila, że władza leżała na bruku, brakło ręki, któraby była dość silną, aby ją podnieść.

Gdyby prawdą było, że Szkoła sztuk pięknych działała pod wpływem zagranicy, miałyby jasno wytknięty cel, wiedziałyby dokąd dążyć i niezawodnie skorzystałyby z otrzymanego zwycięstwa. Dobrze czy źle — udolnie czy nieudolnie? to inne pytanie i położenia rzeczy nie zmienia. Tymczasem dzieje się wprost przeciwnie, po otrzymanej przewa-

dze, czerwoni jak ich nazywano, usuwają się na plan drugi, i nic nie przedsięwiora, w niczem co się dalej dzieje nie przyjmują udziału. Nikt ich nie znał i nikomu oni nie wydawali rozkazów. W owej uroczystej chwili, gdy procesya od kościoła Paulinów weszła na stare miasto, a ludność tej dzielnicy, upadła na kolana przed sztandarem narodowym nie okrzykiwano przywódców procesyi, Frankowskich, lub Szachowskiego, ale z tysiąca piersi wydarł się jeden okrzyk „Polska nasza zmartwychwstaje“. A serca tych ludzi przepełnione były takim bezmiarem szczęścia, że starzy i młodzi kobiety i mężczyźni szlochali, jak dzieci. Jeszcze raz powtarzam, że inicjatorzy protestu przeciwko dotychczasowym porządkom, tak stanowczo uznanym za dobre przez liberalnego cara, zginęli w tłumie, zrobiwszy co zamierzali. Dowiedli, że wobec mas bezbronnych, ale silnych poczuciem słuszności swych żądań, siła bojowa państwa nie zawsze i nie wszędzie daje się użyć z powodzeniem wtedy przestaje być siłą. Wierzyli, że ci co się uważali i byli uważani za przedstawicieli narodu, umieją skorzystać z krwawego protestu.

Po cofnięciu się wojska, pięć ofiar podniesiono i złożono w hotelu europejskim. Towarzystwo rolnicze zamiast wyzyskać położenie i adres o całą oktawę podnieść, odstępuje od pierwiastkowego projektu, podania kategorycznego adresu i redaguje nowy w którym oprócz mglistych płaczliwych frazesów zapewnia o swojej lojalności niczego nie żąda, ale też i nic nie dostaje, a jednocześnie dyplomatycznie staje na stronie, wysuwając na pierwszy plan obywateli miejskich.

Ci zgromadzeni w resursie kupieckiej wybierają, a słuszniej daleko powiedzieć posyłają delegację do namiestnika. Nie pamiętam nazwisk wszystkich delegatów, a było ich zdaje mi się 24. Z przyjemnością zaznaczam, że była złożoną zrzecznie i słusznie mogła się przedstawiać za przedstawicielkę miasta. Prasa, kupiectwo, rzemiosła, duchowieństwo, wielki kapitał, żydzi mieli w niej reprezentantów. Kraszewski, Wyszyński, Kronnenberg, Szlenker, Hiszpański, Meisels, etc. etc., że Bismarka między nimi nie było, trudno ich o to winić.

Stary Gorczakow delegacyę uprzejmie przyjął, przemówień jej członków cierpliwie wysłuchał, tem bardziej, że jedyne żądanie pochowania poległych z zaręczeniem, że miasto zachowa się spokojnie, było tak dalece skromne, że Gorczakow obydwoma rękami chwycił się delegacyi która mu dawała możność wyjścia z ery trudnego położenia.

Przy środkach, jakimi rozporządzał, nie miał odwagi uronionej na bruk władzy podnieść, aby ją dalej w własnym ręku utrzymać. Widząc jednak, przed sobą grono ludzi poważnych, który ani z pozycyi swojej, ani z niebezpieczeństwa danej chwili jasno sobie sprawy nie zdają i honorem odpowiadać chcą za spokojność i porządek w mieście, a więc i w całym kraju — nietylko, że na pogrzeb zezwała, ale cały kraj w ich ręce bez żadnych zastrzeżeń oddaje. Upojenie dochodzi do zenitu! Kto widział ówczesną Warszawę, spokój i porządek, jakie w niej panowały, bez policyi żandarmów, policmeistrów, et tutti quanti. Kto widział ów pogrzeb w którym przyjęła udział ludność całego miasta i duchowieństwo wszystkich wyznań nie wyłączając i rabinatu; te okiem nie przejrzone tłumy, na jedno słowo, jeden ruch ręki ucznia gimnazjum, lub studenta na czapce którego widna była, maleńka kartka papieru z napisem komitet pogrzebowy, cofające się we wskazanym kierunku w absolutnym porządku i spokoju, ten tylko ocenić może jaki ogrom uczucia, poświęcenia i energii wyładowywał się z tej żywej bateryi. Jeżeli po dwuletniem bezowocnem targaniu się, garstka z tych ludzi z gołemi rękami rzuciła się na armaty pod Siemiatyczami i zdobyła je — to w owej chwili jeden niezręczny krok ze strony rządu, mógł spowodować wybuch, a sto tysięcy pięści wystarczyłoby na zdruzgotanie bram nieprzygotowanej do oporu cytadeli.

Znany z gnębienia więźniów politycznych Żuczkowski zwany Morokiem, siadał wówczas skromnie w celach więźniów, wygłaszając słodkim głosem „Los jest zmienny, dziś ja pana, jutro pan mnie, jako więźnia może pilnować.

W takiej nadzwyczaj krytycznej chwili Gorczakow złożył władzę w ręce delegacyi i tym sposobem zabezpieczył absolutnie porządek w kraju, którego sam nie byłby w stanie utrzymać. Delegacya przedewszystkiem zajęła się zorganizowaniem tymczasowej straży bezpieczeństwa i zło-

żyła ją w ogóle z ludzi młodych, po większej części studentów akademii i starszych uczniów gimnazyum. Posiedzenia odbywała codziennie w lokalu resursy kupieckiej. W nocy znajdował się tam zawsze członek delegacji dyżurny, któremu zaimprovizowana straż bezpieczeństwa składała raporta o stanie miasta — słowem z całą gorliwością pełniła obowiązki, czasowo usuniętej policji i żandarmów.

Przez całe sześć tygodni wzorowy porządek w mieście nie był ani na chwilę zakłócony. Gorliwość w spełnianiu przyjątego na siebie zobowiązania delegacja posunęła tak daleko, że na zasadzie głuchych wieści, nie mających w rzeczywistości prawie żadnej podstawy, kazała aresztować niejakiego Krzyżanowskiego i posadziła w Cytadeli. Krzyżanowski podobno b. student uniwersytetu petersburskiego, był wysłany z wyroku sądowego na Syberję za Mikołaja. Z mocy manifestu Aleksandra II. powracającego zesłanych politycznych udało mu się skorzystać i jako polityczny wraz z innymi powrócił. Nic więc dziwnego, że wróciwszy do kraju, podejrzewany i kontrolowany przez swoich kolegów z wygnania, chciał się bądź co bądź rehabilitować. Młody jeszcze nie pytał oto co go może spotkać, przypuszczać należy, że pragnął zakompromitować się wobec rządu politycznie i tym sposobem zagłuszyć raz na zawsze budzące się podejrzenia co do przeszłości. Z natury blagier, nosił swój patriotyzm, że tak powiem, na pokaz przed sobą. W cukierniach, kawiarniach — nawet na ulicy, gdy znalazła się po temu sposobność, perorował głośno, nie oglądając się na nic i na nikogo, a że jawnie skłaniał się ku teoryom krańcowym, podejrzenia rosły co chwila. To delegatom szeptano do ucha, że to płatny podżegacz, to szpieg — to wcielony djabeł, przywódca jakiejś bandy braci czarnych, którzy w nóż i rzeź tylko wierzą.

Na jednym z posiedzeń delegacji postanowiono pozbyć się niebezpiecznego człowieka i postanowienie wykonano. Krzyżanowski długo bardzo trzymany w Cytadeli, został później przewieziony do Modlina i ztamtąd z wieloma innymi wysłany do katorżnych robót na Syberję. Na wygnaniu spotykałem wielu jego kolegów z więzienia w cytadeli i Modlinie, żaden z nich nie tylko nie rzucał na niego żadnego podejrzenia, ale przeciwnie, jak najlepiej świadczyli,

jako o koledze z czasów więziennych, poznałem i samego Krzyżanowskiego. W niczem się on nie zmienił. Jak w kraju tak i na wygnaniu starał się usilnie o względy kobiet, wiedział jak przemożny wpływ wywiera niewiasta na życie nasze, że każdy z nas jest z urodzenia pantoflem idealnym, pozbawieni tego przymiotu do wyjątków należą. Jest to jedna z naszych wad czy właściwości narodowych. Szlachcic polski choćby na tronie bez swojej Marysieńki, a chłop polski bez swojej kobiety nigdy nic nie postanowi. W chwili przybycia mego do Irkucka Krzyżanowski siedział już w ostrogu w tak zwanej sekretnej z powodu wysyłania listów od zesłanych politycznych do kraju, za pośrednictwem żony ówczesnego policmajstra Wakulskiego, potem został wysłany gdzieś na Jakuty, a po powrocie moim z ciężkich robót do Irkucka, Krzyżanowski umiał sobie zjednać miejscowego Gubernatora, który wyjednał mu powrót do praw stanu i mianował urzędnikiem do szczególnych poruczeń przy sobie.

Pewnego razu spytałem go o owych czarnych braci, serdecznie się zaśmiał i opowiedział mi rzecz następującą: wybierałem się na jakiś wieczorek literacki, gdy wszedł do mnie jeden z gorących zwolenników Mierosławskiego, człowiek ten od pewnego już czasu starał się wybadać mnie jakich jestem przekonań. W chwili tej był energiczniejszym niż zwykle — zbywałem go ogólnikami, on coraz bardziej nastawał i w końcu wręcz mi oświadczył, że stanowczo chciałby wiedzieć z kim ma do czynienia? Czy należę do białych lub czerwonych? Zniecierpliwiony, ponieważ byłem we fraku odpowiedziałem — Jak pan widzisz jestem czarny od stóp do głowy. Nastąpiło pożegnanie. Wprawdzie na wieczorek się nie spóźniłem, ale odtąd zostałem czarnym“.

Żartem zbywając natręta, Krzyżanowski w błąd go nie wprowadził i stanowisko swoje określił dobrze. Nie był on człowiekiem jakiejś partji, ani miał głąbokich przekonań. Chciał się jak powiedziałem rehabilitować, chciał żyć znośnie, często miał szlachetne popędy, a zawsze dbał przynajmniej o pozory.

Kto najstaranniej przeżył protokoły posiedzeń Delegacji, sądzą, że w nich nic ważnego nie znajdzie. Pogrzeb 5-ciu poległym urządziła wspomniały. Wydała proklamacje, że kto z bronią w ręku ukaże się na ulicy będzie uważany za zdrajcę

kraju, pilnowała porządku i ulokowała w cytadeli Krzyżanowskiego.

Tymczasem ścigano pospiesznie wojska i gdy ich sprowadzono dostateczną ilość, Gorczakow wezwał na zamek Delegacje, podziękował jej za sumienne wywiązanie się z przyjętego na siebie obowiązku i od dalszych usług uwolnił.

Na adres odpowiedzi nie było żadnej. Po chwilach upojenia, nastąpiło pewnego rodzaju rozczarowanie; niezadowolenie było ogólne. Grunt pod wszelkiego rodzaju knowania był przygotowany dostatecznie. Do tego czasu krzykaczy słuchano, lecz nietylko nie grupowano się koło nich, ale przeciwnie odnoszono się do nich z pewnego rodzaju niedowierzaniem. Odtąd wobec ogólnego zniechęcenia, każdy co chciał potępiać niezaradność ludzi, których fala wypadków wyrzuciła na przodujące stanowisko, znajdował posłuch i zwolenników.

Do deputacyi kijowskiej w chwili wyjazdu jej z Kijowa przyczepił się niejaki Ignacy Chmieliński i odtąd pozostał stale na bruku warszawskim. Ponieważ z czasem wyrósł na jednego z najszkodliwszych wichrzycieli — opowiem co mi o nim wiadomo. Syn niezamożnego obywatela w Królestwie, gimnazjum nie ukończył — poprzestał na 5-tej klasie i wskutek śmierci ojca, został chwilowo rolnikiem. Bardzo prędko ojcowiznę stracił, postanowił dalej się kształcić i w tym celu przyjechał do Kijowa. Egzaminu wstępnego nie zdał, przez rok więc, jak wówczas mówiono mułował, oczekując na drugi egzamin. Obciętych na wstępnym egzaminie nazywano mułami. Aspiranci do Uniwersytetu w Kijowie byli traktowani bardzo względnie, mieli wstęp dozwolony na zebrania studenckie, gdzie chociaż w poczuciu skromności głosu nie zabierali, mieli jednak możliwość, osłuchania się i obeznania z najrozmaitszemi teorjami, od najbardziej umiarkowanych, aż do najskrajniejszych. Chmieliński z natury gwałtownego temperamentu, całą duszą lgnął do najradykałniejszych, chwycił je w lot, bez krytyki i zastrzeżeń. Zapalony wielbiciel Mierosławskiego nawiąawszy stosunki z młodzieżą, zaczął próbować sił swoich jako agitator polityczny. Mówił nie z wielką łatwością, każde słowo, że tak powiem, wyrzucał z ust, co przemówieniom jego nadawało charakter namiętny, piętno głębokiego przekonania — nie mogły więc nie wywierać pewnego wrażenia.

Samopas tworzące się kółka i działające każde na swoją rękę — Towarzystwo rolnicze wraz z kółkiem Jurgensa, ochrzciło ogólnym mianem „czerwonych“. Ci ostatni również tamtych zaczęli zwać „białymi“. Tym sposobem ludność cała rozpadła się na dwa odłamy, na dwa stronnictwa, z których pierwsze było karne i zorganizowane, drugie zwane czerwonym, przedstawiało kompletny chaos. Ponieważ ludność miejska była do głębi poruszona, a autorytet stronnictwa białych silnie zachwiany, z konieczności obowiązkiem ludzi uczciwych było pokusić się o ujęcie w karby ruchu, utrzymać go na właściwej drodze, nie dopuścić, aby poszedł na rozdroża anarchji. Powodowani tą potrzebą pałacą, odważniejsi zwołali zebranie w domu na ulicy Chłodnej pod zegarem, który do dziś istnieje, w mieszkaniu Kazimierza Wojcickiego i tam z wyborów powstał pierwszy komitet z 5-ciu członków jeżeli dobrze pamiętam złożony.¹⁾

* * *

Wracam do dalszego ciągu opowiadania. W dniu usunięcia Delegacji, siedząc nielegalnie aż dotąd w Warszawie z Gustawem Wasilewskim, obowiązkowo musieliśmy opuścić miasto. Zebrawszy manatki wyjechaliśmy kurjerką do Lublina. Kupiony przez Wasilewskiego w jednej z drukarni asortyment czcionek dla „Trojnickiego“ wieźliśmy w swoich podróжных tłumoczkach. Jadąc z Lublina exptrapocztą, bawiło nas, gdy pocztyljoni przy przerzucaniu naszych skromnych tłumoczków, stanowczo twierdzili że wieziemy w nich złoto.

We Włodzimierzu Wołyńskim dowiedziawszy się na stacji pocztowej, że jeden z kolegów Michał Perlmutter, właściciel murowanego domu, z powodu tego zwanego przez nas pałacem, jest w domu, postanowiliśmy go odwiedzić, chcąc zasięgnąć języka o Kijowie. Ze wszystkich polaków Mojżeszowego wyznania, jakich kiedykolwiek w życiu spotkałem, była to dla mnie jedna z najsympatyczniejszych osobistości. Syn zamożnej małomiasteczkowej rodziny, wychowany w ruskim gimnazjum — w Uniwersytecie przylgnął całą duszą do korporacji polskiej. Zachował zalety swojej rasy, otrząsnąwszy

¹⁾ Byłem na zebraniu z Gustawem Wasilewskim i Głowackim, kolegami z Kijowa.

się z grzybów, pleśni i wszelkiego rodzaju naleciałości w czasie wiekowej niewoli, zalety te zabarwił animuszem polskiego szlachcica, nie przyjmując wad jego, gdy wszyscy inni których spotykałem do wad plemiennych, nie przyswajając sobie naszych zalet, nowe dodawali wady. Raz przyszedłszy do przekonania że pomimo swego wyznania, może być obywatelem Polakiem, nie solidaryzował się choćby z milionerem Ickiem, który nie przestał być pasorzytem, obcym dla społeczeństwa, które w czasach ogólnych, ciężkich prześladowań jego plemienia, dało mu przytułek, a w dobrej i złej własnej doli, prawie zawsze otaczało pewną opieką prawną, nigdy mu praw ludzkich niezaprzeczało jeżeli się sam z nich nie wyzuł.

Byłem już na Syberji, zaniepokojony pogromami żydów na Litwie, gdym go w tej kwestji prosił o wyjaśnienia, napisał długi list, który w ten sposób zakończył „Czego się tak żalisz nad litewskimi żydami, to ludzie spodleni do szpiku kości, za mało ich biją“¹⁾.

Po serdecznem przywitaniu, gdy się dowiedział, że chcemy zaraz wyjechać, wymógł abyśmy przynajmniej poszli z nim do miejscowej restauracyi, gdzie nie czekając możemy się pożywić. Zaledwieśmy zdążyli usiąść w owym Włodzimierskim hotelu, gospodarz jadłodajni poszedł do stolika z książką sznurową, żądając abyśmy w niej zapisali swoje nazwiska. Przyczyna tego żądania była następująca. Wraz z usunięciem delegacji, przepisy policyjne co do przejeżdżających były obostrzone nie tylko w Królestwie, ale i w zabranym kraju, gdzie pierwszy raz po zajazdach i hotelach zaprowadzono książki meldunkowe. Napróżno tłumaczyliśmy gospodarzowi, że my jesteśmy nie w jego zajeździe, ale w restauracyi, że ani chwili nie mamy zamiaru zabawić w jego zakładzie po spożyciu zamówionego posiłku. On nalegał i w końcu wręcz oświadczył, że w razie uporu z naszej strony, zmuszony będzie odmówić nam posiłku.

Spór nasz z gospodarzem zaciekał wszystkich gości i gdy nas otoczyli tłumnie wtedy Perlmutter wziął książkę

¹⁾ po powstaniu osiadł jako lekarz w Warszawie; w czasie wojny tureckiej, jako dostawca materiałów aptecznych, dorobił się dużego majątku i zaraz przysłał na niezamożnych studentów warszawskiego Uniwersytetu na zapomogi kilka tysięcy rubli.

z największą powagą przeczytał nagłówek w pierwszej rubryce głośno „Imię, otczestwo i familija“, a zwróciwszy się do Wasilewskiego zapytał tonem urzędowym „Jak się Pan nazywasz?“ i podane nazwisko do książki zapisał. Następnie znowu czytał „Czyn, zwanje, sostojanie? a zwracając się do obecnych mówił — Zdaje mi się panowie, że student czynu nie ma? a więc zapisał „bezczynnyj“ — „Za jakim widom pryjechał?“ Słowo wid znaczy pasport, ale rzecz nie dobrze określa i jest dwuznaczne, z czego korzystając Perlmutter — w odpowiedzi zapisał „Wypit' riumku wodki, skuszat' porcju kotletow i wykuryt' papirosku“. — „Odkudowa pryjechał?“ rozumie się „S predyduuszczej pocztowoj stancji“. „Gdzie otprawiłsia?“ „Na sledujuszczuju pocztowuju stancju“.

Każda odpowiedź zapisana do książki wywoływała wybuchy śmiechu i aprobatę obecnych, bawiliśmy się dobrze, zjedliśmy co nam dano z apetytem, nie zwracając uwagi, iż obecny przy tej scenie jakiś urzędnik policyjny, śpiesznie wyszedł z zakładu; posiliwszy się na dalszą drogę, pożegnaliśmy serdecznego kolegę, udając się na stację pocztową, Zażądaliśmy koni i przyznać się należy, że byliśmy mocno zdetonowani, gdy nam dzierżawca poczty koni odmówił, tłumacząc się że Gorodniczy nie kazał mu dawać nam koni dopóki on sam nie przyjdzie na pocztę i znami się nie zobaczy. Wobec takiego dictum, posłaliśmy natychmiast myszuresa do pałacu, aby Michał bezzwłocznie nasze tłomoczki ze złotem zabrał i jak należy ukrył, a sami markotni nie pomału, oczekiwaliśmy na przybycie pana Gorodniczego. Ani nam na myśl nie przyszło, aby scena w oberży, była przyczyną naszego zatrzymania. Mijała godzina za godziną, a gorodniczy się nie zjawił! Zaczęliśmy się wzajemnie wypychać do włózdziemskiego naczelnika miasta. Poszedłem.—W mieszkaniu pani domu zapewniała, że męża nie ma, że nie wie gdzie się obraca, w końcu zażądała, abym jej powiedział, jaki mam interes? Opowiedziałem jej wtedy, że jesteśmy obaj, ja i mój kolega bardzo spokojni studenci, że powracamy do Uniwersytetu i że nam spieszo, aby na egzamina być w Kijowie, tymczasem jakiś dureń powiedział utrzymującemu stację pocztową, aby nam dotąd koni nie dawał, dopóki Pan Gorodniczy na pocztę nie przyjdzie. Nie miałem czasu nic więcej jej powiedzieć, bo w tej chwili gdy wymówiłem słowo

„dureń“ dał się słyszeć niezwykle szelest w sąsiednim pokoju i pan Gorodniczy poprawiając na sobie pospiesznie wciągnięty mundur wpadł do pokoju. Mały, krępy z potężnym względnie brzuszkiem i błękitnawym podobnym do gałki nosem, robiący wrażenie raczej baryłki niż burmistrza, tupiąc nogami roskrzyczał się na dobre. Mówił o znanej mu niegodziwości studentów kijowskich, o Sybirze, żandarmach, paszkwilach etc. etc. Słuchałem zdziwiony i w żaden sposób nie mogłem się domyślić czego chce od nas. Gdy się na chwilę zaciał, zaintrygowany nie pomału wyrazem „paszkwil“ zapytałem go, co przez to rozumie? Dopiero gdy odpowiedział „Zapaskudziliście mi książkę“ nie mogłem powstrzymać się od śmiechu i zacząłem mu dowodzić, że daliśmy odpowiedzi stosownie do nagłówek. Niezadowolony z moich objaśnień wpadł w nową furję — znowu krzyczał; i ślinił się, a gdy się wykrzyczał dowoli i uspokoił, po chwilowym milczeniu zapytałem go z uśmiechem już zupełnie spokojny w ten mniej więcej sposób „Więc jakże będzie Panie Gorodniczy?—Czy nas Pan wyśle na Sybir? czy z żandarmami do Kijowa? czy też każe Pan dać konie, abyśmy pojechali na cztery wiatry i nie zakłucali spokoju porządnym mieszkańcom Włodzimierza? W każdym razie trzeba coś postanowić, bo wieczór za pasem, a nam czy na Sybir czy do Kijowa jechać trzeba.

Pan Gorodniczy widocznie się udobruchał, milcząc usiadł przy biurku, coś spiesznie pisał, po chwili podniósł się i oddając mi kartkę z należytą powagą dodał, jak tylko pan pokaże tę kartkę utrzymującemu pocztę natychmiast panom dać konie. Pożegnałem udobruchanego Naczelnika miasta i spiesznie wróciłem na pocztę. Uśmieliśmy się serdecznie, tłumoczek ze złotem od Perlmutra odebrali i pojechali dalej.

Kijów nasłuchiwał co się dzieje w Warszawie. Życie! studenckie pozornie w niczem nie uległo zmianie, w rzeczywistości zaś po bliższem rozpatrzeniu się znać było pewien rozstrój, objawiający się u studentów Polaków zniechęceniem do zajmowania się nauką, znać było, że młode myśli odbiegały daleko od murów uniwersyteckich, całą uwagę pochłaniały wypadki rozgrywające się w Warszawie i całym Królestwie. Czy powinno, czy mogło być inaczej? po dwudziestu latach pobytu na Syberii śmiem odpowiedzieć — Nie

stokroć nie! Wielu nie czekając wakacji prosiło o urlopy, i wyjeżdżali, do tej liczby należał i Wasilewski. Blady o niewieściej prawie twarzy, małowowny, a skory do czynu, niby jak dziecko słaby, miał w sercu lwią starej szlachty odwagę. Za przekonania swoje, gotów był w każdej chwili życie poświęcić, był jak mówi poeta „synem światła i kusicielem burzy, choć sto gwiazd za nim gasło, sto innych zapalało się przed nim“. Drugiego podobnego później poznałem, był nim Świerzyński naczelnik sekcji w głównym zarządzie poczt — pierwszy w czasie powstania uciekły z więzienia lwowskiego przeszedł z Galicyi z oddziałem Lelewela, aby się dostać w Lubelskie, gdzie byłznaczony na komisarza Rządu, gdy oddział został otoczony i zaczęto przebąkiwać o poddaniu się wraz z poetą Romanowskim, który jako żołnierz zaciągnął się do oddziału, zmusił Lelewela, aby poszedł przebojem i bez broni, bo żołnierzem nie był, z tymże Romanowskim stanął na czele kolumny. Zagrożony oddział w części się przedarł, ale oni oba na placu pozostali.¹⁾ Świerzyński na początku powstania skazany na karę śmierci, gdy mu zaproponowano, aby prosił o ułaskawienie, zapewniając o najlepszym skutku, bo kołatał o to główny naczelnik poczt, pomimo nalegań i proźb matki, propozycję ze wzgardą odrzucił, przenosząc śmierć nad łaskę carską.

Wkrótce po powrocie do Kijowa otrzymałem list zbiorowy od braci Frankowskich i kilku innych kolegów ze szkoły sztuk pięknych, z którego widać było, że jakieś niezdrowe prądy zaczęły się krzyżować między młodzieżą. Odpisałem im serdecznie, starając się zaakcentować silnie, że żadna teoria społeczno-polityczna, ani żadne stronnictwo nie ma przywileju posiadania bezwarunkowej prawdy, że życie dzięki Bogu, idzie po wypadkowej dwóch głównych prądów: zachowawczego i postępowego. Ile razy pójdzie wyłącznie w jednym kierunku — w pierwszym razie dochodzi do zastoju, chińszczyzny, martwoty pomimo pozorów życia; w drugim do ubóstwienia gilotyny i ostrzegałem przed jednym i drugim.

Chociaż nie miałem zamiaru wyjeżdżać na wakacje, otrzymawszy list, zdecydowałem się wakacje spędzić w Królestwie. Tymczasem tamtejsza władza, nie życząc sobie, aby

¹⁾ pod Krasnobrodem.

w czasie ferji studenci z Uniwersytetów zjechali się w większej liczbie, zwróciły się do władz Uniwersyteckich, aby do Królestwa urlopów nie wydawały. Raz postanowiwszy wyjechać nie wahałem się użyć fortelu, bez względu na dalsze następstwa. Udałem się do inspektora studentów, prosząc aby mi dla załatwienia interesów familijnych dał urlop 3 dniowy do Kowna i miasteczka Iwlimka, małego miściny w Królestwie. Urlop uzyskałem i na drugi dzień już byłem w drodze. Zaraz też po przyjeździe wysłałem prośbę do rektora uniwersytetu, dołączyłem świadectwo lekarza i zawiadamiając go, że z powodu choroby, zmuszony byłem pojechać do rodziców, a ponieważ studentom uniwersytetów w Królestwie przebywać nie wolno, proszę o wyślanie mi urlopu, lub jeżeli to niemożliwe, o wykreślenie mnie z liczby studentów; przyjechać bowiem do Kijowa stanowczo nie mogę. Na podaną prośbę wprawdzie urlopu nie otrzymałem, ale w drodze urzędowej, za pośrednictwem naczelnika powiatu, zostałem zawiadomiony o możliwości pozostania w Królestwie na czas choroby; drugie bowiem moje żądanie to jest wykreślenie z listy studentów do mnie, jako stypendysty, zastosowane być nie może; — po przyjeździe więc do zdrowia polecono mi natychmiast wracać. Uzyskawszy tym sposobem pozwolenie w kilka dni potem, z paszportem wójta sąsiedniej gminy pojechałem incognito do Warszawy.

W Warszawie od mego wyjazdu, to jest od chwili gdy usunięto delegację, jako sprzęt niepotrzebny, nic się nie zmieniło. Rząd widocznie nie zdecydowany, jak się wobec rozbudzonych aspiracji narodowych zachować, zachowywał się biernie i nie przedsiębrał nic takiego, coby świadczyło o powziętych zamiarach. Komitet jeżeli wywierał na masy jakiś wpływ, to tylko o tyle, o ile czynności jego odpowiadały instynktom rozbudzonych i podnieconych mass. Biali po podaniu adresu, jako stronictwo nie dawali znaku życia, jako Polacy równie dobrze, jak najczerniejsi śpiewali po kościołach „Boże coś Polskę“. Wprowadzenie do kościoła tej pieśni było jedyną nowością, jaką zastałem. W zbiorze pieśni polskich, (Kraków, nakład Bartoszewicza, wydanie trzecie, bez daty), dwie pieśni zaczynają się od tych słów; pierwsza zatytułowana „do Boga“ Alojzego Felińskiego i druga nieznanego autora. Śpiewano ostatnią i tylko pierwsze trzy

strofy — to jest w tej formie, w jakiej spiewano ją po kościołach za czasów Aleksandra I. Reszta widocznie jest dorobioną w latach sześćdziesiątych, z zastosowaniem do ówczesnych wypadków. O ile pamiętam strofy te były dorabiane stopniowo w pewnych odstępach czasu. Dobrze sobie przypominam wypadki gdy cały chór śpiew kończył, a nową strofę kilka głosów zaledwie śpiewało. Pieśń ta chętnie bardzo spiewana, streszczała ówczesne życzenia mas, protestowała przed Bogiem i ludźmi przeciwko mikołajewskiemu systematowi, akcentowała naszą odrębność narodową którą pragnęliśmy zachować nietkniętą i w części wypowiedała niejasnym ogólnikiem życzenia na przyszłość. Obudzony z długiej drzemki naród, dawał do zrozumienia Rządowi, że chce być gospodarzem u siebie w domu, domagał się przyznania mu tych praw, w sposób taki, a nie inny, boć legalnej reprezentacji swoich interesów, był pozbawiony od lat 30. O zerwaniu z Rosją mowy wtedy nie było. Żądania swoje cały naród uważał za tak prawowite, że domaganiu się ich siłą wówczas ani myślał — wierzył, że je zdobędzie przez właściwy rozwój w drodze prawodawczej szczątkowych instytucji, które mu pozostały po wypadkach 1831 roku.

Nabożeństwo żałobne za spokój duszy ks. Adama Czartoryskiego, odprawione w kościele katedralnym, celebrowane przez arcybiskupa Fijałkowskiego, dało powód do wspaniałej manifestacji. Odprężono konie od karety arcybiskupa i ludność wszelkich stanów i wyznań nie wyłączając Żydów, pociągnęła karete do pałacu arcybiskupiego. Tłumy ludu zgromadzone w dziedzińcu pałacowym, skłoniły sędziwego arcybiskupa do wyjścia na balkon i pobłogostawienia miastu i narodowi, a był tak wzruszony, że słowa nie przemówił a tylko kreślił i niedokreślał nad falą schylonych głów, widocznie drżącą ręką, godło ofiary i zbawienia.

Wspominam o tej manifestacji dla tego, bo wątpię aby się znalazł na całej przestrzeni polski, choć jeden człowiek, któryby miał cywilną odwagę dowodzić, że nabożeństwo żałobne za ks. Adama, było odprawionem z inicjatywy czerwonych. Czerwony i ks. Adam, to dwa pojęcia wzajemnie się wykluczające! Nabożeństwo więc za spokój duszy Czartoryskiego, jest niezaprzeczalnym dowodem, że w owych czasach, tak dobrze biali szlachcic i arystokrata, jak i czer-

wony szewc, do kościołów chodzili i u Boga chcieli sobie Polskę wymodlić.

Nie przeczę, że jak jedni, tak drudzy — to jest biali i czerwoni, zarówno kraj kochali, że pragnęli wyjść z położenia, które już wówczas tamowało prawidłowy rozwój społeczeństwa, ale pierwsi chociaż zorganizowani, równie dobrze jak i czerwoni niezorganizowani, nie mieli jasno wytkniętego celu i działali dorywczo bez żadnego planu. Komitet na to co się wówczas działo na ulicy, jak to już powiedziałem nie miał wyłącznego wpływu. Inicjatorami były jednostki czy to pojedyncze czy zbiorowe, jak n. p. między innymi cechy rzemieślnicze. Nie pytano wówczas kto?, ale co? robi i jeżeli to odpowiadało instyktowi mas — tłumy przyjmowały udział, w przeciwnym razie zachowywały się obojętnie, a czasami nawet manifestowały wyraźną niechęć.

Włodzimierz Wolski, zaproponował wyprawę na Św. Krzyż z powodu przypadającego tam dorocznego odpustu. Zebrała się niebawem poważna liczba ludzi i z olbrzymim orłem białym, któremu nie zdążono wykończyć należycie czerwonego pola, a tylko smugami i plamami czerwonymi zasmarowano wielki szmat płótna, wyszła z Warszawy w Św. Krzyżkie góry. Zaznaczam, że o wymalowaniu litewskiej pogoni nikt wówczas ani pomyślał. Chcąc poznać jakie wrażenie zrobiły Warszawskie wypadki na lud po wsiach, dogoniłem pocztą do Radomia kompanią i stąd popiero udałem się na Św. Krzyż. Zaopatrzony w znaczną liczbę odpowiednich obrazków i broszurek na noclegu, przystankach w końcu na odpuscie — rozdawałem włościanom owe broszurki i obrazki. Skwapliwie chwytało je, a owe plamy czerwone na chorągwi — włościanie serjo zupełnie brali za plamy krwi zabitych w Warszawie.

Gdy kompanja podchodziła do klasztoru, duchowieństwo z chorągwiami i światłem spotkało ją u stóp krzyża wzniesionego na skraju, niby ściętego stożka góry, na której wznosi się klasztor. U stóp Krzyża na podniesieniu zakonnik reguły Św. Bernarda powitał Warszawiaków, tak świetnym przemówieniem, że nigdy nie słyszałem równie podniosłego słowa z ambony, pod względem treści, ani równie pięknego pod względem formy. Dzwieczny niby spiżowy głos natchnionego mówcy brzmiał, ponad kornie schylonem

łanem głów ludzkich, przy uroczystem szmerze, jakby zasłuchanych odwiecznych jodeł i szeleście chorągwi kościelnych, zgrupowanych w około sztandaru z białym skrwawionym orłem i przerywany łkaniem tysiąca piersi, które czas od czasu przechodziło w jeden wielki jęk, w jedną wielką skargę pokutnych za winy ojców tłumów.

W samej świątyni biskup Sandomierski na czele licznego kleru pobłogosławił Warszawiaków. Po nabożeństwie przeor klasztoru, kilkanaście osób z kompanii warszawskiej zaprosił na obiad. W obszernym klasztornym refektarzu, za olbrzymim stołem zasiadł ksiądz biskup, liczne duchowieństwo, obywatele okoliczni i poważna liczba włościan zaproszonych z okolicznych wiosek. Włościanie wobec toastów, przemówień zachowywali się tak, że ani można było wątpić, że wobec Moskwy poczuli się do solidarności ze szlachtą. Wobec jednak skłonności, jaką w ogóle my Polacy posiadamy do przerzucania się z jednej ostateczności w drugą, wobec nieumiejętności zachowania w niczem właściwej miary, co stanowi jedną z kapitalnych naszych wad narodowych, ze smutkiem wyznać muszę, że przesadne bratanie się ze strony szlachty z temi przedstawicielami włościan, w zdrowym rozumie chłopskim budziło pewnego rodzaju niedowierzanie i nie osiągało zamierzonego celu.

Jak czoboty osmarowane dziegciem, świta na plecach, słoma i śmiecie w rozczochranej czuprynie ukraińskiego panicza, nie zdołały mu otworzyć serca chłopca rusińskiego tak tutaj — szumne a przesadne frazesy braterstwa, wygłaszane przez rozczuloną szlachtę do uszu mazura, nie tylko nie znajdowały przystępu, ale wprost budziły do czujności wrodzoną mu podejrzliwość. Mazur ma pewne poczucie obowiązku, ale do pojęcia bezinteresownego poświęcenia nie dorósł. W czynie możeby go zrozumiał, że frazesowi nie wierzy, dziwić mu się nie należy.

Takie i podobne nabożeństwa za pomyślność Ojczyzny były na porządku dziennym. O mającem urządzić się nabożeństwie, członkowie ówczesnego komitetu, tak samo byli zawiadamiani, jak każdy inny, kto miał dobrą wolę wyciągnąć rękę, a robił to każdy, po podawany mu plakat na ulicy. O pozwolenie na odprawienia nabożeństwa, nikt nikogo nie pytał, ani odprawiający, ani zamawiający takowe.

Doszło do tego, iż niemal co dzień można było otrzymać inwitację na nabożeństwo. Warsztaty do południa były puste, Majstrowie nie śmieli odmówić pozwolenia, pod obawą zarzutu o brak patryotyzmu. Usiłowania komitetu, aby ograniczyć liczbę nabożeństw nie osiągały żadnego skutku. Rząd jak to już powiedziałem ani temu przeszkadzał, ani nawet okazywał chęci przeszkodzenia po niefortunnej próbie Zabołockiego.

Gabinet petersburski po wojnie krymskiej, z której bez dotkliwych szkód udało mu się wycofać, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wybuchu w Królestwie bardzo się obawiał; bo nie zdawał sobie jasno sprawy z ówczesnego położenia Europy. Na tronie Francji siedział potomek Napoleona I., który wobec kwestyi polskiej nie mógł wystąpić w roli Piłata. Ówczesny władca Francji, chociaż dziś wyznawcy polityki powodzeń i udanych tylko zamiarów, odsadzają go niemal od zdrowego rozsądku, stał w latach 60 pozornie u szczytu potęgi — nie przestał być dla Europy sfinksem i wielkim cesarzem. Car niepewny co zrobi Europa, gdy wielki cesarz postawi przed jej trybunałem sprawę polską, która pomimo klęsk nie przestała być dotąd kwestyą europejską nie chciał się posługiwać represyjnymi środkami, aby nie doprowadzić do katastrofy, ale jednocześnie pożądane uspokojenie kraju, chciał uzyskać za cenę jak najmniejszych ustępstw; nie mógł się zdecydować i wyczekiwał.

Ludwik Napoleon znał całą doniosłość kwestyi polskiej nie tylko dla Europy, ale i dla dynastji swojej. Zawikłanemu w politykę pozaeuropejską, starającemu się o zbliżenie do Rosji, przychodziła ona nie w porę -- to też wszelkimi sposobami starał się ją zażegnać, wpłynąć na uspokojenie kraju i nikt mający szczyptę zdrowego rozsądku nie posądzi go o chęć podburzania Polaków. Dla Ludwika Napoleona stojącego na pochyłości, kwestya polska była kwestyą życia i śmierci. Przy szczęśliwym zbiegu okoliczności, mogła mu jak kampania włoska włożyć na skroń wieniec tryumfatora, utrwalić dynastję, uniemożliwić Sedan; w przeciwnym razie postawić go nad przepaścią, w którą ostateczne stoczenie się było już tylko kwestyą czasu.

Jeżeli możnaby mówić o jakimś wpływie obcym na rozgrywające się wówczas wypadki w Królestwie to chyba

o wpływie Watykanu, który patryotyczne wystąpienia naszego duchowieństwa silnie wspierał, i nie mógł ze swego punktu widzenia rzeczy nie pochylać większej gorliwości religijnej, którą okazywał cały polski kler wobec szymatyckiej Rosji wskutek i pod wpływem manifestacji religijnych. Ale wracam do toku opowiadania — mych osobistych pamiętników.

Nie wiedząc, co bym miał ze sobą robić, po skończonych feryach wyjechałem do Kijowa z chęcią przygotowania się do ostatecznego egzaminu. Gorętszego temperamentu Gustaw Wasilewski, zmuszony był kraj opuścić. Rzeczy jego znalezione w mieszkaniu, które zajmował, zabrano do cytadeli, znaleziono w nich dowody, że był korespondentem pism angielskich i francuskich.

Po przybyciu do Kijowa koledzy, zażądali odemnie opisu wypadków warszawskich, a oprócz tego relacji szczegółowej, o ludziach wybitniejszych i zamiarach ich na przyszłość dla „Trojnickiego“, to ostatnie uważano za bardziej naglące. Zaledwie napisałem wstęp do owej relacji, przyszedł Stefan Bobrowski¹⁾ i prosił o porzucenie zaczętej roboty, żądając jak najspieszniejszego zredagowania opisu wypadków, który miał być odbitym w drukarni Trojnickiego, dla rozrzucenia między studentami i polską ludnością miasta, co mu przyrzekłem zrobić. Tymczasem na trzeci lub czwarty dzień po przyjeździe — rano, wbiegł do mego mieszkania subinspektor Baratow, księżę kaukazki, z temi słowami: K wam policja idiot, jeśli szto imiejete oddajcie mnie“. W pierwszej chwili chciałem mu oddać owe referaty, włożyłem je jednak do podróżnej torebki wiszącej na ścianie, oświadczając że nie mam nic do ukrycia; gdy wszedł i oberpolicmeister w stosownem otoczeniu. Mieszkanie studenta było dla policji nietykalne, wejść do niego mogła, po wyjednaniu u władz uniwersytecki specjalnego pozwolenia, a i w tym razie wchodziła nie innaczej, jak w towarzystwie subinspektora, który studentowi wręczał zawiadomienie o mającej się odbyć rewizyi. Wręczona mi awizacya, dawała policji prawo rewidowania mego mieszkania. Mieszkałem z T. M.

¹⁾ W początkach powstania był naczelnikiem miasta Warszawy.

który tegoż dnia chciał wyjechać do Warszawy. Na żądanie policmeistra abym wskazał moje rzeczy, zrobiłem to natychmiast. Przystąpiono więc do przetrząsania moich manatków w którym oprócz kartki z nadpisem „Komitet pogrzebowy“ i broszurki kwestya żydowska, nic więcej nie znaleziono. Poczem policmeister zwrócił się do M. uprzejmie i w jak najłagodniejszej formie zaproponował, czy nie mógłby pozwolić przejrzeć przy okazji i swoich rzeczy. Kolega M. chcąc się jak najprędzej uwolnić i wyjechać do Warszawy, gdy widział że mnie osobiście nie rewidowano mając na sobie tużurek, w którego bocznej kieszeni znajdowało się wszystko, co mogło go skompromitować — zgodził się chętnie na zrobioną mu propozycję.

Przystąpiono do rewizyi — z kolei p. policmeister zdjął ze ściany podrózną torebkę i zaczął ją przeglądać. Czytał uważnie moje notatki i jak gdyby się zawstydził swojej zbyt ciekawości włożył je do torebki. Miałem go wciąż na oku, gdy więc doszedł do przegródki w której mieściła się imienna moja podróżna, o której stanowczo zapomniałem, widząc mocne jego zaambarasowanie się, pospieszyłem z objaśnieniem, że torebka jest moją własnością. Na zapytanie, czy rzeczywiście tak jest? stanowczo to potwierdziłem. Wtedy sięgnął do przegródki, którą tylko co przepatrzył, wyjął mój manuskrypt, mówiąc, że wobec tego zmuszony jest znaleźć w niej papiery, dołączyć do dowodów rzeczonych, znalezionych w moich manatkach. Przygotowaną i już opieczętowaną paczkę rozwiązał, znalezione papiery dołączył i oświadczywszy mi, że od tej chwili jestem w domowym areszcie, że nie mam prawa nigdzie wychodzić i nikogo przyjmować — pożegnał się i poszedł z Panem Bogiem.

Pocziwy Czerkies subinspektor Baratow, przerażony znalezionym skryptom, robił mi gorzkie wymówki, że mu nie zaufałem; M. wyjechał i ja pozostałem sam w czterech ścianach prawie pustego pokoju. Co wyzwało rewizję? o co byłem podejrzany lub oskarżony? nie miałem pojęcia.

Na trzeci dzień wręczono mi awizację, abym się stawił do komisji. Nazwisk członków komisji nie pamiętam. Prezesem jej był P. Andrejewski, który mi objaśnił, że w czasie wakacji i pobytu mego w Warszawie, uczeń szkoły sztuk

pięknych K. M.¹⁾ przebywał w Kijowie u swoich rodziców. Z powodu manifestacyjnego nabożeństwa w kościele Kijowskim, został aresztowanym i przy rewizji w mieszkaniu jego znaleziono mój list do Frankowskich o którym wyżej wspominałem. Po przeprowadzeniu śledztwa K. M. został odesłany do warszawskiej cytadeli, jako stały mieszkaniec miasta Warszawy. Komisya warszawska przysłała list i poleciła zażądać odemnie szczegółowych objaśnień, w jakim celu był rzeczony list napisany; kogo rozumiałem pod napisanemi w intytulacyi listu etc. etc. Myśl, że list nie mający ścisłego związku z toczącymi się wypadkami, a mógł być wydrukowany w każdej gazecie nawet pod rządem moskiewskim spowodował śledztwo i postawienie mnie w stanie oskarżenia, dała mi możność namacalnie ocenić całą grozę mego położenia. Świadomość, że życie całe mogę mieć złamane, że mogę się znaleźć bez słusnych powodów tam, gdzie, jak Moskale mówią, „dobywajut mamutowuju kost“, lub w karnych orenburskich batalionach, sparaliżowała mnie, że się tak wyrażę. W gardle mnie coś dusiło, słowa wymawiałem z trudnością, co prezes komisji Andrejewski, wziął za niemożność mówienia z łatwością po moskiewsku. Po kilku zadanych mi pytaniach odezwał się do mnie w ten sposób: „Widzę, że tłumaczenie się po russku przychodzi panu z trudnością, damy więc panu kilka pytań na piśmie, na które piśmiennie w domu powoli i z rozwagą zechcesz odpowiedzieć. Zredagowane odpowiedzi wtedy nam pan doręczy, kiedy je ostatecznie uznasz za dobre, a my damy nowe pytania — tak prowadzić się będzie całe śledztwo. — Uprzedzam pana, że nie wymagamy pospiechu. Po czem dano mi kilka pytań i pozwolono wrócić do domu. Pierwsze przynębiające wrażenie minęło. Zdrowy rozsądek kazał mi wierzyć, że wygłoszenie przekonań w liście wyrażonych, nawet w moskiewskiej komisji nie może być poczytanem za zbrodnię stanu, za zamach na bezpieczeństwo państwa lub chęć zakłócenia porządku publicznego. Łudziłem się, jak się to później pokazało, bo jednak koniec końcem znalazłem się w cytadeli i jeżeli z niej wyszedłem, zawdzięczałem szcze-

¹⁾ Karol Matuszewski.

gólnemu zbiegowi okoliczności, o czym we właściwym miejscu opowiem. Dało mi jednak postępowanie ze mną prezesa pewnego rodzaju spokój i równowagę i wpłynęło na sam sposób dawania odpowiedzi, na zadane pytania. Odpowiedzi pisałem z całą swobodą, mimowoli potrząsając struną humoru do czego zmuszało mnie niemal każde z postawionych pytań.

Gdym przyniósł do komisji ostatnie odpowiedzi. Pan Andrzejewski oznajmił mi, że tłumaczenia moje uznają za kompletnie wystarczające, aby mnie zwolnić od wszelkich podejrzeń, od tej więc chwili wolny jestem, od domowego aresztu, uprzedził mnie jednak, że nie powinienem uważać rezolucji tej, za ostatnie słowo w sprawie mojej — całe bowiem śledztwo zostanie odesłane do Warszawy, gdzie znajduje się K. etc. — nie mogą więc ręczyć, czy komisja śledcza warszawska podzieli ich poglądy. Natychmiast przeniosłem się z zajmowanego mieszkania, do domu, który prawie cały oddawał się na mieszkania studenckie. raz dla towarzystwa, powtóre, że czas już było na seryo pomyśleć o ostatecznym egzaminie.

W kilka miesięcy na nowej siedzibie, powtórnie odwiedził mnie policmeister w asystencji subinspektora i znowu dopełnił rewizji w moim mieszkaniu, ale już nic nie znalazł coby się kwalifikowało do zabrania, jako corpus delicti. Po skończonej rewizji poprosił abym się z nim udał do fortecy. Ówczesny policmeister kijowski, pułkownik Iwensen, był człowiekiem wielkiego taktu i odznaczał się szczególną sympatją dla studentów. Pomimo tych zalet nie jestem w możności dziś już odtworzyć nadzwyczaj przykrych jego pozycji przez cały czas pobytu jego w moim mieszkaniu. Do szczupłego pokoiku, który zajmowałem, zbiegli się koledzy z całego domu, a każdy starał się być na swój sposób niby uprzejmym względem niespodziewanego gościa. Szczególniej dokuczał mu A. H. To go sadzał par force na krzesło, to znowu podziwiając jego wyjątkową uczciwość, klepał po plecach i gdzie tylko mógł zaaplikować ten rodzaj karesu. Wszystko poczciwy Findlanczyk znosił z ίσście niemiecką flegmą i za dobrą niby przyjmował monetę.

W fortecy znalazłem Maniaka b. oficera ułanów silnie skompromitowanego politycznie, Jankowskiego Narcyza,

kilkunastu studentów nie pamiętam z jakiego powodu pod zamkiem trzymany, oficerowie wówczas nas strzegący obchodzili się przyzwoicie. W czasie krótkiego mego pobytu w kijowskiej fortecy, parę razy Iwensen przywiozł moich bliższych kolegów i parę godzin raz i drugi przesiedział u mnie. W kilka dni odesłany zostałem do Warszawy w towarzystwie dwóch żandarmów. W instrukcji ustnej danej im przez komendanta fortecy, między innymi zapowiedziano im, że służy mi prawo nocowania w drodze i pod żadnym pozorem nie mogą mnie zmuszać do jazdy bez odpoczynku.

Jechałem szybko przez Kijowszczyznę i Wołyń, a nie brak mi było objawów sympatii miejscowej ludności. Na jednej ze stacji pocztowych spotkałem jadącego w tym samym kierunku generała, i odtąd aż do Brześcia Litewskiego znajdowałem w godzinach śniadania lub obiadu, gotowy samowar i stół zastawiony jadłem, a po wypiciu herbaty, gdym żądał od urzędnika pocztowego, lub gospodarza stacji powiedzenia co im się odemnie należy — odpowiedział „Nic! to zostawione przez tego generała, który był tu przed chwilą, do pańskiego rozporządzenia“.

W Brześciu litewskim zastałem go na stacji pocztowej. Odwołał mnie w stronę, powiedział że dalej towarzyszyć mi nie będzie, jedzie bowiem do Petersburga, prosząc abym zjadł z nim obiad. Odmówiłem tłumacząc się względami na stanowisko jego służbowe. Nie nalegał, ale bardzo natarczywie domagał się, abym mu otwarcie powiedział czy nie potrzebuję pieniędzy. Dopiero gdym go upewnił że w Warszawie mam bliską rodzinę, a więc zapewnioną opiekę, a pomimo to kilkadziesiąt rubli posiadam i te mu pokazałem — przestał prosić, radził tylko dobrze je zachować, bo mogą się w więzieniu przydać, a więźniom pieniędzy przy sobie mieć nie wolno. Również serdecznie odniósł się do mnie w Brześciu, ubogi urzędnik pocztowy, tak zwany „stacjonnyj smotritiel“.

Na pierwszej stacji pocztowej w Królestwie, prosiłem o obiad dla siebie i żandarmów. Z największą uprzejmością zadość uczyniono memu żądaniu. Domowy polski obiad, podano mnie i oddzielnie żandarmom, z dodatkiem dla mnie kawy o której nawet nie myślałem. Kiedym poprosił o rachunek p. pocztalter z pewnym żalem, ale i życzliwością prosił, abym mu tej przykrości nie robił, tłumacząc się, że

obiad dał własny, mając na względzie wyjątkowe moje położenie. Zachowanie się jego było tak uprzejme i serdeczne, że w drodze do następnej stacji żandarmi powiedzieli mi „siejczas widno, czto wy meżdu swoich popali“. Trzydzieści lat życia, spędzonych w tęsknocie za krajem, troskach, kłopotach, pod nieustającą groźbą nędzy, jeżeli sił do pracy nie stanie, zatarły mi w mózgu nazwiska tych zacnych ludzi — może mi wybaczą niewdzięczność moją, bo robili to z poczucia obowiązków człowieka i rodaka a nie dla rozgłosu, lub mojej osobistej wdzięczności.

Konwojujących żandarmów na tyle potrafiłem oswoić, że starszy z nich zaproponował mi, abym tak starał się z jazdą urządzić, abyśmy do Warszawy przyjechali: „we dnie może pan spotka kogoś ze znajomych w drodze do cytadeli“. Chętnie przyjąłem zrobioną mi propozycję ale tak nieumiejętnie skorzystałem z pozostawionej mi pod tym względem swobody, że wjechaliśmy do miasta przed północą. Żandarmi szczerze żalowali i chcąc moją niezręczność poprawić, na przedostatniej stacji, podoficer prosił o napisanie adresu kogoś z krewnych, lub znajomych solennie obiecując, że kartkę doręczy, o przyjeździe zawiadomi i danego słowa dotrzymał.

W bramy cytadeli wjechaliśmy około godziny 11-ej w nocy. Nadzorcą 10. pawilonu był Polak, kapitan żandarmeryi Żuczkowski. Dotąd nigdy go nie widziałem, ale znałem go z opowiadań. Godność nadzorcy politycznych więźniów piastował oddawna, a obowiązki swoje spełniał z jawnym zadowoleniem. Zaprzędany duszą i ciałem Moskwie, jak każdy odstępcą, nienawidził Polaków i znęcał się nad powierzonymi jego opiece więźniami. Okrucieństwem zyskał sobie przydomek Moroka i pod tym mianem był powszechnie znanym. Ponieważ Moskwa, odstępców wszelkiego rodzaju, nie bardzo sownie wynagradza zastałem go w stopniu kapitana. Zasługi położone w 60 latach dały mu szlify majorskie. Do pokoju, w którym mnie z żandarmami umieszczono, po niedługim oczekiwaniu — wszedł wysoki, dobrze zbudowany, mocno szpakowaty, o wstrętnej fizjonomji kapitan w towarzystwie dwóch żandarmów, rozpieczętował wręczony mu pakiet i zwracając się do mnie szorstkim głosem kazał mi się rozbierać. Zdjąłem wierzchnie ubranie i zostałem w bieleźnie. Żuczkowski, bo on to był właśnie, spojrzął na mnie

z podełba i gniewnym już głosem powtórzył swoje żądanie. Nie miałem ochoty się rozbierać, podszedłem więc do niego, prosząc aby mi powiedział, czego mianowicie, jako więzień nie mam prawa posiadać, a pod słowem wszystko oddam i tym sposobem oszczędzę jego żandarmom kłopotu, sam zaś uniknę przykrości rozbierania się. „Niech pan nie myśli, że tu Kijów, proszę się rozbierać“ ofuknął. Nie było rady! Ubranie moje zostało bardzo starannie zrewidowane. Dotykano ciała mego na całej jego powierzchni szukano we włosach, przesuwając palce niby grzebień i nic nie znaleziono. W czasie tej arcyprzykrej dla mnie operacji, przysłała mi chęć zemścić się na tym nędzniku i gdy pozwolił mi się ubrać, korzystając ze słabego oświetlenia pokoju wydobyłem z ubrania schowane 50 rs., powtórnie podszedłem do p. kapitana i kładąc mu na stole pieniądze, wolno i najspokojniej mówiłem. „Oddaję to panu na dowód, że chociaż posiwiasteś nad przetrząsaniem cudzych kieszeni i pan i pańscy żandarmi nie umiecie, jak należy spełniać przyjętych na siebie obowiązków“. Ciemna twarz Moroka w mgnieniu oka stała się kredowo białą, w oczach zamigotały skry złości, ale zmienił ton, podał mi papierosy prosił siedzieć i zaczął uprzejmie nalegać, abym mu powiedział, gdzie miałem ukryte moje kapitały. Póki starczyło mi chęci, drwiłem ze starego upokorzonego łotra. W końcu uczułem pewne znużenie, prośby jego zaczęły mię nudzić, oświadczyłem mu więc stanowczo, że mu tego nie powiem i żądałem odesłania mnie do przeznaczanego mi locum; — gdy jeszcze nie przestawał prosić zagroziłem skargą w komisji, o samowolne bezcelowe zatrzymanie mnie w kancelaryi w czasie nocy, bez względu na przebyta drogę.

Zamknięto mnie w oddzielnej celce, a pomimo brudu jaki w niej znalazłem, z przyjemnością rzuciłem się na więzienne łóżko. Zostawiono mnie kilka dni w spokoju, przerywanym tylko brzękiem kluczy i zgrzytem zawias, przy otwieraniu obowiązkowym drzwi z rana, kiedy wchodził do celi nadzorca z zapytaniem o zdrowie i czy czego nie potrzebuję? oraz wieczorem dla ustawienia w kupce piasku nasypanego na środku izby świecy łojowej, która powinna się palić w celi więzienia przez noc całą. Co pewien przeciąg czasu, dyżurny żandarm z trzaskiem odsuwał rygle, drzwi otwierał i ową

łojówkę objaśniał. Oprócz pierwszej nocy z początku nie byłem w stanie spać, z powodu ciągłego odsuwania i zasuwania rygli - potem jednak spałem wybornie i prawie nigdy nie budziłem się.

Dziesiąty pawilon był szczelnie zajęty. O zmierzchu ruch ustawał, zapanowywała względna cisza, przerywana miarowymi krokami sztyldwachów i ciąglem nieustannem przytłumionem stukaniem w ściany celek, podobnym do stukania telegrafu i był to rzeczywiście więzienny telegraf, przy pomocy którego obiegały wszelkie wiadomości po całym pawilonie. Ja nie wierzyłem, aby to co było znanem każdemu bez wyjątku więźniowi, mogło pozostać tajemnicą, dla stróża więziennego, i dla tego nie korzystałem z tego rodzaju komunikacji.

Prezesem komisji wojenno-śledczej wówczas (r. 1861.) był generał Rożnow, człowiek bardzo starannie oszlifowany, bo termin „dobrze wychowany“ ma daleko rozleglejsze znaczenie, aby go można użyć bez żadnych zastrzeżeń, jeżeli się mówi o Moskalu; był grzeczny i uprzejmy aż do przesady, posiadał pewne zdolności niezaprzeczalne, jako inkwirent w stylu europejskim. Mam pewne powody myśleć, że jeżeli używania przymusowych względem więźniów środków nie wzbraniał swoim podwładnym, sam nigdyby ich nie użył.

Po tygodniu wezwany pierwszy raz do komisji, zastałem w pokoju do którego mnie wprowadzono oprócz inkwirenta, dwóch wyższych oficerów i samego prezesa.

Po zwykłych zapytaniach, kto jestem? etc. etc. inkwirent przeczytał mi listę nazwisk z zapytaniem, czy znam ludzi, których imiona i nazwiska, tylko co zostały mi przez niego przeczytane? odpowiedziałem że kilka osób z liczby wymienionych znam. Inkwirent po przeczytaniu powtórnie każdego nazwiska powtarzał zapytanie, ja ze swej strony odpowiadałem — znam lub nie. Spis był dość długi. Między innymi, do znajomości których przyznałem się, pierwsze miejsce zajmowali: Józef Ignacy Kraszewski, Apollo Korzeniowski, Włodzimierz Wolski i Gustaw Wasilewski, o którym powiedziałem „tego znam dobrze“.

Odpowiedzi moje szybkie, bez chwili namysłu, zrobiły na obecnych silne wrażenie; przerzucali się spojrzeniami, w których oprócz zdziwienia, znać było zadowolenie z mego

zachowania się, i nadzieję na obfity plon, gdy zechcą zaczerpnąć z tego źródła szczerości i prawdomówności.

Na zapytanie skąd znam Kraszewskiego i jakie mnie z nim łączyły stosunki? odpowiedziałem: p. Kraszewski mieszkał w Żytomierzu, przez który z Warszawy do Kijowa i w powrocie przejeżdżałem, i chętnie nas studentów przyjmował. Na zapytanie czy nie łączyły nas z nim żadne inne stosunki odpowiedziałem zaprzeczeniem, zwracając uwagę komisji, że ani wiek, ani moje stanowisko nie dawały mi do tego prawa.

Co do Apolla Korzeniowskiego objaśniłem komisji, że jako dyrektor amatorskiego studenckiego teatru, poznałem go w Żytomierzu, mając zamiar postawienia na scenie komedji „Dla miłego grosza“, nie mogłem tego zrobić, bez pozwolenia autora. Wolski znowu należał do tak zwanej cyganeryi literackiej, prowadził życie hulaszczce, ja zaś jako uczeń szkoły sztuk pięknych w czasie, gdy uczniowie jej chętnie nawiedzali knajpy uczęszczane przez literatów i artystów, nie mogłem nie znać Wolskiego. Miejsca gdzieśmy się spotykali, najlepiej charakteryzują stosunki jakie mnie z nim łączyły; po za knajpą trudno go było spotkać, bo bardzo często mieszkania własnego nie posiadał.

Odpowiedzi moje sprowadzały chmury na czoła członków komisji, sam tylko Roźnow zachowywał się niby obojętnie, dopiero gdym co do Wasilewskiego powiedział, że byłem z nim w bardzo blizkich i serdecznych stosunkach, żądał abym mu je szczegółowo zechciał opowiedzieć. Zagadnięty w ten sposób, zwróciłem jego uwagę, jak trudno jest stosunek koleżeński dokładnie opisać, zamiast więc opowiadań, któreby komisji na nic przydać się nie mogły, jeżeli p. prezes chce skonstatować fakt blizkich stosunków, łączących mnie z Wasilewskim niech poleci zrewidować walizkę Wasilewskiego i moją przywiezioną do cytadeli obecnie, a ręczę że w walizie Wasilewskiego znajdzie się bielizna ze znakami mojemu a w mojej vice versa.

Dalsze badanie prowadzone było na tle owego listu, znalezionego u K. M.: ja trzymałem się w granicach protokołu kijowskiego; przy każdym badaniu obecnym był Roźnow, zawsze uprzejmy, prowadził ze mną długie gawędki o polityce, patriotyzmie etc. etc. Pewnego razu zapytał mnie

czy znam sprawę Bekiera? ¹⁾ a gdy mu odpowiedział twierdząco, wytoczył przedemną całą teorię dobrze zrozumianego patryjotyzmu, na tle jej zaznaczył czyn Bekera i silnie zaakcentował tę okoliczność, że zatrzymany in flagranti, nie tylko dokonanego czynu nie wypierał się, ale jasno i stanowczo wyłuszczył powody, które go skłoniły do zamachu. Raz przyszedłszy do przekonania, że Wilhelm nie jest zdolnym do urzeczywistnienia idei jedności Niemiec, chciał go z tronu usunąć, aby władza przeszła w inne, energiczniejsze ręce, co wypowiedziawszy z pewną emfazą — zakończył słowami „Oto jest dobry patryjota“, a panowie urzędzacie jakies nabożeństwa, manifestacje, a zapytać którego z Was, dla czego to robicie? odpowiadacie — Ja nie wiem! Ja nie winien! a któż winien?

Uważam siebie panie prezesie, za również dobrego patryjotę jak Beker, a odpowiedziom moim, jeżeli można co zarzucić, to chyba zbyt szczerość, żadna komisja nie może być uważaną na równi z konfesyonałem, przed sądem ludzkim odpowiada się tylko za czyny, lub ujawniony zamiar spełnienia czynu! tymczasem ja w komisji kijowskiej odkrywałem myśli moje, wypowiadałem swoje sympatje, uczucia, pragnienia i upewniam pana prezesa, że oprócz przyjęcia udziału w pogrzebie, dozwołonym przez władzę, lub chociaż nie pozwołonych, ale też i niewzbranianych nabożeństwach, żadnego karygodnego czynu odnośnie do państwa nie dopuściłem się, a tem samem i przyznać się do niego nie mogę. Rożnów przygryzł wargi i grzecznie, ale z pewnym naciskiem świadczącym, jak wiele kosztowała go owa galanterya powiedział: pański protokół kijowski, to poezja na zadany temat, której my, członkowie komisji śledczej, w żaden sposób, za dobrą monetę przyjąć nie możemy.

W kilka dni potem, z udaniem wzruszeniem, mówił mi o starym ojcu i matce, przedstawiał, jak dotąd nadzieja świetnej przyszłości syna opromieniała schyłek ich życia i jak ten ukochany syn, swoim uporem, brutalnie druzgocze ich jedyne marzenie, zostawiając im gorycz zawodu, łzy i rozpacz! w nagrodę za całe życie trosk i trudów. Żał mi pań-

¹⁾ nie pamiętam dobrze nazwiska, był to student berlińskiego Uniwersytetu, który strzelał do starego Wilhelma,

skiej młodości! Żal mi pańskiej matki! która przez ły pytała mnie o los pański. Zobacysz pan dzisiaj matkę. Sądzę, że jako dobry syn po widzeniu się zechcesz być szczerzym w komisji, ja całego wpływu swojego użyję, aby pana uwolnić i dać możność skończenia uniwersytetu. W taki i podobny sposób człowiek ten unosił mnie ponad przepaściami podłości, zasłaniając je przed moimi oczami, ingłami niby obowiązku i cnoty obywatelskiej. Po widzeniu się moim z matką, Roznów przyszedłszy do przekonania, że nic odemnie nie wyłudzi, zawiadamiając mnie o skończeniu śledztwa, zagroził orenburskimi bataljonami karnymi i zmieniając ton, miękkim niby serdecznym głosem dodał: daję panu kilka jeszcze dni do namysłu, wysyłą pańskich papierów wstrzymam! prosiłem go, aby tego nie czynił. Po trzech czy czterech dniach wezwano mnie do komisji, gdzie jak zwykle zastałem p. prezesa, który podszedłszy do mnie, zapytał — czy nie mam co do dodania, lub zmienienia w zeznaniach swoich? Rozdrażniony zapowiedzianem mi z góry wyrokiem, zamiast odpowiedzi, żądałem stanowczo aby mnie uwolniono od dalszych badań, a gdy mi w czarnych kolorach zaczął przedstawiać los, jaki sobie zgotowałem — przerwałem mu przygotowaną orację, ku zbudowaniu mojemu, oświadczeniem, że Orenburga się nie lękam i wolę być w karnych bataljonach, niż w cytadeli, w rękach komisji śledczej.

Los mój po powrocie do celi uważałem za zdecydowany nieodwołalnie! Tymczasem na drugi dzień około południa niezwykle prędko otworzono mą celę i wygalonowany żandarm oznajmił mi wizytę. W czasie gdy m usiłowałem ubranie swoje przyprowadzić do porządku, żandarm nalegał o pośpiech uprzedzając, że przyjechali „znatnye gosti“. Na korytarzach ruch był niezwykły, członkowie komisji uwijali się po korytarzach w galowych mundurach, przed drzwiami prezydium, gdzie mnie żandarm prowadził stał lokaj w dworskiej liberyi. Nie mało byłem zdziwiony, gdy wszedłszy do sali zastałem znajomą mi młodą panienkę w towarzystwie dwóch innych pań zupełnie mi obcych. Jedna z nich starsza wiekiem przywitała mnie bardzo serdecznie, całowała w głowę mówiąc, że nigdy się nie spodziewała znaleźć mnie w podobnem położeniu, jednocześnie zarzucając pytaniami: o co jestem obwiniony? czy mam książki do czytania? etc. etc.

Przy widzeniu się tym obecnym był wyjątkowo sam prezes. Ja oprzytomniawszy, nie omieszkalem skorzystać z następczącej się sposobności, i z całą swobodą dawałem odpowiedzi nieznajomej mi damie. P. Rożnow zrozumiał odrazu, że zapowiedziany przez niego Orenburg, od tej chwili przestał dla mnie istnieć, że sprawę moją należy inaczej przedstawić, i bezwarunkowo znaleźć powody, dla których powinienem być uwolnionym. Nieznajoma uspokajała mnie, zapewniając że wkrótce będę wolnym i pojedę do uniwersytetu poczem pożegnała również serdecznie, jak przed chwilą witała. Wróciłem do celki.

Kto była nieznajoma dama? Dla czego mnie odwiedziła? jakie stosunki łączyły ją z moją znajomą? nic o tem nie wiedziałem. W kilka dni powtórna wizyta i stanowcze zapewnienie o uwolnieniu. Przy widzeniu się z krewnymi i znajomymi zaledwie dowiedziałem się o jej nazwisku i stanowisku jakie zajmowała. Była to generałowa Daragan siostra namiestnika Lüdersa.

Wkrótce po ostatniej jej wizycie przed wieczorem, kazono mi zabrać rzeczy i zaprowadzono do kancelaryi Moroka. Żuczkowski przedstawił mi rachunek z pieniędzy złożonych przy przyjęciu mnie do cytadeli, resztę pozostałą oddał, prosił o pokwitowanie, następnie winał uwolnienia, zawiadomił, że otrzymał rozkaz odstawienia mnie do generała Krzyżanowskiego, od którego dostanę bilet na wyjazd do Kijowa. Nadzwyczaj uprzejmy nie zapomniał mnie prosić, abym mu wychodząc z więzienia powiedział, gdzie miałem schowane owe 50 rs. Nie zrobiłem mu jednak tej satysfakcji. Sądzę że myśl ta trapiła tego zaprzańca do śmierci.

Opieka, której zawdzięczałem moje uwolnienie, była absolutnie dziełem wypadku. Krewna mojej znajomej, znała generałową Daragan i przeczytawszy w Kurjerze warszawskim, że osoba tegoż nazwiska przyjechała do Warszawy i zamieszkała w zamku królewskim, postanowiła udać się do niej z prozbą o pomoc w mojej sprawie. Przyjęta, zamiast spodziewanej znajomej, znalazła osobę zupełnie obcą; usprawiedliwiając się z przybycia, objaśniła kogo mianowicie spodziewała się zastać — obecnie nie pozostaje jej nic więcej, jak najuprzejmiej przeprosić za zrobioną subjeccję. Nie-

znajoma upewniała ją, że jako bratowa osoby przez nią poszukiwanej, z największą przyjemnością gotowa zrobić wszystko, co od niej będzie zależeć, aby ją w danym razie zastąpić, prosząc o wyjaśnienie co ją do niej przez pomyłkę sprowadziło. Po wysłuchaniu zapytała, czy wie za co jestem aresztowany? o co obwiniony? a gdy jej nieumiano tego powiedzieć, idąc za pierwszym popędem serca rzekła: trzeba się koniecznie dowiedzieć zaraz i nie pytając brata pojechała do cytadeli.

Po wyjściu z cytadeli przed wyjazdem do Kijowa, byłem u niej na zamku. Przyjęła mnie bardzo serdecznie, przedstawiała groźne położenie kraju, zapewniała, że rząd zdecydowany jest pójść szczerze drogą ustępstw, należy więc, aby ludzie dobrej woli i kraj kochający poparli usiłowania rządu; z entuzjazmem mówiła o nowozamianowanym arcybiskupie Felińskim i o Wielopolskim, nagliła o wyjazd do Kijowa dla złożenia ostatecznego egzaminu. Wracaj pan z patentem, mówiła, przedstawię pana arcybiskupowi i margrabiemu, jestem przekonana, że nigdy pan tego żałować nie będziesz.

Sam namiestnik Lüders, postrzelony w szczękę — jak mówiono przez jakiegoś dymisjowanego junkra, w Saskim ogrodzie, chory jeszcze — przyjął mnie z równą uprzejmością, a oboje usługę mi wyrządzoną wzajemnie składali jedno na drugie, sobie wyłącznie nic nie przypisując.

W czasie pobytu mego w Kijowie i potem w cytadeli, w Warszawie mania nabożeństw doszła do pewnego rodzaju szaleń! Nie było dnia, aby w jednym przynajmniej z licznych kościołów nie odprawiało się zamówione nabożeństwo, za pomyślność Ojczyzny. Cechy, majstrowie, czeladnicy, szwaczki, hafciarki — nawet urzędnicy rozmaitych biur, uważali za obowiązek zamówienia dla siebie podobnego nabożeństwa. Warsztaty do południa stały pustką, bo żaden majster, nie śmiał odmówić pozwolenia pójścia na nabożeństwo swoim podmajstrzym, czeladnikom i uczniom. Komitet centralny był tak dalece bezsilny, że pomimo skarg, jakie do niego dochodziły i szczerzej chęci zadość uczynienia słusznym zażaleniom, usiłowania jego były bezowocne. Wpływ jego na bieg wypadków, ściśle rzeczy biorąc, był bardzo nie wielki, a odpowiedzialność moralna olbrzymia. Opinia pu-

bliczna kładła na jego karb odpowiedzialność za każdy wypadek, był po prostu kozłem ofiarnym dla wszystkich. Obwiniał go rząd, chętnie toż samo w razach krytycznych robili i biali; komitet milczał, nie protestował! może źle robił, ale nie chciał ujawniać zamętu, w nadziei, że mu się uda zapanować w końcu nad nim.

W późnej wiosnie 1862 r. powróciłem do Kijowa. Do egzaminów siedząc kilka miesięcy w cytadeli nie mogłem być przygotowanym. Do pierwszego egzaminu pozostało mi zaledwie dni kilka. Zwątpiwszy w możliwość zdania w takich warunkach egzaminu, udałem się do dziekana fakultetu prawnego, profesora Mitiukowa i przedstawivszy mu położenie moje, prosiłem o pozwolenie zdawania egzaminu na czas powakacyjny. Dziekan przyjął mnie bardzo serdecznie. Wiadomo już było o naznaczeniu namiestnikiem W. Ks. Konstantego, co sprawiło w Rosyi najlepsze wrażenie. Gdy się dowiedział, że tylko co powróciłem z Warszawy, zapomniał o moim osobistym interesie i zaczął przedewszystkiem dopytywać się o wypadki w Królestwie, o stan umysłów w kraju. Opowiadałem mu wszystko z całą szczerością w końcu na zapytanie co myślę o ostatniej nominacyi i czy można mieć nadzieję, że kraj uniknie wstrząśnienia? znając niechęć sztucznie podsycaną do Wielopolskiego — nie mogłem ukryć obawy, że wszystko co rząd zamierza zrobić jest po części spóźnionem i może nie doprowadzić do pożądanego celu. Profesor zapewniał mnie, że obawy moje są płonne, że wszystko ułoży się jak najlepiej, gdy na czele rządu w Królestwie stoi Wielopolski, najrozumniejszy z Polaków i W. Ks. Konstanty „Jedinstwennaja dielnaja licznost' wo wsiej Rassii“ to o powstaniu mowy być nie może. Żartował sobie z tego powodu, a conto mojej przyszłości — wstydził mnie, że przed czasem chcę kapitulować i stanowczo sprzeciwił się odłożeniu egzaminu. Dość będzie czasu, mówił pomyśleć o tem w krytycznej chwili, chociaż on jest przekonany, że egzamin zdam świetnie. Rad nie rad musiałem się zgodzić na jego propozycję. Nie żałowałem tego, bo egzamin przeszedł nadspodziewanie dobrze. W kilka dni po skończeniu egzaminów, sklezione na prędce wypracowanie piśmienne o karnym prawodawstwie u Żydów według pięcioksięgu

Mojżesza, złożyłem w kancelaryi uniwersytetu, prosząc o wydanie mi tymczasowego świadectwa z ukończenia uniwersytetu. Na drugi czy trzeci dzień otrzymałem świadectwo i poleciałem do Warszawy.

*

*

*

Dyrektorem komisji sprawiedliwości był podówczas Wosiński, wręczyłem mu więc podanie o przyjęcie mnie na aplikację. Robił mi pewne trudności z powodu, że nie ukończyłem uniwersytetu w Petersburgu¹⁾, podanie jednak przyjął, nie wątpiłem więc o rezultacie. Wraz z nominacją w oddzielnem zawiadomieniu, podpisanem przez prezesa trybunału, wskazano mi sąd pokoju, w którym miałem rozpocząć aplikację sądową. Byłem pełnoletnim i już pełnoprawnym obywatelem, należało obok kariery osobistej, pamiętać o obowiązkach względem kraju. Osobiste sympaty, przekonania, wrodzona niechęć do wszelkiego rodzaju gwałtów, które w pewnych tylko wyjątkowych razach uwzględniałem, jako ultima ratio! popychały mnie ku Wielopolskiemu. Obejrawszy się jednak w około, nie mogłem wątpić ani na chwilę, że jak dawniej tak i dziś, stał on samotny, chociaż nie mniej pewny siebie, że wszystkiemu poradzi i na swych silnych barkach kraj z groźnego położenia wydzwignie i do lepszej przyszłości poprowadzi. Stan mieszkańców kraju oddawna był anormalny. Z jednej strony Wielopolski półdyktator, który na każdym kroku dawał dowody energii, rozumu, dobrej woli i umiejętności wyzyskania pozycyi; ale wyzywający przeciwko sobie opinię kraju, brutalny swą pychą — z drugiej, massy do głębi poruszone, bez jasno sformułowanych żądań, bez świadomości celu, do którego dążą, podzielone na dwa wielkie odłamy. Jeden, ludzi z natury rzeczy umiarkowanych: obywateli ziemskich, bogatego mieszczaństwa, przemysłowców, finansistów, którzy w każdym państwie stanowią jego fundament, punkt oparcia dla sfer rządzących, skąd czerpią one pewność siebie i siłę, bo pod

¹⁾ W którym jedynie były wykłady procedury sądowej, obowiązującej w Królestwie kongresowem.

tą zwierzchnią z interesu zachowawczą warstwą, stoi arcykonserwatywna a twarda jak granit ława ludu wiejskiego. Drugi odłam, nadzwyczaj zmienny, ruchliwy, różnobarwny, żyjący prawie z dnia na dzień, a więc łatwo zapalny — o różnej skali wykształcenia, od analfabeta wyrobnika dziennego, aż do przedstawiciela arystokracji duchownej, choć bez zdobytego jeszcze stanowiska, ale dlatego właśnie tem bardziej ambitnej, tem bardziej niebezpiecznej, bo pełnej energii, która codziennymi zapasami o zdobycie kawałka chleba na jutro, była tylko drażnioną, co znowu zdwajało jej siłę wybuchową.

Reprezentantami pierwszego byli członkowie rozwiązanego przez Wielopolskiego Towarzystwa rolniczego, respective p. Andrzej Zamojski. Odłam ten był dość dobrze zorganizowany i karny. Reprezentantem drugiego na zewnątrz był „komitet ruchu“, bez prawidłowej organizacyi, bez należytego wpływu na zawsze ruchliwe, rozbieżne, różnolite elementa, bez siły, a więc możliwości sprowadzenia ich do jednakowego mianownika. Gdyby dobry pan Andrzej był obdarzony choć szczyptą zmysłu politycznego, byłby rozumiał, że nadeszła chwila, w której polityka osobista czy rodowa, powinna ustąpić na plan drugi, że aby dojść do celu przez nią zakreślonego — nie dość jest stać na stronie i obojętnie patrzeć na bieg wypadków, ale trzeba się zanurzyć w burzliwej fali, unoszącej społeczeństwo ku nieznanym widnokręgom, z tą falą walczyć, aby nie wyszła z brzegów i nie zmieniła się w kłeskę powodzi, nie strzaskała kruchej skorupy statku narodowego, o pierwszy lepszy kamień, a więc stać przy sterniku i całą siłą mu pomagać a nie czekać cierpliwie aż ręka mu osłabnie, a znużone oko zacznie zawodzić i wtedy dopiero pokusić się o ujęcie steru we własne ręce. Przypatrywanie się z boku pracy innych i krytyka ich czynów, nie daje jeszcze świadectwa o nieomyślności krytyka i zdolnościach jego do czynu! Zachowaniem się takim wobec naczelnika rządu stronictwo konserwatywne mimowoli solidaryzowało się z skrajną, jak sami biali ją nazywali opozycją. Nieprzyjmując udziału w robotach komitetu dodawali mu otuchy i w pewnym stopniu poparcie.

Gdyby więc, jak powiadam p. Andrzej stanął przy boku markiza i usiłowania jego popierał słowem i czynem, całą

szlachta, zamożniejsze mieszczaństwo a nawet z bardzo małym wyjątkiem rzemieślnicy stanęliby przy nim — komitet wówczas, prawda, że nie przestałby być komitetem, ale jak dotąd bez wpływu i znaczenia. Do pewnego czasu nie przestałby być dla Petersburga straszdyłem, a dla naczelnika rządu narzędziem, któregooby zręczny markiz w każdym danym razie nie omieszkiał użyć i należycie wyzyskać, a w danej chwili, gdyby mu zawadzał zmiażdżyć. Tymczasem pan Andrzej prowadził dalej swoją politykę obojętności i biernej opozycji względem rządu, a co gorsza kokietował rzemieślników i mieszczaństwo, które go królem publicznie obwoływało. Margrabia umiejący się liczyć z faktami, doskonale wiedział jakaby zyskał potęgę, mając obok siebie p. Andrzeja chociaż oskarżany o niepohamowaną dumę, stawiał się jak wiadomo, zaraz po dojściu do władzy, pierwszy w progach p. Andrzeja. Jakie było spotkanie nie wiem, piszę bowiem to, co pamięć zachowała bez żadnych dokumentów pod ręką ale wiem, że zachowanie się p. Andrzeja po wizycie, nie uległo żadnej zmianie. W obec więc niezaprzeczalnego faktu że taką, a nie inną była polityka Zamojskiego, respective białych — mam niezłomne przekonanie, że tu się zaczyna ciężki, śmiertelny grzech owego stronnictwa i jego przywódcy.

Komitet tylko wskutek takiego rachowania się białych, poczuł grunt pod nogami — jednocześnie krańcowe kierunki śmieiej zaczynają występować; krzykacze zyskują zwolenników i grożą powstaniem. Nie łatwo było zdać sobie sprawę z tego co było do zrobienia w tym chaosie — gdzie stanąć i co mianowicie zrobić?

Stanać jako jednostka przy markizie, byłoby to bezowocnie brawować opinię, ośmieszać się nawet. Daleko więcej szans, rzeczywiście pożytecznej pracy, dawało zajęcie ważniejszego stanowiska w obozie czerwonych, bo przy sumiennej pracy i szczęśliwym zbiegu okoliczności, można było mieć nadzieję — niedopuszczenia do wybuchu. Z natury miałem wstręt do jakiegokolwiek bądź barwy, nie nadawałem się, ściśle rzeczy biorąc do żadnego stronnictwa. Nie pytałem nigdy o to, kto robi? ale co robi? i jeżeli sumienie mówiło mi, że to rzecz dobra, pożyteczna, nigdy nie odmówiłem poparcia. Gdybym był człowiekiem stanowiska, a kraj

był w stanie spokoju i równowagi, pozostałbym obcym dla każdej partii, skromnemu jednak nieznanemu nikomu aplikantowi sądowemu, w wyjątkowych okolicznościach w jakich się kraj znajdował — nie wolno było pozostać na uboczu bo równało się to założeniu rąk i uchylaniu się od obowiązku. Zostałem czerwonym. Komitet był bardzo dogodnym parawanem. Bezimienny, był tem samem, dla ludzi nie wtajemniczonych — niezmiennym, niewzruszalnym, chociaż w miarę potrzeby i okoliczności, pod owe X podkładano najrozmaitsze wartości. Organizacja oparta na dziesiątkach okazała się bardzo luźną — trzeba było pomyśleć o bardzo, systematycznym zorganizowaniu miasta. Wyznaczona w połowie 1862 r. komisya nie rozwiązując istniejących dziesiątek i setek, rozdzieliła miasto na cztery wydziały. Na czele każdego wydziału postawiono wydziałowego, którzy z naczelnikiem miasta stanowili zarząd miejski, związany z komitetem przez naczelnika miasta, który ex officio był członkiem komitetu. Wydziały dzieliły się na okręgi. Na czele każdego okręgu stał okręgowy. Okręgi na sekcyje, z tak zwanym naczelnikiem sekcyi. Sekcyje na rewiry, a te dopiero na dziesiątki. Naczelnik rewiru, obowiązany był zebrane wiadomości i interesa potrzebujące załatwienia od dziesiątników, przedstawić naczelnikowi sekcyi i otrzymać od niego rozporządzenia i instrukcyje. Naczelnicy sekcyi oddawali zebrany materiał okręgowym — ci ostatni wydziałowemu. Posiedzenia wydziałów odbywały się codziennie i naczelnik miasta, wchodząc na posiedzenie komitetu nie mógł w nim nie zająć decydującego stanowiska, bo on jeden miał możność poruszenia tych mas tak, albo inaczej. Reszta członków komitetu byli swojego rodzaju radą przy naczelniku miasta, która decydowała wraz z nim w ostatniej instancyi. W praktyce w bardzo krótkim czasie okazało się, że nie komitet, a rada miejska była taką ostatnią instancyą, a nawet w czasie powstania organizacja miejska. Warszawy kilkakrotnie czyniła udatne zamachy na Rząd narodowy. Zdarzało się nie raz, że rozporządzenia komitetu przyniesione do rady miejskiej, dla wprowadzenia ich w wykonanie i rozpowszechnienia w mieście — szły do pieca i musiały być zmienione według życzenia i wskazówek teje

radę. Czasami wzywano jednego z członków komitetu na posiedzenie rady i żądano szczegółowych wyjaśnień. Oprócz rady miejskiej przy naczelniku miasta był jeszcze naczelnik policji, zależny wyłącznie od niego.

Po zorganizowaniu miasta — wobec kompletnej bezczynności białych, komitet zajął wybitne stanowisko, położenie jego nie uległo zmianie tylko w stosunku do drobnych kótek krańcowych, które jak dawniej tak i dziś, działając na własną rękę, przyczyniały mu nie mało kłopotu, i jak dawniej musiał za nie przyjmować na siebie odpowiedzialność.

Czy Ignacy Chmieliński, o którym już wspomniałem działał w imieniu jenerała Mierosławskiego, lub jego kółka o tem stanowczo nic powiedzieć nie mogę — nie umiem również powiedzieć czy zajmował dla pozoru podrzędne stanowisko w organizacyi, będącej pod zwierzchnictwem komitetu; faktem jest jednak, że w koło niego grupowała się garstka ludzi różnego stanu, którzy w niego wierzyli i byli mu posłuszni. W liczbie ich był i Jaroszyński. któremu Chmieliński potrafił wytłumaczyć, że zamach na W. Ks. Konstantego, będzie nie lada zasługą, a zapewniwszy go, że sam przyjmie w nim udział czynny, jednocześnie godząc na życie Wielopolskiego, potrafił go skłonić do wykonania zamachu.

Zachowanie się Jaroszyńskiego w komisji jest jednym z najwymowniejszych dowodów, jak rzemieślnik polski idealnie kraj kocha, a położenie życia w ofierze, gdy kraj tego wymaga uważa za prosty obowiązek. Odpowiedzi jego w czasie pierwiastkowego śledztwa, pomimo że był przez Chmielińskiego zawiedzionym, bo ten go w ostatniej chwili opuścił i o zaatakowaniu osobiście Wielopolskiego nigdy nie myślał, prostotą i zarazem stanowczością swoją niemal katechizmową w zdumienie wprawiają. Jak najwyraźniej występuje z jego słów, głębokie poczucie obowiązku, który spełnił, jeżeli się tłumaczy to z motywów, które zmuszały go, powzięty zamiar odłożyć do stosowniejszej chwili. Na dworcu kolei nie strzela, bo spostrzegł, że W. Księżna była w interesującym stanie — nie chce ją przerazić, nie chce, aby spełniając obowiązek, jednocześnie spełnił względem niej czyn niezgo-

dny z jego sumieniem. W cerkwi spotyka W. Ks. otoczonego świtą, nie może uchwycić odpowiedniej chwili, aby tylko jego ugodzić, jednocześnie sumienie go niepokoi, że to dom Boży, a więc miejsce nieodpowiednie do spełniania mordy, który zupełnie uważa za obowiązek. W końcu spotyka go w teatrze, strzela nie na oślep, ale z całym możliwym w podobnych razach spokojem i nie chybia! Książę wychodzi cało, dzięki pancierzowi, który ma pod mundurem. O zamachu pisały wszystkie dzienniki zagraniczne z mniejszym lub większym oburzeniem, między innymi Czas krakowski absolutnie zamach potępił. Dziennik krakowski przekradany przez granicę, w klasie rzemieślniczej oddawna cieszył się wielką powagą. Skorzystała z tego komisya śledcza i dała Jaroszyńskiemu do przeczytania artykuł. Jaki zamęt, jakie piekło zawrzało w duszy Jaroszyńskiego, gdy przekonał się z Czasu, że nietylko czynem swoim nie przyczynił się do dobra kraju, ale popełnił zbrodnię, widać z odpowiedzi, które daje w komisyi po przeczytaniu artykułu Szczerze żałuje spełnionego czynu, wydaje Chmielińskiego. Następnie skazany, jeszcze raz staje w komisyi, odwołuje ostatnie swoje zeznania, wraca do pierwszych i dodaje, że gdyby go uwolniono, powtórzyłby zamach tak go uważa za konieczny. Co wpłynęło na powtórna zmianę zeznań na pewno nie wiem, sądzę, że spowiednik ulitował się nad tą zbolałą duszą i nie skąpił jej ukojenia w chwili ostatniego rachunku z Bogiem. Do tej samej kategorii wypadków należały i dwa zamachy na Wielopolskiego, dokonane w krótkiej przerwie jeden po drugim przez Ryla i Rzońcę. Ryl strzelił do margrabiego na schodach komisyi skarbu. Rzońca ze sztyletem rzucił się na jadącego powozem margrabiego w Alejach Ujazdowskich. Jeden i drugi nawet lekko nie zadrasnął naczelnika rządu. Obadwaj zatrzymani, stawieni przed sądem, zostali powieszani.

Po zorganizowaniu miasta zostałem wydziałowym. Daⁿ, browski Jarosław był już w cytadeli a jednym z pierwszych naczelników miasta, w czasie mego urzędowania był oficer francuski Bron. Szwarcze syn emigranta, naturalizowany Francuz, który jako inżynier służył w kompanii francuskiej, budującej kolej Warszawsko-Petersburską. Po matce otrzymał ruchli-

wość i temperament Francuza. Z urodzenia agitator i spiskowiec, odważny aż do lekkomyślności, w krótkim czasie potrafił się mocno skompromitować. W chwili aresztowania uciekając dał kilka strażów do policyi, pomimoto został schwytyany i osadzony w cytadeli. Wyrokiem sądu wojennego skazany na powieszenie. Nim wyrok był zatwierdzony w audytorjacie i ostatecznie konfirmowany, komitet skorzystał z czasu, wysłał do Krakowa Gustawa Wasilewskiego, który w imieniu komitetu telegrafował do cesarzowej Eugenii zawiadamiając ją, że oficer francuski, osobiście jej znany, bo na jednym z dworskich balów Szwarce miał szczęście zwrócić na siebie uwagę cesarzowej, wyrokiem sądu wojennego został skazany na powieszenie; proszono o obronę. Cesarzowa zajęła się losem Szwarcego i telegraficznie prosiła Aleksandra o ułaskawienie. Prośbie jej uczyniono zadość. Wyrok został zmieniony i Szwarce, wysłany niby na Syberję, dojechał do Tobolska, z kąd go zwrócono i osadzono w Petropawłowskiej fortecy w Petersburgu, w nadziei, że protegowany przez cesarzową Eugenję więzień będzie niewyczerpaną kopalnią potrzebnych wiadomości, tym sposobem na długo zginął dla najbliższej rodziny swojej. Władze petersburskie zasłaniały się przed rodziną wysyłką poszukiwanego na Sybir i dla pozoru żądały wiadomości o nim od gubernatorów Tomskiego i Jenisejskiego. W r. 1865 gdy już ja byłem w Irkucku, żądano wyjaśnień od miejscowego Gubernatora. Gubernator Irkucki Szełasznikow, człowiek dobrego serca, usilnie zaczął poszukiwać zaginionego, a otrzymawszy w części na drodze urzędowej, w części od zesłanych znających Szwarcego szczegółową i dość dokładną relację o jego losach, doniósł trzeciemu wydziałowi, to co mu się udało zebrać. Czy trzeci wydział dalsze ukrywanie Szwarcego uważał już za zbyteczne, lub wprost niemożliwe, gdyż i rodzina została jednocześnie o losie jego zawiadomiona — dość, że wtedy dopiero rzeczywiście wysłano go na Syberję i ulokowano w odludnej miejscowości nad Bajkałem, przeznaczonej wyłącznie dla księży. Stamtąd na prośby i starania rodziny został wysłany do Tomsku, a niewiele sobie robiąc z ciężkich kolei, jakie przebył, wszedł w stosunki z moskiewskimi socjalistami, chcąc przynieść im ulgę w ich ciężkiem położeniu

i znowu został wsadzony do więzienia. W r. 1884, przejeżdżając przez Tomsk, zastałem go w miejscowym ostrogu.

B. Szwarce, któremu komunikowaliśmy ustęp z pamiętnika, gdzie o nim mówiono, nadesłał nam następujące wyjaśnienia:

„Co do faktów dotyczących się mnie osobiście, jest bardzo wiele niedokładności, tem dziwniejszych, że p. B. znał mnie doskonale. Można jednak przypuścić, że pamięć go zawiodła. Nie byłem nigdy oficerem francuskim; jestem inżynierem Szkoły Centralnej Paryskiej, i jako taki służyłem nasamprzód w Wiedniu przy Staatsbahn, gdzie pomimo zbyt ogólnikowego twierdzenia autora żadną konspiracją się nie zajmowałem, a potem, przy kolei Petersburgskiej. Nie skompromitowałem się swoją „lekkomyślną“ działalnością w Warszawie, z tej prostej przyczyny, że od maja 1862 r. byłem „nielegalnym“, uciekłszy z Białegostoku, gdzie zaprowadziłem bojową organizację już w 1861 r., i drukowałem, razem z Białokozem i Hryniewieckim, pierwsze białoruskie pismo, „Hutorka staro ho dziea“. Więc szukano mnie wszędzie, a policja warszawska nic o mnie nie wiedziała, tak dalece, że kiedy mnie przypadkiem aresztowano, 22 grudnia 1862 r., nikt nie wiedział, kto ja taki, bo trzy dni nie chciałem powiedzieć, a krewni wypierali się mnie; dopiero powiedział p. Alf Wrześniowski, eks. inżynier naszej kolei, a potem adjutant Konstantego, dobry mój znajomy. Byłem w Komitecie prawie do ostatniej chwili przed powstaniem, a Gucio Wasilewski nie mógł się starać o moje uwolnienie, bo zginął zdaje się, przed wyrokiem, który nastąpił dopiero 16 maja 1863 r. Cesarzowej Eugenji w oczy nigdy nie widziałem, a prosiła o moje ułaskawienie z powodu petycji całego miasta Dinan, w Bretanji, gdzie się wychował.

Dalszych faktów nie prostuję, bo można je znaleźć w moich wspomnieniach Szlisselburskich. Byłem potem pięć lat w Ałmatach (Wiernem), w Turkiestanie, w fortecy także, a w 1875 r. wysłano mnie do Tomsku. Byłem aresztowany w 1882 r. na początku (6 stycznia), i wywieziony 1. czy 6. stycznia 1884 r. do Tunki, na granicę Mongolji — wątpię więc czy mnie p. B. zastał w Tomskim więzieniu, chyba że przejeżdżał w r. 1883, a nie 4., jak pisze. Co do mojej roli w organizacji, nie byłem nigdy naczelnikiem miasta — był nim

najprzód Jarosław Dąbrowski, potem Józef Rolski, potem Gustaw Wasilewski, potem Zygmunt Padlewski. Gdybym miał wpływ na miejską organizację, nie byłbym aresztowany — bo skutkiem samowoli niektórych członków wydziałów, przeniesiono drukarnię „Ruchu“, bez mojej wiedzy, i pomimo surowego zabronienia do mieszkania drukarza, Kłosowskiego,(?) który mieszkał na ul. Widok w domu mojej ciotki; ktoś go zadenuncjował, i ja nie wiedząc o niczym, zostałem aresztowany, gdy do ciotki (także nic nie wiedzącej) przyjechał. Dodam że matka była Polką, z Warszawy, bliską krewną D-ra Malcza, i emigrowała dobrowolnie do ojca, porucznika Mazurów, a przed powstaniem patrona Trybunału Mazowieckiego. Tyle o mnie.

Co do Jaroszyńskiego, wiadomo że Chmieliński go oszukał, sfałszowawszy rozkaz Komitetu, a to dla tego, że zatrzymano dawny podpis Komitetu, do którego Chmieliński należał a mianowicie MCD. (Matusiewicz, Chmieliński, Daniłowski); można znaleźć taki monogram w Osolineum, na własnoręcznym moim rozkazie. Wiadomo także, i p. B. najlepiej o tem powinien wiedzieć, że parł do powstania natychmiastowego Komitet Mierosławczyków, (Bauernfeind, Koskowski, Daniłowski, Janowski Władysław i in.), kierowany przez Kurzynę, tak że kiedy mnie aresztowano, a Marczewski, Awejde, Giller gdzieś znikli — w początku stycznia ów komitet, nie mający zresztą znaczenia, gospodarował w imię komitetu centralnego; jeden Podlewski protestował, trzymając się terminu wiosennego i dyslokacji, uchwalonej w listopadzie (grudniu?) — ale jak sam p. B. pisze, nic zrobić nie mógł. Komisarze zaś wojewódzcy, żądający rozkazów, z powodu parcia wypadków, byli zdziwieni tą dwoistością działań, i zaczęli na własną rękę. Zresztą byłem już w cytadeli i szczegółów nie znam.

Dodam, że mieszkałem w 1862 r. na Miodowej, w domu Grabowskich, pod nazwiskiem Syrewicza, i że mieszkania mojego nie odkryto; Bronisław Szwarce a Hipolit Hojnacki, który mieszkał ze mną, mógł przeto wyjechać najspokojniej za kordon. Że Berg wie o tem mieszkaniu, to dowód, iż Awejde wydał ten szczegół, jak wiele innych, ale dopiero w końcu 1863 r. „śpiewaniem“ Awejdy (albo kogoś innego) tłómaczę też sobie że mnie wrócono z Permu do Szlisselburgu w lipcu 1863 r.“

Wracam do komitetu. Znaczenie komitetu w jesieni 1862 r. a nawet już po przemianowaniu go na komitet centralny z każdym dniem na zewnątrz rosło, w rzeczywistość¹ władza jego była bardzo ograniczoną. Organizacja miejska zataczała coraz większe kręgi, ale z natury rzeczy jednocześnie stawała się coraz mniej jednolitą — mniej karną. Naczelnik miasta w komitecie miał ogromną przewagę — sam zaś stawał się coraz bardziej zależnym od Rady miejskiej. Od osobistych zdolności Naczelnika miasta zależało być prawie Dyktatorem, czy też wykonawcą tego, co rada miejska zdecydowała. W robocie, z konieczności uciekającej światła dziennego, inaczej być nie mogło. Rada miejska umiała zmieniać Naczelników miasta, a nieraz na jej żądanie zmieniano członków komitetu. Zmiany te nie mogły być utrzymane w absolutnej tajemnicy — przenikały do mas zorganizowanych, stanowiąc zadatki przyszłego rozstroju. Wkrótce nadejdzie chwila, gdy masy dadzą się unieść w kierunku krańcowym, porwą swoich przywódców i poprowadzą ich tam, gdzie zająć sami ani chcieli, ani nawet myśleli. W komitecie bowiem i organizacyi miejskiej już w lecie 1862 r. skrajni, reprezentowani przez Dąbrowskiego Jarosława i sfanatyzowanych Chmielińczyków, zyskiwali wpływ a zatem i myśl o zbrojnym powstaniu zaczyna zyskiwać prawo obywatelstwa. W krótkim względnie czasie dwukrotnie został zdecydowany dzień zbrojnego powstania, ale wskutek tego i po dwakroć następuje zmiana komitetu i Naczelnika miasta. Następstwem odrzucenia pierwszego terminu było rozstrzelanie w Modlinie oficerów rossyjskiej armji: Arnolda i Śliwickiego, oraz jednego podoficera, Rostkowskiego.¹⁾

Wskutek drugiego na Naczelnika miasta powołany był sztabowy oficer wojsk rossyjskich Zygmunt Podlewski, były professor szkoły wojskowej w Cuneo. Młody, energiczny, przyzwyczajony do karności i rygoru wojskowego, w ostrych przemówił słowach do rady miejskiej, zarzucając jej brak karności, i zarazem ostrzegał przed następstwami podobnego porządku rzeczy, może w przeczuciu tej niedalekiej chwili, gdy rozwój wypadków też samą radę miejską zniesie z drogi tak samo, jak ona dziś zniosła Naczelnika miasta.

¹⁾ Naczelnikiem miasta był wówczas Rolski.

Jednocześnie Wielopolski widząc, że niczego spodziewać się nie może od żywołów zachowawczych, postanowił gdzie indziej szukać punktu oparcia. Wezwał do siebie K. M.¹⁾ Znałem go oddawna, byliśmy w jednym gimnazjum. Już wtedy zdradzał pewne skłonności opozycyjne. Jako uczeń klasy czwartej czy piątej, po wprowadzeniu do gimnazjum wykładów w języku rosyjskim, wyzwany do lekcji przez nauczyciela historii polskiej — nie chciał odpowiadać po rosyjsku, a gdy nauczyciel nastawał, wybuchnął głośnym płaczem. Po skończeniu gimnazjum, wszedł do Marymontu, a potem do Akademii medycznej. Wiedziałem, że był przyjacielem Kurzyny i osobiście znał generała Mierosławskiego. Był człowiekiem ambitnym i nie bez pewnej zręczności, bo pomimo stosunku z generałem, miał pewien kredyt w obozie białych, a nie mały wpływ na czerwonych, chociaż ani do jednych, ani do drugich wyłącznie nie należał. W cytadeli podobno zanadto dyplomatyzywał, ale sprawy jego nie znam a rzeczy słyszanych powtarzać nie lubię. Wybór ze strony markiza był trafny, ale i to mu się nie powiodło, ^zK. M. po konferencji z margrabią w pałacu Bryłowskim, tej samej nocy nad ranem był aresztowanym. Złość i głupota posunęły się tak daleko, że o aresztowanie obwiniono Naczelnika rządu! Po uwolnieniu K. M. z cytadeli w chwili, gdy powstanie było już faktem dokonany, spotykałem się z nim, nie było jednak czasu myśleć o przeszłości — nie wiem więc szczegółów owej konferencji. Z licznych jednak jego odezwań się o Wielopolskim, sądzę że przypuszczenie moje co do intencji Naczelnika rządu jest słusznem. Czy Markiz próbował dojść do zamierzonego celu na innej drodze? za pośrednictwem innych osób? nie jest mi wiadomem. Raczej skłonny jestem do twierdzenia, że zamiaru stanowczo zaniechał.

Tak rzeczy stały, gdy zaniechany od lat kilku pobór do wojska przywrócono, podobno z inicjatywy Wielopolskiego. Ogłoszony reskrypt przyjęto krzykiem oburzenia, a w krzyku tym nie oszczędzano markiza. Myśl o zbrojnym powstaniu tłumiona dotąd, wypowiedana oględnie bardzo, została podniesiona głośno! Zaczęto się domagać, aby do poboru

¹⁾ Karol Majewski.

nietylko nie dopuścić, ale skorzystać z niego i przyszłych rekrutów powołać do powstania. Nadeszła jedna z najkrytyczniejszych chwil dla ówczesnego ruchu narodowego. Miasto było rozgorączkowane! Wrzało! Niemożliwym było pomyśleć o uniknięciu niebezpiecznego, w danej chwili szalonego kroku.

Pewnego dnia wcześniej niż zwykle przyszedł do mnie okręgowy Stanisław Olszański urzędnik drogi Warszawsko-wiedeńskiej. Okręg jego stanowili przeważnie robotnicy warsztatów kolei wiedeńskiej, żywił najbardziej niesforny i gwałtowny. Olszański oddawna był mi znajomy. Młody, szlachetny, pełen poświęcenia, znał moje przekonania. Wiedział jak dalece nie wierzyłem w rezultaty powstania, jak stanowczo byłem mu przeciwnym, a że nie podejrzewał mojej dobrej woli, bom mu nieraz wypowiadał moje poglądy na warunki, w jakich wyzwanie Rossji do walki mogłoby liczyć na rezultat dla nas dodatni, podzielał ze mną niechęć do zbrojnego ruchu. Zaniepokojony w najwyższym stopniu, prawie ze łzami w oczach mówił mi o silnem wzburzeniu pomiędzy robotnikami, z powodu zapowiedzianego poboru; że komitet posądzonym jest wprost o zdradę, że zagrożeni poborem domagają się głośno, aby ich zasłonięto przed jawną proskrypcją, za pomocą zbrojnego powstania, lepiej bowiem, aby zginęli w szeregach powstańczych, niż mają pójść Bóg wie gdzie na poniewierkę i zatracenie. Objasniał przy tem, że możeby nie doszło do tego, gdyby nie pewne indywidua, należące do organizacji, które używają wszelkich środków, aby niezadowolone popchnąć do ostatecznych granic. Gorącym słowom Olszańskiego trudno było nie uwierzyć. Postanowiłem oko w oko stanąć z tłumem, zapytałem gdzie zebranie okręgu i kiedy? Na Złotej o godzinie 7-iej odpowiedział. Czekam pana przed 7-mą, pojedziemy razem.

Mieszkanie, w którem odbywało się zebranie okręgu złożone było z czterech czy pięciu pokoi obszernych w amfiladzie, w bocznych oficynach, bez żadnych prawie sprzętów. W pierwszym pokoju stał stół i krzeselko. Na stole kasjer okręgu, bo była sobota, przyjmował od robotników wdowi grosz, który każdy wchodzący składał na stole i dążył do ostatniego pokoju, gdzie tłoczyli się wszyscy zebrani. W chmurze dymu tytoniowego, przy słabym blasku jednej lampy, widać było zasmolone niewyraźne sylwetki robotników, za-

słuchanych w słowa napuszonej oracji, którą im prawił, stojący za stołem ks. Drewnowski, trzymający w ręku... rewolwer, którym od czasu do czasu w stół mocno uderzał. Zdrada! Zdrajcy! Judasze! szubienica! mieszały się z okrzykami obecnych. Tak! Tak! Zdrajcy! Śmierć im! Zrozumiałem odrazu, że to już nie spiskowcy, ale ludzie zdecydowani na wszystko! że lada okoliczność pchnie ich do czynu choćby najbardziej szalonego. Czułem że nie frazesami należy szermować, ale trzeba zapanować nad tym rozgorączkowanym tłumem i raptownie, stanowczo na inną skierować go drogę. Szepnąłem Olszańskiemu, aby jak tylko skończy Drewnowski swoje przemówienie, przedstawił mnie obecnym; jako delegowanego komitetu centralnego. Co on też niebawem uczynił. Zapanowała na raz absolutna cisza w tem gwarnem przed chwilą mrowisku. Z całym spokojem, na jaki tylko zdobyć się mogłem, zająłem miejsce ks. Drewnowskiego, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Stanowczym głosem rzuciłem zebrany następujące pytanie. Czy wszyscy tu obecni panowie jesteście członkami organizacji? Czy w takim razie uznajecie jako najwyższą władzę Komitet Centralny?

Chwila milczenia, kilka głosów odpowiada Tak! a jednocześnie prawie okrzyk jednomyślny — Wszyscy! wszyscy!... Uznajemy!

Oświadczam więc panom, że pierwszy najświętszy obowiązek, każdego członka organizacji jest bezwarunkowe spełnianie rozkazów komitetu, że uchylenie się od spełnienia dobrowolnie przyjętego na siebie obowiązku, jest zdrada, że w wyjątkowym położeniu, w jakim się kraj znajduje, cierpieniem być nie może i musi być surowo karanem! Pytam się panów, jakie zobowiązanie przyjął na siebie komitet wobec organizacji? Czy was powołał w imię Ojczyzny, dla jej zbawienia? Czy też aby was przyszłych jej obrońców, zasłonić od poboru wojskowego, który jest tak nieuniknionym, jak to, że jutro słońce w oznaczonej godzinie wejść musi?

W szeroko rozwartych oczach bliżej stojących, było widać niby wahanie się. Milczenie wydało mi się za długie. Ćmiło mi się w oczach, już i najbliższych nie widzę, gdy nagle słyszę wymienione ze wszystkich piersi „A jużci, że dla zbawienia Ojczyzny!“ Jesteśmy więc w porządku Panowie! Komitet centralny polecił mi zawiadomić panów, że jeżeli moż-

liwem będzie zerwanie się do broni! pod broń was powoła panowie musicie wiedzieć, że nie sami jedni jesteśmy w Europie, że komitet musi się liczyć z położeniem całej Europy. W razie jeżeli powstanie będzie niemożliwym, gdy zamiast spodziewanych korzyści, mogłoby nas stracić w głębszą przepaść niedoli, niż ta, z jakiej tylko cośmy wyszli, nakazuje wam uleść konieczności i pójść do wojska! A teraz pytam się panów czy w podobnym wypadku, jako dobrzy obywatele kraju poddadacie się tej konieczności i bezowocnem uporem nie utrudnicie urzeczywistnienia zamiarów komitetu Centralnego? „Komitetu tylko słuchać będziemy — jeśli potrzeba bez oporu pójdziemy do wojska!“ W serdecznych słowach podziękowałem im za zaufanie, zapewniając że komitet tego zaufania nigdy nie zawiedzie, że każdy z jego członków gotów głowę raczej położyć, niż przyjętego na siebie obowiązku względem Ojczyzny nie dopełnić.

Inne okręgi w Wydziale, względnie spokojnie wyczekiwały rozkazów komitetu. Naznaczony termin poboru zbliżał się nieubłagalnie. Zwołano Radę miejską na nadzwyczajne posiedzenie w domu dziś pokarmelickim, do którego można było wejść przez furtkę klasztorną od Krakowskiego przedmieścia, lub przez bramę, od Bednarskiej ulicy. Dziś możebym nie to mieszkanie, ale domu dokładnie wskazać nie mógł. Wszedłem do niego wieczorem. Kto był właścicielem mieszkania nie wiedziałem, wydało mi się pustem i dziwnie ponurem. Oswietlone słabo, na tyle tylko, aby obecni nie potracali się wzajemnie, miało wygląd raczej piwnicy, niż ludzkiego mieszkania. Ludzie, którym niedawno zdawało się, że prowadzą tłumy, że im rozkazują, dziwne robili na mnie wrażenie. Żaden z nich w tej stanowczej chwili nie śmiał powiedzieć, że on chce powstania, a jednak domagał go się stanowczo w imieniu tych, którym dotąd niby przewodził. Jawnie wyznawali, że nie są wstanie oprzeć się naciskowi.

Napróżno Zygmunt Podlewski w gorących, to znowu gniewnych słowach starał się przedstawić szaleństwo zbrojnego powstania — bez broni, bez pieniędzy, bez należytego przygotowania. W końcu widząc bezsilność tej butnej niegdyś Rady miejskiej, prosił aby go przynajmniej zwolniono od obowiązku wyprowadzenia wprost na rzeź ludzi bezbron-

nych. Gotów jestem, mówił, jeśli mi panowie każecie, spełnić najbardziej szalony czyn osobiście, ale nie wymagajcie odemnie, abym ludzi bezbronych, a choćby tylko źle uzbrojonych, z całą świadomością jako człowiek fachowy, prowadził na stracenie.

Gdy przyszło do głosowania, w którym Podlewski nie przyjmował udziału, jeden głos padł przeciwko powstaniu. Dotąd, o ile wiem, żyje jeszcze jeden z ówczesnych wydziałowych doktor Z.L.¹⁾ niech temu zaprzeczy czy było inaczej.

Wpół nieprzytomny wyszedłem z tej złowrogiej izby. Raziła mnie, była dla mnie wprost niepojęta lekkomyślność tych ludzi, którzy popychali 'cały kraj ku przepaści. Nie dlatego bynajmniej, abym walkę z Moskwą uważał za niepodobną. Nie! o potędze Moskwy mężowie stanu kierujący losami Europy mają zbyt przesadne pojęcie. Dla cesarza Francyi, mogła ona być niepokonana, bo oślepiiony niestychanem powodzeniem, chciał ją pobić wyłącznie dla siebie, a ufny w swą gwiazdę, nie chciał pamiętać, że zostawia za sobą Francję wyczerpaną długimi wojnami i całą Europę wrogo dla niego usposobioną. W takim położeniu pierwsze niepowodzenie musiało spowodować jego upadek i zapewnić tryumf Rosyi, która odtąd zajmuje stanowisko, jakie on dla siebie wywalczył, i na długo staje się arbitrem losów Europy.

Bezpośredni sąsiedzi Rosyi mogą ją łatwo pobić i utrzymać we właściwych jej granicach. Raz w nie wtłoczona, przestanie być ciągłą groźbą dla pokoju Europy, bo przy całym swoim ogromie musi poprzestać na roli drugorzędnego państwa wpół europejskiego wpół azjatyckiego. Potęgę jej stanowią zabory w Europie dokonane, a mianowicie: Finlandya, prowincye Nadbałtyckie, Litwa, Ruś i królestwo kongresowe. Moskwa nietylko dla Europy, czemu trudno się dziwić, ale i dla nas jest pewnego rodzaju „terra incognita“. Każdego kto spojrzy na kartę geograficzną, oślepia wprost ten ogrom, od morza Bałtyckiego, od Warszawy serca Europy, aż do Oceanu spokojnego. Olbrzymie, w stosunku do przestrzeni, prawie bezładne zie-

¹⁾ Profesor uniwersytetu w Genewie dr. Zygmunt Laskowski.

mie po za Uralem¹⁾ to według mego zdania tabula rasa i dziś próżno się kusić odgadnąć, co na niej dalsza przyszłość napisze. Z olśnionych wrzekomą wielkością Rosyi, mało kto bierze pod uwagę przestrzeń pomiędzy Wołgą, Uralem i morzem Białem, stanowiącą połowę dzisiejszej Rosyi europejskiej, o słabem zaludnieniu, zamieszkałą w znacznej części przez Tatarów i ludy Uralskie, których Rosya dotąd zasymilować nie potrafiła. Śmiało można powiedzieć że nikt w Europie dokładnie nie wie, co się tam znajduje. Nauka rossyjska mało się tem interesuje! Podróże obcych uczonych znane mi, dają o tem zupełnie fałszywe pojęcie. Aby kraj poznać nie dość jest przejechać go pod opieką moskiewskich urzędników, choćby nawet na moskiewskich kibitkach i obejrzeć to, co oni raczą pokazać. Nie dość widzieć wołosnych pisarzy i wołosnych starszyn w świątecznych strojach, aby mówić o samorządzie gminnym. Trzeba ich widzieć w codziennym stroju, zawsze pianych, często bez butów, jak wobec nietylko sprawnika²⁾, ale w Syberyi wobec zasiedatiela³⁾, którego lud „Barynem“ zowie, gną pokornie karki do ziemi i każde jego żądanie, chociażby najdzowniejsze, natychmiast bezwarunkowo spełniają — aby w ten samorząd absolutnie zwątpić. Trzeba widzieć nie czoło armii rossyjskiej na manewrach lub w boju nawet, ale przyrzec się na Syberyi sotniom i całym pułkom kozackim sformowanym z tubylców, z małą przymieszką zesłanych za karę kozaków lub żołnierzy z Rosyi europejskiej, aby drwić z jej obszarów i wrzekomej niewyczerpanej potęgi.

Nie strach więc przed potęgą moskiewską przygnębił mnie moralnie, ale świadomość o braku środków, o absolutnym niepogotowaniu do podjęcia już choćby tylko dlatego nierównej walki.

Z jednej strony na oslep rwanie się do czynu, z drugiej brak jasno wytkniętego celu stąd niezdecydowanie, jakaś bezwładność wobec zbliżających się wypadków w stro-

¹⁾ W roku 1884 w Syberyi liczono pięć milionów (5,000.000) ludności; składa się ona z garstki kolonistów i tuziemców a mianowicie: Tatarów, Kirgizów, Ostjaków, Karagasów, Tunguzów, Burjatów etc.

²⁾ Naczelnik powiatu.

³⁾ Pomocnik naczelnika powiatu.

nictwie białych, nie śmiejących nawet pomyśleć o postawieniu swego veto, miało w sobie coś żywiołowego, czemu oprzeć się niepodobna. W powietrzu czuć było zawieruchę dziejową, nieuniknioną, bez możliwości określenia, jakie kręgi zatoczy i dokąd nas doprowadzi. Nie mogąc jej powstrzymać, trzeba było stanąć do walki, aby choć godność narodową ocalić. Na drugi dzień wezwany do hotelu wileńskiego, we wskazanym mi numerze zastałem kolegę uniwersyteckiego Stefana Bobrowskiego, który mi się przedstawił jako naczelnik miasta, zawiadamiając jednocześnie, że komitet centralny in gremio opuścił Warszawę, by mógł być bliżej wypadków, które niebawem rozegrać się miały, pozostawiając w Warszawie dla tymczasowego zastępstwa komisją wykonawczą pod prezydencją Bobrowskiego. Bobrowski małego wzrostu, szczupły, brunet, o rysach ostrych, o zaciśniętych ledwie widocznych ustach, zawsze małomówny zażądał, abym zrehabilitował instrukcję dla naczelników oddziałów. Gdy mu robił pewne uwagi a conto owej instrukcji, upornie milczał, w końcu żądanie swoje stanowczo powtórzył. Uczyniłem mu zadość. On wskazał mi miejsce zebrania Rady miejskiej wieczorem i uściśnieniem ręki pożegnał.

Bobrowski przez cały czas pobytu w uniwersytecie, nigdy nie był skłonny do wywnętrzania się, chociaż o brak serdeczności koleżeńskiej nikt go nie mógł posadzić. Zdawało się, że w kółku bliższych znajomych bronił którego z kolegów, a zawsze to czynił z pewną zaciętością. Jakie były jego przekonania co do spełnionego faktu powstania, z kąd przybył w tej chwili, nie wiedziałem, bo od czasu wyjazdu z Kijowa nigdy i nigdzie go nie spotykałem. Wiedziałem, że kraj kochał i to mi wystarczało, aby mu szersze na ile mu sił starczyło służyć. Po wybuchu, kilka dni przeszło jakiegoś ciężkiego wyczekiwania. Rząd nie przedsiębrał żadnych środków do stłumienia bardzo słabego ruchu. Posiadacze ziemscy b. członkowie towarzystwa rolniczego, stali na uboczu nie śmiejąc, ani ruchu potępić, ani się z nim połączyć. Lud z wyjątkiem niektórych okolic zachowywał się obojętnie. Miasta tylko i miasteczka stanęły do apelu. Partjom, mającym się sformować, za punkta zborne wyznaczono większe lasy w Królestwie.

Pierwsze wiadomości o starciu z wrogiem chociaż na kilkadziesiąt, kilkanaście było dla nas korzystnych i dostarczyły nam dość broni odebranej Moskwie, wykazały bohaterstwo rozpoczynających walkę, nie przyniosły jednak obiecujących rezultatów. Wkrótce wszakże większe siły zebrały się pod Langiewiczem, który po kilku szczęśliwszych utarczkach zwrócił na siebie uwagę wszystkich. Zebranie się większych sił pod dowództwem Langiewicza, należy przypisać więcej zbiegowi okoliczności, niż jego zdolności. Choć był to człowiek nie małej osobistej odwagi, nie posiadał zdolności organizacyjnych. Mając granicę austriacką pod bokiem i wielkie zakłady górnicze, niepotrafił z tego korzystać, a wciąż niepokoił Warszawę, domagając się wysyłki broni i kos. Bobrowski zbierał co mógł w całej Warszawie zakupił kos ile ich było i niewielkimi partjami przy pomocy urzędnika pocztowego Świeżyńskiego (poźniej powieszono) wysyłał. Była chwila, że siły zgromadzone około Langiewicza reprezentowały całe prawie powstanie.

Pewnego dnia gruchnęła wiadomość o pobiciu większych sił rosyjskich przez Langiewicza pod Goszczą, a na drugi dzień Stefan Bobrowski, zawiadamiając mnie, że komitet centralny powrócił przed kilkoma dniami wyznaczył miejsce posiedzenia rady miejskiej, na którym wręczył manifest Langiewicza o objęciu przez niego dyktatury. Była to prawdziwa niespodzianka. Bobrowski widocznie zdetonowany, starał się okazać zadowolenie, chociaż widocznie rad temu nie był. Mówiono iż Dyktator mianował pierwszym sekretarzem Agatona Gillera, drugim posła Kontaka, ministrem wojny generała Wysockiego, spraw wewnętrznych Leona Królikowskiego, a co było wskazówką że niektórzy członkowie komisji wykonawczej (Giller i Królikowski) bez porozumienia się z centralnym komitetem byli wtajemniczeni w intrygę utworzenia dyktatury. Komitet centralny jakkolwiek nie był zadowolony z niespodzianki jaką była dla niego dyktatura, po przeprowadzonej dyskusji uznał fakt spełniony. Wydał odpowiednią odezwę, a dyktatorowi przez wysłanych delegatów, Gillera i Janowskiego postanowił przedstawić odpowiedzialność, jaką na siebie przyjął i postawił warunek że ustanowienie władz administracyjno-wykonawczych ma nastąpić w porozumieniu się z komitetem

centralnym. Delegowani przybywszy w Sandomierskie do-
wiedzieli się, że Langiewicz już został aresztowanym przez
władze austriackie i jest osadzony w Tarnowie, gdzie wi-
dząc się z Langiewiczem, jeden z delegatów (Janowski) za-
żądał aby dyktator na piśmie zrzekł się władzy, czego się
jednak wzbraniał uczynić. Wtedy to komitet centralny
wysłał do Galicyi Bobrowskiego, a tenże w Krakowie wy-
dał odezwę z swoim podpisem uwiadamiając, że Kom. Centr. N.
ponownie władzę nad krajem przyjmuje.

Po powrocie do Warszawy mówił mi Bobrowski, że gdy
się spostrzegł, iż biali przygotowują się do ogłoszenia ja-
wnego rządu narodowego, po za granicami kraju i w tym
celu mają już gotowy manifest, prosił ich o wstrzymanie
się z ogłoszeniem go do wieczora, bo chociaż nie ma nic
przeciwko temu, oczekuje lada chwila instrukcyi i upowa-
żnienia od komitetu; a uzyskawszy zgodę, udał się natych-
miast do jednej z drukarni krakowskich i kazał pospiesznie
odbić swą odezwę kilkowierszową, o której wyżej wspomnia-
łem. Przed wieczorem już była rozrzuconą w Krakowie,
a na drugi dzień w Warszawie. Odezwę przyjęto dobrze!
Każda inna władza postawiona obok komitetu zrobiłaby fiasco;
zrozumieli to zwolennicy jawnego rządu i zaniechali zamiaru.

Bobrowski zaraz po przyjeździe do Krakowa, wchodząc
do Wysockiego spotkał Grabowskiego, wychodzącego w przed-
pokoju, a nazwawszy go intrygantem, pogroził mu papie-
rami które miał w ręku. Grabowski uczuł się obrażonym
i wyzwał go na pojedynek. Bobrowski odmówił, zarzucając
mu szwindel ze sprowadzeniem broni.

Adam hr. Grabowski zajmując jakieś stanowisko w że-
gludze parowej, wziął pieniądze od komitetu i zobowiązał
się statkami broń sprowadzić. Czy broń kupił rzeczywiście
i jaką niewiadomo, to tylko pewna, że komitet ani broni,
ani pieniędzy nie otrzymał; a Grabowski usprawiedliwił
się rewizyą niespodziewaną statków i konfiskatą broni; o tej
konfiskacie istotnie mówiono wówczas w Warszawie.

Miał Grabowski protektorów w zajściu z Bobrowskim.
Narzucono sąd honorowy ¹⁾ który orzekł, że Bobrowski

¹⁾ W sądzie tym zasiadali generał Kruszewski, poseł sejmu
berlińskiego Wolniewicz, i poseł sejmu galicyjskiego Karol Rogawski,

nie ma prawa odmówić pojedynku i stanąć powinien. Zawiadomiony o wyroku sądu honorowego, Bobrowski postanowił jechać do Krakowa i stanąć. Starałem się odwieść go od powziętego zamiaru, tłumacząc, że osobiste sprawy z obowiązku należałoby odłożyć do spokojniejszego czasu; upierał się przy wyjeździe...

Bobrowski przed wyjazdem na Radzie miejskiej złożył chwilowo władzę naczelnika miasta w ręce jednego z wydziałowych T. Zienkowicza, z zastrzeżeniem na wypadek gdyby nie wrócił, aby ten ustąpił miejsca jednemu z wydziałowych, którego wskazał. Rezultatem pojedynku była śmierć Bobrowskiego. Nawiasowo zaznaczam, że Bobrowski był krótkowidz w najwyższym stopniu, pojedynek odbył się na pistolety, pomimo że o wadzie wzroku Grabowski i sekundanci doskonale wiedzieli.

Komitet centralny korzysta ze śmierci Bobrowskiego. Zienkowicza utrzymuje na zajętych chwilowo i wypadkowo stanowisku. Odtąd władza naczelnika miasta, redukuje się do bardzo skromnej roli pośrednika pomiędzy miastem a komitetem. Miasto powoli traci swój wpływ nieraz decydujący, jaki miało gdy Bobrowski stał na czele organizacji pomimo że Rada miejska starała się go utrzymać wszelkimi siłami.

W tym czasie Napoleon III. pod naciskiem ludności Paryża i zawartej konwencji Prus z Moskwą rozpoczyna porozumiewać się rządami europejskimi w sprawie interwencji, stara się skłonić Austryę do swoich widoków, a od Anglii uzyskać moralne poparcie. Następują wreszcie noty w sprawie polskiej, prasa zagraniczna staje w obronie powstania. W kraju zmiany na lepsze, biali już w początkach lutego złączyli się jawnie z powstaniem. Litwa w końcu marca chwyciła za broń a Ruś w maju idzie w jej ślady. Następują najświetniejsze chwile powstania. Oficerowie zagraniczni ofiarowują swoje usługi. Stary Garibaldi i Kossut piszą do komitetu listy, które przywozi Scarpa adiutant Garybaldiego. Scarpa i Menotti Garibaldi (syn) proponują legion włoski. Kossut oświadcza, że chociaż w danej chwili nie może liczyć na silne stronnictwo w swojej ojczyźnie, ma jednak dość przyjaciół w armii austriackiej, aby stworzyć oddział węgierski. W kraju ludzie posiwali, jak prezes

saądu kryminalnego Wieczorkowski prosi o pracę i zajmuje stanowisko prezesa komitetu pań. Wielu nawet naszych magnatów oddaje się na usługi komitetu. Jednocześnie rząd narodowy ulega wpływom białych, nie chce wiązać się z rewolucją europejską, bo to mogłoby uniemożliwić interwencją. Rezultatem podobnych poglądów, były długie do niczego nie prowadzące pertraktacje rządu narodowego ze Scarpa. Nie mogłem zrozumieć tej taktyki i tych wstrętów do rewolucji. W mojej mózgowicy podobnego rodzaju lojalność i powstanie, były to dwa pojęcia wzajemnie się wykluczające. Raz schwyciwszy za broń, wolno się sprzymierzyć z kimkolwiek, byle zwyciężyć. Byłem i jestem tego przekonania, że tylko rozwój powstania do poważnych budzących zaufanie rozmiarów, mógł by doprowadzić do interwencji. Oburzało mnie więc postępowanie niektórych członków rządu narodowego. Pierwszy raz przychodziła mi do głowy myśl buntu przeciwko kierunkowi, który uważałem za zgubny.

Okoliczność dała mi do tego sposobność. Pewnego razu przybył do mnie okręgowy Stanisław Olszański, zawiadamiając że jeden z naczelników sekcji, student petersburskiego uniwersytetu Waszkowski, wszedł w stosunki z Janowskim i Hebda kasjerami komisji skarbu, nadarza się więc sposobność zabrania kasy głównej. W pierwszej chwili uważałem to za mrzonkę, ale gdy nie przestawał zapewniać mnie o rezultacie, żądając jedynie upoważnienia dla Waszkowskiego, nie odmówiłem takowego prosząc o tajemnicę w pierwszej chwili nawet nie w zamiarze skorzystania z tego aby mając pieniądze w rękę, podyktować Rządowi narodowemu warunki, pod jakimi gotów jestem je oddać, ale wprost z obawy, aby w razie nieudania się przedsięwzięcia nie wyjść na dudka.

Nazajutrz około godziny 10 rano, zdano mi raport o zabraniu kasy i umieszczeniu jej tymczasowo w jednym z domów na ulicy Krochmalnej. Zapytałem Olszańskiego czy na Waszkowskiego liczyć można, a otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź, powiedziałem mu co mam do zarzucenia Rządowi narodowemu i że chciałbym skorzystać ze zdarzonej sposobności, aby go zmusić do pewnych ustępstw. Udałem się natychmiast do K. M. wiedząc, że nie jest

zadowolonym z obecnego położenia, zabezpieczywszy pieniądze przez przeniesienie ich z ulicy Krochmalnej do Po dłuższej pogawędce z K. M. widząc, że poglądy moje na ówczesne położenie w zupełności podziela, powiedziałem mu, że posiadam pieniądze, o czym dotąd wie zaledwie kilka osób. Porozumieliśmy się łatwo. On miał się udać do rządu narodowego i podyktować warunki, pod jakimi gotowiśmy oddać zabraną kasę. Układy szły twardo. Naznaczono zebranie w hotelu drezdeńskim, gdzie ostatecznie miano sformułować program dalszego działania z uwzględnieniem naszych żądań.

Czy wtajemniczony także K. Str. nie dochował tajemnicy napewno nie wiem, wtedy jego podejrzewałem; dość że w połowie posiedzenia zjawił się w sali niejaki Lempke, kiedyś dobre narzędzie w ręku Stefana Bobrowskiego, od czasu jednak śmierci jego, głaskany przez komitet, zdradzający coraz bardziej chęć do samodzielnego występowania i pokazując na dziedzińcu hotelu pojedynczo snujących się ludzi, oświadczył że to są żandarmi sprowadzeni dla tego, aby każdego upornego ze zgromadzonych raz na zawsze się pozbyć. przy czem dodał, że pieniądze mają być oddane bez żadnych zastrzeżeń. Mógł to być manewr komitetu, chociaż wiedząc o niechęci Lempkego do członków komitetu i nachylaniu się ku zwolennikom Mierosławskiego więcej podejrzewałem K. Str.

Na takie dictum dalsze posiedzenie okazało się niemożliwym, nastał rząd nowy, zwany czerwonym, złożony przeważnie z prawników, zreformowanie rządu według mojej i M. myśli należało odłożyć do lepszej chwili aby zażegnać tylko anarchię grożącą wybuchem.

Fakt zabrania kasy komisji skarbu wymownie świadczy, że nie wszystko co się działo, działo się z inicjatywy i za wiadomością komitetu. Waszkowski od dawna traktował z Hebda i Janowskim, którzy z początku nie chcieli się zdecydować na oddanie kluczy od kasy. W końcu i ich olśniła możliwość interwencji i odcisk kluczy na wosku dali Waszkowskiemu. Ten klucze kazał zrobić i mając ich po dwa egzemplarze, oddał im jedno do wypróbowania. Okazały się dobre. Czas jednak potrzebny do zrobienia kluczy wystarczył, aby starym, rutynowanym, a co najważniejsza

nieskazitelnym urzędnikom, odebrać chęć bądź co bądź hazardu. Gdy się Waszkowski zwrotu kluczy domagał, zwlekali pod różnymi pozorami w końcu wręcz odmówili. Wtedy Waszkowski, pokazując drugie klucze oznajmił im, że mogą robić co im się podoba, on zaś potrafi kasę zabrać, uważa się jednak za zwolnionego z wszelkich zobowiązań, jakie co do zabezpieczenia ich osób przyjął na siebie, a mianowicie bezpiecznego przewiezienia wszystkich za granicę. Stanowczość Waszkowskiego zrobiła swoje -- Hebda i Janowski pogodzili się z losem, prosząc aby im ułatwił wyjazd.

Na drugi dzień rano, przy pomocy niejakiego C. geometry komisji skarbu, kasa była zabrana. Udział C. był koniecznym, bo ilekroć z kasy w większej ilości wywożono pieniądze, robiono to zawsze wobec jednego z urzędników, który ludziom wynoszącym worki lub paczki towarzyszył w mundurze, przez korytarze gdzie stała warta. Waszkowski sam osobiście zajął się otwarciem skarbcu. Ponieważ klucz w kłódce złamał się przy jej otwieraniu, zmuszony był po trzykroć wybiegać do miasta, aby się zaopatrzyć w piłki konieczne do przepiłowania ucha kłódki. W środku ucha był skręcony drut stalowy i piłki jedna za drugą pękały. W końcu udało się skarbiec otworzyć i pieniądze przed dziewiątą rano zabrać.

Komisja skarbu na drugi dzień ogłosiła o zabraniu kasy z oznaczeniem sumy. Po obliczeniu wziętych z kasy pieniędzy, okazała się różnica na 30.000, jeżeli się nie mylę. Przy oddaniu funduszu rządowi narodowemu postawiono pytanie: czy ogłosić sumę rzeczywiście zabraną? czy też przyjąć na siebie odpowiedzialność za ogłoszoną przez komisję skarbu? Mając na uwadze, że po większej części były to papiery wartościowe a mianowicie listy zastawne Towarzystwa kredytowego ziemskiego, że w pośpiechu nie trudno było uronić dwa lub trzy listy zastawne, między którymi było wiele na 20 i 10 tysięcy rubli srebrem, postanowiono ogłosić sumę, jaka się rzeczywiście dostała do rąk rządu narodowego, co też zrobiono. Ogłoszenie w nr. 5. Dziennika Narodowego brzmiało:

Rząd narodowy.

Zadaniem rządu narodowego jest nie tylko rozwijać wszelkie środki mogące wzmocnić powstanie, ale zarazem

osłabiać wroga pozbawianiem go zasobów potrzebnych do walki. Fundusze kraju dla kraju tylko, dla jego wyswobodzenia służyć powinny.

Z tych powodów Stanisław Janowski i Stanisław Hebda, urzędnicy komisji skarbu, na rozkaz rządu narodowego sumę złotych polskich 24,012.992 gr. 20 z kasy głównej do kasy Rządu narodowego przelali.

Podając o tem do wiadomości publicznej Rząd narodowy oświadcza, że urzędnicy Stanisław Janowski i Stanisław Hebda dobrze się zasłużyli krajowi i z rozkazu Rządu ze specjalną misją wysłani zostali za granicę.

Warszawa, dnia 15. czerwca 1863.

Późniejsze szczegółowe sprawozdanie komisji skarbu, brakującą sumę wykazało w złocie; ponieważ w zabranej i oddanej Rządowi narodowemu sumie, półimperjałów nie było, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że zostały skradzione. Kto był sprawcą kradzieży, żadnych danych nie było. Wypadek odkrył złodzieja, a był nim nie kto inny tylko C...

W okolicach Częstochowy, przechodzący oddział wojska, zatrzymał powóz w którym jechał podróżny. Dowódca oddziału kazał powóz zrewidować. W podwójnym dnie powozu znalazły się półimperjały. Pieniądze znalezione zabrano i wraz z podróżnym odstawiono pod konwojem do cytadeli warszawskiej. Podróżnym był właśnie C... O zaarrestowaniu swoim i zabraniiu znalezionych w powozie półimperjałów, doniósł już z więzienia Rządowi narodowemu. W zawiadomieniu przyznał się do grzechu, zapewniając w kartce swojej zupełne bezpieczeństwo, dla osób biorących udział w zabraniiu kasy. Leżało to w jego własnym interesie, bo twierdząc że pieniądze były jego osobistą własnością, bronił przedewszystkiem własnej skóry. Nie jestem w stanie rozstrzygnąć kwestyi, czy komisya śledcza dała się przekonać, czy też z jakichś nieznanych mi powodów, udawała wiarę w sumy posagowe, wypłacone w złocie i przewożone w podwójnym dnie powozu, dość, że C... wysłany był na posilenie na Sybir, a pozostała żona podobno upominała się u Rządu o zwrot skonfiskowanego jej posagu. Jaki był rezultat jej zabiegów — nie wiem.

Hebda, Janowski i jeden z woźnych mający udział w zabraniiu kasy, wyjechali szczęśliwie za granicę. Drugi

woźny spóźnił się na pociąg i pozostawszy w Warszawie, nie wiedząc do kogo udać się o pomoc, zrozpaczony, tegoż samego dnia wieczorem życie sobie odebrał. Waszkowski po upadku powstania, aresztowany, jako naczelnik miasta, powieszony został.

W najważniejszej chwili zbrojnego ruchu, łatwo zdobyte pieniądze, nie były należycie spożytkowane. Rząd narodowy, zamiast korzystać z czasu, działać energicznie i przyjąć propozycję kilku poważnych bankierów, którzy ofiarowali bezinteresownie swoje usługi w wymianie listów zastawnych na gotówkę, (bo jak powiedziałem wyżej, cały prawie fundusz kasy głównej był ulokowany w papierach towarzystwa) dopóki Towarzystwo nie będzie zmuszone do ogłoszenia numerów listów zastawnych, dla zachowania pozorów, traktował ze Scarpą i stawiał mu coraz dziwniejsze propozycje. W końcu niby zdecydowano się dać pieniądze na broń z warunkiem, aby oddziały sformowane wkroczyły na Ruś. Rozumie się, Scarpa propozycji nie przyjął, oświadczając że gotów jest walczyć za sprawę polską, że nie ma nic przeciwko temu, jeżeli się to okaże możliwym, aby przejść na Ruś, nie przyszedł jednak na straconą pikietę. W tym bowiem czasie przysłała wiadomość o rozbiciu na Rusi oddziału, na czele którego stał Wysocki, na drugi dzień po przejściu granicy.

Tymczasem Towarzystwo kredytowe przyparte do muru spis numerów listów zastawnych zabranych z kasy głównej ogłosiło i ogromna suma od razu zamieniła się w stos pergaminu bez żadnej wartości. Zabrana w niewielkiej ilości gotówka i kupony bieżące, które Towarzystwo kredytowe przed ogłoszeniem nr. wypłaciło, były użyte na potrzeby powstania. Uważam sobie za obowiązek wspomnieć, że w czasie pertraktacji ze Scarpą w liczbie członków Rządu narodowego był Agaton Giller, jeden z najczerwieńszych, a jednak ludzi tych odepchnięto, hołdując wyżej wspomnianej, wrzekomo arcydyplomatycznej zasadzie nie kompromitowania się w obec gabinetów.

Odtąd znać pewnego rodzaju oziębienie w prasie zagranicznej, coraz częściej dają się słyszeć głosy, że powstanie w Polsce nie jest powstaniem narodowym, a klerykalno-szlacheckim, co silnie podtrzymuje dziennikarstwo moskiew-

skie. Car wysyła na Litwę Murawiowa, oddając mu cały kraj na łaskę i niefaskę. Murawiov energicznie korzystał z udzielonego mu pełnomocnictwa i postępowaniem swoim wskrzesił czasy Iwana Groźnego. W krótkim bardzo czasie zdławił powstanie litewskie i rzucił na powierzoną mu prowincję lęk niesłychany. Za podanie chleba oddziałowi powstańców przez mieszkańców wsi, a raczej osady szlacheckiej „Pruszanek“, w czasie, gdy cała ludność była z powodu dnia świątecznego w kościele, otoczył wojskiem osadę i kazał ją spalić. Wracających z kościoła żołnierze pakowali na przygotowane podwozy, nie wyłączać ani kobiet ani dzieci i wieźli na Sybir bez sądu. Pogorzelnisko wreszcie kazano zorać, aby śladu po wiarołomnej Pruszanke nie pozostało na ziemi.

W sierpniu aresztowano w Wilnie Oskara Awejdę b. członka komitetu, a następnie komisarza pełnomocnego rządu narodowego na Litwie. Na jego miejsce, jako komisarza, wysłano do Wilna b. studenta kijowskiego uniwersytetu, nauczyciela gimnazjum w Warszawie, Głowackiego¹⁾ Jak strasznie wówczas musiało być życie w Wilnie, dowodzi fakt, że Głowacki, zobaczywszy cały ogrom klęsk, jakie Murawiov na kraj sprowadził — zwarjował w kilka dni, uciekł z Wilna i przybywszy do Warszawy, uważał siebie za zdrajcę kraju i po części za sprawcę tych klęsk, poszedł do cytadeli, aby się oddać w ręce komisji śledczej. W drodze spotkał go jakiś uczciwy człowiek i zamiast poprowadzić do cytadeli, czego od niego Głowacki żądał, przyprowadził go do mnie. Głowacki chociaż mój dobry kolega uniwersytecki, widocznie mnie nie poznawał, na pytania moje nie odpowiadał, szeptał tylko wyrazy: „Zdrajca, Murawiov, Litwa, cytadela“, czasem ciężko wzdychał i znowu z ust jego spadało fatalne słowo „Zdrajca“. Zapewniwszy mu opiekę i dozór ciągły, pobiegłem z prośbą do dyrektora komisji wyznań i oświecenia Michała Grabowskiego, którego całą rodzinę znałem z czasów pobytu mego w uniwersytecie. Grabowski był ciężko chory, o czym nie wiedziałem,

¹⁾ Zdaje się Leona, brata literata piszącego pod pseudonimem Prusa (P. W.)

prosiłem o widzenie się z żoną, której proźbę moją o Głowackiego przedstawiłem. Szło mi o wystanie go za granicę dla poratowania zdrowia na koszt skarbu. Zaczna pani Michałowa, zapewniła mnie, że nie omieszką skorzystać z pierwszej zręczności, aby interes mężowi polecić, który pomimo choroby nie przestał zajmować się interesami. Dotrzymała słowa, bo w dni kilka Głowacki wyjechał za granicę.

Tak zwany rząd czerwcowy chcąc usunąć zdarzać się mogące nadużycia z lekkomyślności lub zawiści powstałe, przepisał kodeks karny wojskowy i procedurę postępowania z oskarzonymi, a dla tego ustanowił „Trybunał rewolucyjny...“¹⁾

W początku września nastąpił zamach na rząd narodowy ze strony Chmielińskiego i szajki terrorystów, którzy go otaczali. Nie wiem z jakich pobudek spiskowcy chcieli i mnie w to wtajemniczyć. Pewnego dnia około godziny 12 w nocy w wrześniu 1863 r. zjawiła się do mnie służąca z niższego piętra, mówiąc, że jakiś pan chce się ze mną widzieć i czeka w mieszkaniu jej pani. Poszedłem i zastałem w eleganckim saloniku Ign. Chmielińskiego, który bardzo często przemykał się z za granicy, nic nie robił, a zawsze wicherzył. Po przywitaniu tonem bardzo stanowczym oświadczył mi, że Rząd narodowy jest niedołączny, przyjechał więc go usunąć i władzę złożyć w godniejsze ręce. Mówiąc zapalał się coraz bardziej i upewniał, że nie cofnie się przed niczem, choćby mu przyszło wysztyletować wszystkich opornych. W końcu dodał, że rachuje na poparcie miasta i dla tego gotów mnie w zamiary swoje wtajemniczyć, zapraszając na jutrzejsze zebranie do doktora Kaczkowskiego w alei Jerozolimskiej na godzinę 11 rano. Przy czem wręczył mi adres doktora.

Gdy on z nabiegłymi krwią oczyma groził, starałem się go przekonać jak zgubne są podobnego rodzaju zamachy, że sprawa na tem mocno cierpi, bo energia jednostek wy-czerpuje się, uczciwi ludzie zniechęcają się i opuszczają ręce że nie ma najmniejszej pewności, iż nowy Rząd lepiej i su-

¹⁾ W rękopismie znajdują się luki. Praca niniejsza nie jest wykończoną ale raczej zbiorem różnych notatek. Ze względu jednak że zawiera wiele wiadomości nieznanych, uważamy za pożyteczne ogłosić w naszym wydawnictwie, a to mimo że autor pisząc z pamięci opuszczał nieraz ważne szczegóły, przedstawiał opowiadane zdarzenia i wyprowadzał wskutek tego mylne poglądy. (Przyp. Wyd.)

mienniej wywiąże się z przyjętych obowiązków; że chciałbym wreszcie wiedzieć, kogo mianowicie prowadzi. Nie chciałem się wypowiedzieć, powtarzając zaproszenie na zebranie.

Stawiłem się o naznaczonej godzinie. Salon i całe mieszkanie doktora było pełne ludzi różnego stanu i wieku. Sam gospodarz o pięknych sympatycznych rysach twarzy, od dawnego czasu sparaliżowany, nie zajmował się praktyką. Nie mogąc z powodu choroby brać czynnego udziału w organizacji, chętnie przyjmował u siebie ludzi oddanych sprawie narodowej bez względu na ich barwę.

Ponieważ zebranej tu opozycji szło o radykalną zmianę członków rządu, zarzutom więc końca nie było. Żaden jednak z przemawiających, wytykając błędy, często oskarżając o zdradę, nie stawiał programu na przyszłość, jak również nie wskazywał swoich kandydatów, mających zastąpić ludzi odsadzonych od czci i wiary, a wchodzących do składu rządu narodowego. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że zebrani postanowili bądź co bądź zrobić awanturę, której ani doniosłości, ani celu jasno nie rozumieli. Pragnąc uniemożliwić przewrót, próbowałem, nie potępiając zamiaru przekonać ich, że radykalna zmiana do celu ich nie doprowadzi, że zamiast złemu zaradzić, pogorszą go jeszcze bardziej, sekretarza bowiem z konieczności muszą zostawić, a ten niechętny dla nowych członków rządu, może ich na każdym kroku postawić w położeniu kłopotliwym, dając nie dość dokładne wskazówki, gdzie się mianowicie adresować, aby jak najprędzej, choćby najzbawienniejszą myśl urzeczywistnić. Sekretarz, budowniczy Janowski, oddawna pełniący te obowiązki, był chodzącym archiwum tak komitetu centralnego, jak później rządu narodowego, o czym wiedzieli ci panowie i dlatego jego tylko postanowili zatrzymać. Starałem się skłonić ich do porzucenia myśli o zmianie wszystkich członków. Proponowałem, aby oświadczając Rządowi narodowemu w imieniu swej partii, że nie mają zaufania do rządu, domagali się usunięcia jednego członka i wprowadzenia na jego miejsce człowieka, któremuby oni ufali. Chcąc ich ostatecznie skłonić ku temu, przyznałem w zasadzie potrzebę zmiany, a rozwijając przed nimi bardzo szczegółowo mój projekt, kładłem nacisk na tę okoliczność, że w krótkim czasie człowiek któremuby ufali po-

trafi zdobyć od Janowskiego potrzebne mu wiadomości, a mając w ręku wszystkie nitki tej ogromnej sieci, nasutej na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej, da im możliwość radykalnego przewrotu, bo usunięcia i Janowskiego.

Usiłowania moje były daremne! Po krótkiej chwili wahania, postawiono mi kategoryczne pytanie: czy mogą liczyć na współudział miasta? W odpowiedzi równie stanowczo zapytałem o skład przyszłego rządu? Po chwilowem milczeniu starano się zbyć mnie ogólnikami, w końcu padło nazwisko doktora Br. Na zapytanie czy konferowano z doktorem B. i czy jest pewność, że zaproponowane mu stanowisko przyjmie? dano mi odpowiedź przeczącą. Wysłunięto drugie nazwisko, dziś już go nie pamiętam, ale zdaje mi się jednego z profesorów szkoły głównej, z którym jak się pokazało żaden z tych panów nie traktował. Rozdrażniony do ostateczności, oświadczyłem tym panom, że albo są względem mnie nie szczerzy, lub też na tyle lekkomyślni, że chcą sobie zrobić zabawkę z mającego się dokonać przewrotu. Wtedy jeden z obecnych, stawiając pytanie: „Czyż mało mamy pomiędzy sobą ludzi godnych zająć podobne stanowiska?“ zaczął wymieniać nazwiska obecnych. Odezwanie się to zyskało ogólną aprobatę. Wielu z zebranych, a z wymienionych wszystkich znałem, ale ani jeden według mego przekonania, kwalifikacji na członka rządu nie tylko nie posiadał, ale co gorsza należał do kategorii zapoznanych wielkości, których w podobnie burzliwych czasach, nigdzie chyba nie braknie. Z gniewem prawie rzuciłem w twarz wszystkim tym panom, że do takiej roboty ja osobiście nigdy ręki nie przyłożę, a mam nadzieję, że i organizacja miejska popierać jej nie zechce.

Na drugi dzień rząd był zmieniony. Do składu nowokreowanego weszli: Chmieliński et contortes, a ja rano przed wyjściem z własnego mieszkania spotkałem w przedpokoju draba, który mi chciał wręczyć kopertę z pieczęcią trybunału rewulucyjnego. Ponieważ na zapytanie: Kto Pan jesteś? i od kogo mi list przynosisz? nie dał odpowiedzi, koperty nie przyjąłem dodając, że nie mam zwyczaju przyjmować listów anonimowych.

Po powrocie do domu, znalazłem tęż samą kopertę starannie wsuniętą pod drzwi mieszkania. W kopercie

było ostrzeżenie trybunału rewolucyjnego, że wszelkie knowania przeciwko nowemu rządowi narodowemu śmiercią karane będą. Miasto przyłączyło się — pozostałem poza organizacją. W parę tygodni potem, jeżeli nie wcześniej, Chmieliński wyniósł się za granicę, bo w kraju nie czuł się dość bezpiecznym. Nowi członkowie Rządu udawali się często do swoich poprzedników z prośbą o radę: co robić? Ci więc ostatni uważali za właściwsze sami pracować, niż dawać wskazówki i znowu zajęli swe miejsca. Coraz krytyczniejsze położenie spowodowało dyktaturę Traugutta z jednoczesnym utworzeniem czterech wydziałów: Spraw wewnętrznych, wojny, finansów i spraw zagranicznych. Na czele każdego wydziału stał dyrektor i miał do pomocy dwóch lub więcej, stosownie do potrzeby referentów.

* * *

Tymczasem zabiegi Napoleona nie doprowadziły do żadnego rezultatu. Postawa Prus, których już wówczas głównym kierownikiem był Bismark, przeszkodziła temu. Austria zamknęła granicę. Po zgnieceniu powstania na Litwie Gorczakow dał ostateczną odpawę Napoleonowi. Odwołanie się jego do kongresu europejskiego, pozostało głosem wołającego na puszczy!

Gabinet petersburski z chwilowego popłochu oprzytomniał. Polityka pojednawcza Wielopolskiego była mu już niepotrzebną. Los jego i wielkiego księcia był już zdecydowanym. W. księcia odwołano. Wielopolski rozgorączony podał się do dymisyi i nazawsze kraj opuścił. Przysłany do Warszawy niedługo przedtem, bez żadnej wyraźnej misyi hr. Berg, został zamianowany Namiestnikiem, Trepów jenerał policmajstrem, coś w rodzaju naczelnika rządu cywilnego. Ci dwaj wzięli się energicznie do uspokojenia kraju. Część wojsk stojących na Litwie, tam już niepotrzebna, wkroczyła do Królestwa. Trepów okazał wiele zręczności na nowem stanowisku. Rozporządzeniami swemi resztki organizacyi tak ścieśnił że ledwie się poruszać mogła. Policję liczebnie znacznie powiększono, zasilając ją wysłużonymi żołnierzami przeniesionymi wprost z armii. Coraz częściej zaczęto urządzać istne obławy po ulicach miasta na przechodzących łapać podejrzanym i nie podejrzanym. Robiono to cza-

sami i dawniej, z tą jednak różnicą, że przedtem po przetrząśnięciu kieszeni każdemu zatrzymanemu u komisarza cyrkułu, puszczano go do domu, jeżeli nic przy nim nie znaleziono, w przeciwnym razie odsyłano do cytadeli. Teraz wszystkich odprowadzano do aresztu przy biurze policmajstra miasta Warszawy, gdzie zorganizowano komisję do prowadzenia pierwiastkowego śledztwa. Przy kim znaleziono jakie papiery tego pod różgami badano, a różg nie szczędzono. Więzienie przy sądzie policyi poprawczej na ulicy Dzikiej zamieniono na więzienie polityczne. Funkcyonowały tam dwie komisye. W jednej prezesem był Tuchołko i miał do pomocy Zdanowicza, w drugiej Rozwadowski. Pierwsza, brutalna, nie cofała się przed niczem, aby wydobyć zeznanie, druga pod Rozwadowskim łagodniejsza, dbała o pozory, liczyła się z opinią; odsyłano do nich mniej winnych. Nie było to bez celu. Wieści rozchodzące się z cytadeli o komisji Tuchołki, były tłumione wieściami z komisji Rozwadowskiego, przez co pierwsze wydawały się mniej prawdopodobne.

Berg otoczony konnym konwojem, jeździł codziennie w odkrytym powozie w aleje Ujazdowskie i z powrotem do Zamku, gdzie jako namiestnik zamieszkał. Tych co mu się nie kłaniali policya aresztowała. Pewnego dnia wracając do domu, na nowym świecie spostrzegłem nadjeżdżającą kawalkadę i chcąc uniknąć spotkania, zwróciłem na ulicę Warecką. Zaledwie uszedłem kilkanaście kroków, gdy rozległ się straszny huk, niby łoskot walących się olbrzymich rusztowań. Rzuciłem się nazad ku Nowemu światu i w miejscu, gdzie ulica się zwęża, pomiędzy domem niegdyś Staszycza i Zamojskich z drugiej strony, w samym wylocie ulicy spostrzegłem gęsty słup dymu i kurzu, który na całą wysokość domów niby ścianą zamykał ulicę. Był to rezultat bezmyślnie urządzonego zamachu na Berga za pomocą bomb. Zamach ten urządził Chmieliński; chciał on przez to okazać siłę nowego rządu który był przez niego utworzony.

Byłem już bardzo blisko od miejsca wypadku, a jeszcze nic nie widziałem, co działo się w głębi tego białego brudnego słupa z dymu i kurzu. Gdy dym podniósł się w górę a kurz opadł spostrzegłem w mgle jeszcze nieruchomy w koło powozu Berga konwój i jego samego stojącego w powozie. Konie i ludzie jak gdyby skamienieli. Berg zwykle błądy;

miał twarz kredowo-białą. On jednak pierwszy oprzytomniał i ruchem ręki dał znak furmanowi, aby jechał naprzód. Od cęchausu wysłał oddział piechoty na miejsce wypadku, sam zaś pojechał do Zamku. Berg wyszedł cało, z konwoju o ile pamiętam jeden czy dwa konie były lekko ranne.

Przez cały ten czas, fale przechodniów przyływały i odpływały od miejsca wypadku, każda zostawiając na miejscu pewny procent ciekawych. Policja oszołomiona nic nie przedsiębrała. Dopiero zjawienie się biegnących żołnierzy, według zwyczaju rozbijających przechodniów kolbami, przypomniało jej, że należy chwycić każdego, kto im pod rękę popadnie. Ciekawi rozbiegli się na wszystkie strony. Dom i pałac Zamojskich otoczono wojskiem. Mieszkańców powyciągano z mieszkań, spędzono na dziedziniec i po przeszukaniu obudwu domów, gdy już w nich żywej duszy nie zostało, otoczono wojskiem i odprowadzono do cytadeli. Po uwolnieniu się od świadków, zaczęła się gospodarka żołnierzy w tak łatwo zdobytych domach. Z okien porzbijanych wyrzucano na ulicę połamane, lub druzgocące się na bruku meble, nawet fortepiany, z bibliotek książki, wpród porwane na strzępki. Rumowisko rośło, piętrzyło się co raz wyżej. O zmroku kazano go podpalić. Luna zaimprovizowanego pożaru złowrogo świeciła nad miastem prawie do świtu, szerząc postrach, bo większość nie wiedziała, ani co, ani gdzie się pali, a wyjście na ulicę o tej porze było prawie absolutnie wzbronione. Nie sami jednak żołnierze oddawali się rabunkowi. Odbywał on się pod kontrolą i kierunkiem oficerów, bo gdy rzeczy mniej kosztowne wyrzucano na ulicę, cenniejsze całą noc przewożono furgonami wojskowymi do cytadeli. Kto zna wielkość dochodowego domu hr. Andrzeja Zamojskiego i pałacu wraz z obszernymi oficynami łatwo sobie wyobrazi, że można się było bawić wyrzucaniem sprzętów od godziny czwartej do wieczora, a jednak nie wyrzucić nic prawie, coby miało większą wartość. Jak oględnie dokonywano rabunku dowodzi fakt, że wyrzucając książki i masę papierów, które dla rabujących nie mogły mieć żadnej wartości, schowano jednak listy zastawne Towarzystwa kredytowego, w których lokowane były fundusze wdów i sierót, zostających pod opieką hr. Zamojskiego. Dostały się one komendantowi cytadeli generałowi Lewi-

kiemu, który kupony od nich w kilka miesięcy przedstawił do zrealizowania w Towarzystwie kredytowym za pośrednictwem swego służącego. Ponieważ numera zniszczonych, jak należało przypuszczać, listów w dniu rabunku pałacu, były Towarzystwu wiadome, służącego zaaresztowano. Skandal był zbyt głośnym, Lewicki się otruł.

Rok 1864 rozpoczął się strasznie. Nagonki i łapania po ulicach stały się rzeczą codzienną. Doraźne badanie pod różgami u policmajstra dostarczało co raz nowych więźniów. Upadek na duchu szerzył się. Przy rządzie narodowym oprócz wyżej wspomnianego Janowskiego był quasi jego pomocnik niejaki Ławcewicz, któremu nie tajny był, ani każdorazowy skład rządu, ani organizacja miejska i prowincjonalna. Ławcewicz przypadkowo schwytany na ulicy z kompromitującymi go mocno papierami, odprowadzony do aresztu przy biurze oberpolicmajstra, bity bez miłosierdzia różgami dał możliwość przyaresztowania kilku osób z sekretaryatu rządu a gdy w tym samym czasie aresztowano i braci Lauberów, to połączone zeznania Ławcewicza i Lauberów zadały stanowczy cios organizacji w Królestwie. Traugutt aresztowany w kwietniu stał się przedmiotem wszelkich zarzutów, sprawcą jedynym wszystkiego co tylko zarzucano innym będącym pod śledztwem.

Liczne szczyrby w organizacji oddawna już powstawały. Pozostali jej członkowie starali się rozpacznie wszelkimi siłami zapełnić je lecz napróżno, bo zabrakło już dawnej wiary w sprawę, nie było iskry nadziei na lepsze jutro. W końcu 1863 roku zjawił się u mnie Rafał Krajewski z propozycją. abym zapomniał osobistej urazy i stanął znowu w szeregu dla podtrzymania walącego się gmachu. W innych warunkach w chwili powodzenia, kto wie czy nie zasłoniłbym się owym orzeczeniem Trybunału rewolucyjnego, chociaż wychodziło ono od innych osób, które Traugutt rozpędził. W obec pewnej nieuniknionej klęski, gdy się już dawno pogodziłem z myślą że należę do pokolenia skazanego na zagładę, na samą myśl odstępstwa zadrzałem i propozycję przyjąłem.

Wkrótce jednak aresztowanym został Rafał Krajewski a w jakiś czas potem i ja znalazłem się w komisji Tuchołki. Poznanie Traugutta w osobie Czarneckiego w komisji (przez Zdanowicza) było ostatnim ciosem, a wykonanie wyroku

wstanie litewskie pominąłem bo znałem je tylko z relacji i ani razu na Litwie w tym czasie nie byłem. Z ludźmi przyjmującymi udział w ówczesnym ruchu na Litwie spotkałem się dopiero na dalekim wschodzie. Jeżeli kogokolwiek obwiniałem to wbrew zasadzie i stało się to mimowoli. Jeżeli błoto ulic moskiewskich, którym nas obrzucono dawno zapomniałem, to równie obojętnie nie mogłem się odnieść do garści błota, rzuconej ręką, że się tak wyrażę zbrodniczo-patrjotyczną. Chciałem zaznaczyć, że obwiniać to rzecz łatwa, bo wszystko zależy od punktu widzenia. Wrzekomi patryjoci, zwolennicy polityki pieczonych gołąbków, zamiast zarejestrować fakta na karty historii i zaznaczyć niezaprzeczalny krok naprzód w rozwoju ducha narodowego, rozgoryczeni klęską woleli rzucić błotem na wszystkich i wszystko, nienieledwie usprawiedliwiając rząd zaborczy (n. p. Lisicki). Nie zastanowili się, że co się stało i jak się stało, stać się inaczej nie mogło, że było rezultatem trzydziesto-letniej polityki fińsko-mongolskiej, nienormalnego położenia kraju w całym tym okresie pozbawionego wyższej szkoły i wypadków politycznych w Europie, od której nie jesteśmy przecież odgradzeni murem chińskim; pozbawieni bytu politycznego, nie przestaliśmy przez to być żywym narodem i nie mogliśmy być obcy, bezwrażliwi, obojętni na wielkie wypadki dziejowe; ówczesne pokolenie wierzyło, że złamie czego rozum nie łamie, a mierzyło siły na zamiary. Patrzyło ono na ostatnich legionistów, a ojcowie jego walczyli pod Stoczkiem, Wawrem, Grochowem. Ruch 61 roku był prawowitym dzieckiem wszystkich tych przyczyn, był koniecznością dziejową w danym razie skłonny jestem twierdzić, że koniecznością był taki, a nie inny jego rezultat. Stańczykowska garść błota jest grzechem przeciwko duchowi narodowemu, raz dla tego, że najlepsze rady post factum do niczego nie prowadzą, a powtórę że odbierają, więcej powiem, niszczą resztki energii; pod wpływem ich masy wpadają na długo w stan pozornej śmierci i dają możliwość politycznym operatorom dokonywania najhazardowniejszych operacji.

Umiemy obliczyć z matematyczną dokładnością drogi ciał niebieskich, ale nie mamy pojęcia o drogach ducha narodowego. Dla czego naród cały, pomimo najmądrzejszych

kombinacji zwolenników polityki pieczonych gołąbków, nie idzie po wyrównanych przez nich drogach — to jego tajemnica, której ci panowie długo jeszcze nie zgadną. Pójdzie on tam gdzie chce. On jeden wydaje nieodwołalne wyroki, potępia Targowiczán, każe czcić obrońców Baru. Pokolenie po pokoleniu potępia co on potępił, czci co on czcić każe, a nikt jeszcze nie śmiał zapytać o motywa tych wyroków. Kto się nie czuje synem stu pokoleń, ostatnim dziedzicem ich cnót i błędów, ich myśli i dzielności kto nie poczuje w piersiach swoich wcielonego ducha narodowego, niech się nie kusi o wskazywanie dróg swojemu narodowi, bo sam stoi na manowcach.

Łatwiej bez porównania przewidzieć coby się stało, gdybyśmy rad podobnych posłuchali. Idea caratu wyrabiająca się przeszło dwa wieki pod namiotami Chanów tatarskich, gdzie książęta moskiewscy własnymi czynami dawali swym poddanym przykład zaparcia się osobistej godności — skryształizowana w Iwanie Okrutnym i z całą bezwzględnością wszczepiona w naród wielko-rosyjski w Piotrze W. nabiera pozorów cywilizacji, ale nie traci nic na swojej sile, przeciwnie, odtąd osłoniąca pozorami chrześcijaństwa do połączonych w doskonałą jednię pierwiastków fińsko-mongolskich, przy Katarzynie drugiej dodaje filozofizm XVIII. w. przychodzi do samowiedzy swych zadań i celów, dając kwiat do jedynowładztwa w pełnym rozkwicie, w niczem niepodobny do monarchii i monarchów zachodnich. Taki Ludwik XIV. nie potrafiłby być carem, bo mówiąc że państwo to Ja — był królem z Bożej łaski, a carowie jako doskonałe wcielenie ducha Atyli, Dżengischana i Tamerlana są carami z Bożego gniewu. Car nie tylko jest państwem, ale i kościołem, jest absolutnym wcieleniem Rosyi. Kto zwróci baczną uwagę na dokonane w ostatniem 30-leciu zdobycze Rosyi w Azji, gdzie zajęła całą nizinę Turańską i wyciąga rękę po Indyę, musi się zapytać: co ją wstrzymuje od szerszenia się w podobny sposób w Europie? Progiem tym, którego przejść nie śmie jest rozdartą, skrwawioną u nóg jej powaloną Polską, czas od czasu szubienicami broniąca cywilizacji od najazdu barbarzyństwa. W chwili gdy naród-męczennik pogodzi się ze swoim losem i sztandar swój złoży, lub odda na usługi caratu — Nikt!

nawet skoalizowana Europa nie zatrzyma przed bramami Konstantynopola zwyciężkich wojsk rosyjskich. Podbój Europy będzie tylko kwestyą czasu. W Berlinie, Rzymie, Paryżu będą rządzić generał-gubernatorzy z łaski carskiej. Że w ostatnich czasach ta doskonała maszyna po wiekowem przyłączeniu Polski wydała kilka zgrzytów — niech to nie ludzi Europy i nie budzi zwodni zych nadziei bliskiego rozstroju. Co wieki wyrobiły wiekami tylko z gruntu przerobionym być może, a na zdobycie Europy nie potrzeba wiecej czasu, jak na zdobycie niziny turańskiej.

Wracałem z sądu do domu. Na ulicach było błotno ale szczebiot i gwar drobnego ptactwa, kąpiącego się w jasnych promieniach słońca, nie pozwalał ani na chwilę wątpić, że miało się ku wiosnie. Smutna to była wiosna! Burza dziejowa co szalała nad krajem ucichła! Koledzy moi, bliscy moi, w znacznej liczbie jedni już pokładli głowy na rusztowaniach i na polach bitew, drudzy w więzieniach oczekiwali wyroku, aby pójść na rusztowanie lub powlec się na Sybir, bo jedno albo drugie zależało od okoliczności danej chwili i wypadków niedających się łatwo przewidzieć. Dziwnie bolała mnie ta łaska losu. Zdawało mi się, że nie był dość gorliwym w spełnianiu włożonych na mnie obowiązków i często całemi godzinami, byłem w stanie niewypowiedzianego rozgoryczenia.

Dnia tego bez żadnej widocznej przyczyny byłem szczególnie zaniepokojony. W domu stan ten w niczem się nie zmienił więc też długo w nocy zasnąć nie mogłem.

Około godziny 12 rozległ się głos dzwonka w bramie domu, a że nikomu o tej porze, nie było wolno być na ulicy byłem pewny że przychodzi policya. Wsłuchanemu w odgłos stapań po bruku podwórza, na rzucone w myśli pytania: Do kogo? raczej, po kogo? Dzwonek w własnym moim przedpokoju odpowiedział. Otworzyłem! Najprzód wszedł młody oficer policyjny. zapytał kto jestem? a przekonawszy się z mojej odpowiedzi, że mu właściwe wskazano mieszkanie, oświadczył cel w jakim przybył. Uchylił drzwi przedpokoju. Wpuścił dwóch żandarmów i starszego dozorcę policyjnego.

Ruch niezwykły o tej porze, obudził kilkutygodniowe dziecko moje, które żona wzięła na ręce i nieruchoma śmier-

telnie błada, patrzyła jak pospiesznie, ale jednak szczerze przerzucano cały mój ówczesny dobytek. Otwierałem z kolei wszystko co tylko było zaopatrzone w zamek. Przetrzęsano bieliznę, szukano skrytek, a żandarmi chodząc od jednego do drugiego sprzętu, to tu to tam naciskali podłogę. W końcu obejrzano starannie łóżka, naciskano materace, nic jednak nie znaleziono takiego, co by mogło podlegać konfiskacie lub zatrzymaniu. Tymczasem oficer kiedy niekiedy zadał mi jakieś pytanie, na które starałem się dawać mu jak nakrótsze odpowiedzi. W jednej z szufladek biórka żandarm znalazł pieniądze, resztę otrzymanej pensyi, przywołał oficera i przedstawiając mu znalezione skarby moje, widocznie okazywał ochotę zatrzymania takowych. Zgromiony półgłosem przez chwilowego zwierzchnika, położył pieniądze na miejsce i gdy już nie było co przetrząsać, oficer obejrawszy sam kilkakrotnie drobiazgi, które stały na binrku, oznajmił mi, że ma polecenie aresztowania mnie i dostawienia do cyrkułu.

Pożegnałem dziecko i żonę i w całym tem towarzystwie, dwoma stojącymi przed domem dorożkami pojechaliliśmy do 10 cyrkułu.

W kancelaryi cyrkułowej, oświetlonej małą, brudną, naftową lampką już zastałem młodego człowieka, znajomego mi z widzenia. Oficer udał się do komisarza; dozorca, który był u mnie na rewizyi pozostał z nami. Po niejakim czasie absolutnego milczenia, dozorca zbliżył się do mnie, szepcząc że on nas obudwu odwiezie do więzienia na Pawiej ulicy, jeżeli więc mam co do powiedzenia żonie, gotów mnie na chwilkę puścić do domu. Nie mogłem się oprzeć chęci zobaczenia jeszcze raz żony i dziecka i serdecznie mu wdzięczny byłem za zrobioną mi propozycję. Dość prędko oficer powrócił, poszeptał z dozorcą, a zwracając się do mnie i młodego człowieka powiedział, że już nam towarzyszyć nie będzie. Wsiedliśmy do dorożki, pocziwy anioł stróż nasz ulokował się na koźle. Przed domem w którym mieszkałem konie się zatrzymały. Uradowany wyskoczyłem na ulicę i w tej chwili spostrzegłem wielkie zaambarasowanie strażnika, który wprost nie wiedział co ma z sobą zrobić. Czy pozostawić towarzysza mego na opiece dorożkarza, czy też

zostać przy nim, a mnie samego puścić do domu. Wnet jednak zdecydował się zostać, prosząc abym się spieszył.

Szlachetna dusza musiała być zaszyta w ten mundur policyjny. Nie mógł on jako rewirowy niewiedzieć o tem, jak łatwo było mi skorzystać z chwilowej wolności i na zawsze dla niego zginać, a jednak danego słowa dotrzymał. Byłem dla niego zupełnie obcym i bodaj czy go kiedy w życiu widziałem. Na zapytanie o nazwisko przy wysiadaniu przed więzieniem z uśmiechem odpowiedział: Na co to panu? Niech tam pana Bóg nie opuści. Pożegnanie przeciągnęło się za długo, uproszony stróż domu, przyszedł mi jego prośbę o pospiech powtórzyć. Wyszedłem natychmiast i bardzo już prędko znalazłem się w oddzielnej celce więzienia na Pawiej ulicy.

Od tegoż dozorca wiedziałem że będę w komisji Tuchołki, co dało mi do myślenia, że jestem mocno skompromitowany.

O komisji Tuchołki krążyły zatrważające wieści. Pomocnikiem quasi viceprezesem był w niej Zdanowicz, a powszechnie mówiono, że obaj ci panowie przed niczem się nie cofają byleby zeznanie z więźnia wydobyć. W tym czasie Tuchołko prowadził sprawę Rządu narodowego i ten to Zdanowicz poznał od razu Traugutta w osobie Czarneckiego, Zdanowicz człowiek od natury o grubych instynktach, niewykształcony jak wszyscy ówcześni oficerowie linjowi, gdy raz stał się odstępcą, ze zwykłą w takich razach zawziętością, przez najwstrętniejsze wybryki starał się okazać swoją prawowierność. Był poprostu katem w komisji Tuchołki. Zajęcia określonego żadnego nie miał, chodził z jednego pokoju do drugiego, przysłuchiwał się dawanym odpowiedziom, przyglądał się obwinionym i stosowie do chwilowego usposobienia, jednym wymyślał, drugich straszył różgami, czasem uderzył w twarz, żydom ze szczególną przyjemnością rwał włosy z bród, natrzęsając się nad ich patriotyzmem. Kiedyś służył w pułku jakiś czas z Trauguttem, a chociaż później drogi ich stanowczo się rozeszły nawet na służbie carskiej — dawnego kolegę na jego nieśczęście zapamiętał.

Wiedziałem, że Berg o skończenie sprawy nagli, że Traugutta odkryto w Czarneckim, to wszystko utrudniało

możność domyślenia się za co mianowicie byłem aresztowany. Dałem więc pokój domysłom, które do niczego by mnie nie doprowadziły.

Przed paru laty badany przez komisję w K..., następnie kilka miesięcy przesiedziałem w cytadeli, gdzie prezesem komisji śledczej był podówczas generał Roźnow. Teraz miałem się zetknąć z komisją zorganizowaną przez Tuchołkę. O ile pewny byłem, że nie będę miał do czynienia z inkwirentem, któremu dając odpowiedzi na pytania, należy ważyć każde słowo, o tyle znowu nie wątpiłem, że gwałt może być przeciwko mnie użyty. Moskal nie umie być inkwirentem, tego rodzaju zdolności są dla niego zupełnie niepotrzebne. Każdy z nich wierzy jedynie w potęgę bata — wie on, że jak daleko sięga carat, bat jest regulatorem całego ustroju państwowego. Dla czynownika pełniącego obowiązki inkwirenta jest rzeczą obojętną, choćby mu przyszło na śmierć zabatożyć niewinnego, on innej drogi dla ujawnienia winy nie zna! a winowajcę znaleźć musi — bo car tak chce, tak każe! Zabatożenie na śmierć, to dowód gorliwości służby a więc krzyż na piersi za męstwo podłości.

W komisjach warszawskich wyręczali się na ile tylko mogli inkwirentami sądów cywilnych, którzy twardą koniecznością doprowadzeni do tej ostateczności, przyznać należy oprócz osoby swojej, przez to samo już sponiewieranej w opinii publicznej, nic więcej im nie dawali.

Zamknięty na rygle i zamki, zmęczony — nie myślałem jednak o spoczynku. Już było jasno na Bożym świecie i dobrze pamiętam, że jak wyszedłem z domu w paltocie, tak w nim udałem się do komisji, bardzo wcześnie do niej wezwany.

Na korytarzu na dany znak przez jednego z żandarmów kręcących się i przebiegających to w tę to w ową stronę, mój przewodnik żandarm raptem otworzył drzwi obok będące i gwałtownie wepchnął mnie do pustego pokoju, w którym oprócz długiej ławy drewnianej, stojącej na środku a na podłodze drobnych odłamków różg, nic więcej nie było. Przyznaję, że ta pustka, brudna, ponura, ta ława na środku porzucona i ścięte różgi nie bardzo przyjemne zrobiły na mnie wrażenie. Zdawało mi się, że mnie ktoś drze za włosy zimno mi tam było! lęk mnie jakiś ogarniać zaczął. Szczęściem

że nie długo trzymano w tej norze, gdzie ludzi bito, aby ich zabić moralnie na całe nędzne życie, które im darowywano. Żandarm drzwi otworzył i powiedziawszy „pożalujcie“ poprowadził dalej! Po takim preludium nie życzyłem sobie spotkania ze Zdanowiczem, byłem jednak na nie przygotowany. Wchodząc do komisji trzymałem obie ręce zaciśnięte w kułaki, stanowczo zdecydowany gwałt Zdanowicza gwałtem odeprzeć.

W pokoju zastałem dwóch wyższych oficerów i jako inkwirenta sędziego Słupskiego. Chociaż powszechnie źle o nim mówiono, byłem jednak rad, że z nim będę miał do czynienia. Stałem na środku tego niewielkiego pokoiku. Sędzia S. odezwał się cichym głosem: „Niech kolega się zbliży, proszę siadać. Usiadłem trzymając pięście w kieszeniach paltotu. Inkwirent przeglądał papiery i jeszcze nie zadał mi ani jednego pytania, gdy z boku czy za sobą usłyszałem przykry, chrypliwy głos „A szto soznajotsia?“ A otrzymawszy odpowiedź, że jeszcze indagowany nie byłem Zdanowicz, bo on to pytał, nad samem uchem mi zakrakał „Pan soznawajsia, a to chudo budiet“. Spojrzałem w stronę krakania i wtedy pierwszy raz oko w oko spotkałem się z tym potworem-człowiekiem. Nizki, krępy, o szerokiej twarzy i silnie rozwiniętych szczękach – w dodatku zezowaty zrobił na mnie wrażenie raczej dzikiej jakiejś bestyi niż człowieka. Po daniu mi takiego ostrzeżenia Zdanowicz poszedł sobie dalej, a zaraz po jego wyjściu zjawił się sam prezes komisji p. Tuchołko. Z tym już dawniej spotykałem się w komisji Rożnowa w cytadeli. Nie należał i on do osobistości sympatycznych. Wysoki, o szczuplej wydłużonej brzydkiej twarzy i czarnym zaroście wyglądał ponuro, ale nie czuć go było koszarami i dziegiem. Ten zadał sędziemu toż samo co Zdanowicz zapytanie i odebrawszy takąż samą odpowiedź, wziął do rąk akta sprawy leżącej na stole i zwrócił się do mnie z temi słowami: „Jako dawnemu znajomemu oświadczam panu, że wyrok w jego sprawie już dawno napisany bez względu na to, cokolwiek pan powiesz w komisji. Dla nas pańskie „tak“ czy „nie“ jest zupełnie obojętnem, zeznanie bowiem R. K. względem osoby pańskiej jest stanowczem. I przeczytał mi je.

Nie wierzyłem mu! Motywując żądanie moje bezsennością, zmęczeniem, a więc roztargnieniem; dodając, że czytał szybko i nie dość wyraźnie, prosiłem, aby pozwolił zeznanie o ile ono mnie dotyczy samemu przeczytać. Wtedy Tuchołko nie dając mi aktu do ręki, stanął tuż obok. Pan mi nie wierzysz! powiedział. Znasz zapewne to pismo, a że zeznanie pisane jest własnoręcznie i każdy arkusz podcyfrowany — proszę! patrz! czytaj pan! — Tak było rzeczywiście.

Zmęczony tem wszystkim, prawie senny, powiedziałem Tuchołce, że jestem całonocną bezsennością znużony, niech mnie więc, jeżeli może uwolni w tej chwili od dalszego badania i pozwoli wrócić do mojej celki. Zgodził się i natychmiast mnie uwolnił. Rzeczywiście byłem zmęczony. Po wejściu do izby więziennej, nie byłem w stanie ani myśleć, ani zastanowić się nad obecnym moim położeniem. W ubraniu rzuciłem się na tapczan i natychmiast zasnąłem. Obudziłem się w nocy. Ponura przy świetle dziennem izba, oświetlona łożówką wetkniętą w kupkę piasku na podłodze, wydała mi się stokroć posępniejszą, wprost straszną. Tapczan, stolik i krzeselko, odrzucone żółtym światłem świecy na ściany i sklepienie celki, w miarę migotania światła przybierały caraz inne kształty, które fantazyja dopełniała według własnego widzimisie, niezależnie od mojej woli. To zdało mi się, że widzę nieszczęśliwego R..... K.... usiłującego się powiesić, na jakiejś oddartej szmacie, to znowu szlochającego i skarżącego się Bogu, czy proszącego o siłę i wytrwanie, to wreszcie innych znajomych więźniów, a z drgań cieniów na sklepieniu coraz wyraźniej rysował się niby szereg rusztowań i szubienic, to mniejszych to większych. Czasami wszystko to mięszało się w jakiś chaos i w oczach robiło się ciemno. Przestałem patrzeć na ściany i sklepienie, zwróciłem oczy ku światłu na podłogę i powoli — owładnąłem nerwami, własną myślą, samym sobą; uczułem się niby kompletnie spokojnym.

Kiedy zdałem sobie jasno sprawę z tego co się ze mną od 24 godzin działo — przyszedłem do przekonania, że wszelkie zaprzeczenie w mojem położeniu, byłoby wprost nieprzyzwoite, ubliżające godności osobistej i sprawie dla której gotów byłem wszystko poświęcić.

Rano powiedziałem żandarmowi, aby mi przyniósł pióro, atrament i papier — co mi prawie zaraz dostarczył. W kilkunastu wierszach potwierdziłem czynione mi zarzuty. Tak zredagowane zeznanie, oddałem żandarmowi.

Może w godzinę byłem wezwany do komisji. Tuchołko oświadczył mi, że rad jest z zakończenia sprawy, a po chwili wahania zapytał: Czy nie mógłbym dać mu jakich objaśnień o poczcie narodowej?

Poczta narodowa była utrapieniem wszystkich komisji. Okoliczności tak się złożyły, że do końca nie mieli o niej żadnego pojęcia. Ci którzy dawali im objaśnienia, chcąc siebie ratować, dawali je o tyle, o ile to było koniecznem, aby zeznania ich były pozornie pełne i prawdopodobne, ale co mogli ukryć to ukrywali. Nawet Oskar Awejda, ów więzienny historyk powstania, nie był szczerym. Ławcewicz zbity różgami powiedział to czego się wyprzec wprost nie mógł. Wyjątkowo upadli, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, nie wiele o niej powiedzieć mogli. To wszystko spowodowało Tuchołkę do dania mi podobnego zapytania.

Najprzód grzeczemu dla mnie prezesowi przypominałem o danem słowie, a później dodałem, że o poczcie nic nie wiem; a gdy nie cofał danego słowa, a jednak zdradzał niepohamowaną ciekawość, zwróciłem jego uwagę, że kiedyś widywał mnie w komisji po kilka godzin dziennie w przeciągu dwóch miesięcy i chyba dostatecznie dałem mu się poznać, że mówię to co chcę i że nic nadto co chcę nie powiem! Po czem Tuchołko jeszcze coś powiedział o honorze i dotrzymywaniu słowa i kazał mnie odprowadzić do więzienia.

W kilka dni potem przeprowadzono mnie do tak zwanej ogólnej sali, gdzie pierwszy raz zobaczyłem braci Lauberów, którzy podobno w chórze śpiewaków prym trzymali.

Po południu najniespodzianie byłem wezwany do komisji. Dyżurny żandarm wpuścił mnie do obszernego pokoju na tem samem piętrze. Młody, niższego stopnia oficer z ptasią fizyonomią i krzywym ramieniem, trzymając dość duży plik papierów zbroszurowanych w rękę, podniesionym głosem zapytał mnie, czy znam Rogińskiego? Gniewny głos niezdarne go pana inkwirenta, niespodziewane wezwanie do komisji, a więc nowe badania, gdy mi już sąd tylko zapo-

wiedziano — niesłychanie mnie rozdrażniło. Krótko ale równieź podniesionym głosem, odpowiedziałem „Nie!”

Zaczęła się najzabawniejsza scena! Młody czupurny oficerek tupnął nogą i zarzucił mnie gradem pytań. Pan jesteś N. N.? Tak! Byłeś w K...? Tak? W roku 1861 byłeś w Warszawie? Tak! Więc pan znasz Rogińskiego? Nie! Jeszcze silniejsze tupnięcie nogą i znowu też same zapytania i też same odpowiedzi.

Jak gdyby dla różnaitości następuje pokazywanie mi tego ogromnego foliału z objaśnieniem, że to jest zeznanie Rogińskiego. W zeznaniu tem na każdej przewróconej karcie, co dwa trzy wiersze nazwiska podkreślone czerwonym i niebieskim ołówkiem, a było ich tak wiele, że na początku na oddzielnym arkuszu spostrzegłem listę alfabetyczną ofiar — tego braku cywilnej odwagi w człowieku młodym, któremu wojskowej nikt nie odmawiał, przynajmniej ja z podobnym zarzutem przeciwko niemu nigdzie się nie spotkałem. Oficer pokazując mi tę uwiecznioną hańbę człowieka, wpadał w pewnego rodzaju zapał; twierdził że to jest dla nich ewangelia, a ja śmiem jej fałsz zadawać. Byłem rozdrażniony do najwyższego stopnia. On po tej przerwie zaczął powtarzać z gniewem już swoje poprzednie pytania, ja upornie powtarzałem, równie głośno, swoje tak i nie, gdy wsunął się do pokoju Tuchołko. Jak gdyby o niczem nie wiedział, zapytał mnie o co to idzie? Ponieważ przy poprzednim demonstrowaniu aktów oficer przeczytał mi o co mnie obwinia Rogiński, zwróciwszy się do Tuchołki, powiedział mu, że dopytują mnie o rzeczy, które już były przedmiotem śledztwa w czasie pierwszego mego pobytu w cytadeli, że dobrze mu wiadomo, jako śledztwo to skończyło się uwolnieniem mojem i że Rogiński wprost łąał byle siebie ocalić, mówiąc o tem co wiedział i nie wiedział. Wtedy Tuchołko podał mi arkusz papieru, dodając „napisz więc pan, że to wszystko nieprawda!” Co zaraz zrobiłem i tak skończyłem owe dodatkowe śledztwo.

Ujęcie Rogińskiego i badania jego przypadło na najbujniejszy rozrost powstania. Cytadela była przepełnioną, chociaż więc zeznania jego były bardzo obszerne, zwracano uwagę przedewszystkiem na te okoliczności, które się odnosiły do bieżącej chwili. Wszelkie rewelacye odnoszące się

do czasu poprzedniego, pomijano i dopiero kiedy powstanie upadło, Rząd narodowy uwięziony i komisye nie miały już kogo i czego szukać — zwrócono się do aktów Rogińskiego, zaczęto nowy szereg aresztowań, nowe śledztwa, w celu wyjaśnienia początków organizacyi.

Zeznanie moje co do Rogińskiego było bezwarunkowo rzetelnem.

Rogiński był uczniem szkoły w Cuneo — w początkach powstania sformował oddział na Podlasiu i z nim przeszedł na Litwę, gdzie w bitwie został wzięty do niewoli. Marsz na Litwę i spotkanie jego na Litwie z generałem Czerkasowem (na Podlasiu) dały mu na początku powstania rozgłos i chwilowo wysunęły na pierwszy plan.

W całym zeznaniu Rogińskiego, to było jedynie prawdą że w czasie mego pobytu w Warszawie, przy ulicy Chłodnej w mieszkaniu Kazimierza Wojcickiego, najruchliwszy element, który dotąd nie był żadnym regulaminem skrępowany, na walnem zebraniu w październiku 1861 r. postanowił zorganizować się i wybrał pierwszy komitet.

Na drugi czy trzeci dzień po śledztwie dodatkowem, z sali naszej wezwano kilka osób w liczbie których i ja się znalazłem. Wprowadzono nas do obszernej izby w której z bliższych znajomych zastałem Rafała Krajewskiego, Maryana Dubieckiego, Toczyskiego i wielu innych. Traugutta, Żulińskiego i Jeziorańskiego, nie było między nimi.

Po dwugodzinnej gawędce, gdy już wszystko było przygotowanem, popakowano nas do zakrytych wozów czarno pomazanych, każdy wóz otoczyli żołnierze i ruszyliśmy ku cytadeli. Przez całą drogę towarzyszył nam tłum kobiet rozmaitego stanu, do samych wrót fortecy.

W sądzie wojennym raz tylko byłem. Zadawanych mi pytań nie mógłbym obecnie powtórzyć. Pamiętam jedno że prezydujący generał Lewicki, bardzo natarczywie domagał się, abym mu powiedział, czy jestem szlachicem. Niechciałem mu tego powiedzieć i zbywałem żartami, nie dla tego aby pod tym względem był zwolennikiem pomiatania szlachectwem, bo jeśli szlachectwo nie może być zaśługą, to i grzechem nie jest. Trzeźwy umysł strzegł mnie od wszystkich krańcowych teoryj. Wobec jednak głupoty chełpiącej się urodzeniem i fałszywych z tego tytułu pre-

tensyj a co ważniejsza, wobec tego, że tytuł ten dawał wówczas pewne prerogatywy bez żadnej słusznej racji, nie chciałem z tych prerogatyw nie zasłużonych korzystać. Obowiązek każdego tak obdarowanego, pracą całego życia dar ten zdobyć i sumiennie w prawo własności uprawnić, że się tak wyrażę; gdy kto jednak, li tylko na zasadzie urodzenia, domaga się wyróżnień, szlachectwo jego staje się krzyczącym gwałtem. Po wyroku sądu wojennego o którym nic a nic nie wiedziałem, zmieniono mi mieszkanie i wprowadzono do wielkiej koszarowej sali, gdzie liczba osób bynajmniej nie była zastosowaną do obszerności sali. Spakowani jak śledzie w beczce, gdy jedna część przechadzała się pomiędzy narami, druga musiała siedzieć na narach urządzonych na środku sali i po pod ścianami. Ze sprawy Traugutta zastałem tu prof. Dybowskiego, Bogusławskiego, Sumińskiego, z innych znajomych Bronisława Marczewskiego, reszta ludzie nieznajomi. Całość stanowiła istną mozaikę charakterów, usposobień, zajęć! A dziwne, to życie prowadziło się w tej zatęchłej i nad wyraz brudnej atmosferze więziennej! Rano na brudnych noszach, w brudnych czajnikach fajansowych i kamiennych imbryczkach wnoszono nam herbatę i kawę, a chociaż i jedna i druga kolorem tylko przypominała herbatę lub kawę, wypijaliśmy ją wszyscy bez wyjątku. Około godziny 12 wnoszono w ten sam sposób obiad złożony z zupy i kawałka mięsa, oraz plasterka pieczeni, podlanej wiecznie jednego koloru sosem. Jedni obiad cały zjadali nie wdając się w krytykę, inni poprzestawali na kilku łyżkach zupy a robili to ci mianowicie, którym w sobotę przynoszono dobrze naładowane kosze rozmaitemi smakołykami. Ponieważ znoszone prowianty stanowiły niby wspólną własność — spożywanie w całości obiadów więziennych świadczyło jedynie o lepszym apetycie jednych niż drugich. O godzinie 7-ej znowu herbata, a po capstrzyku lulu.

Dwa razy w tygodniu słuchaliśmy z przyjemnością żołnierskiej modlitwy. Na odwachu stawiano dobosza, który musiał być rozkochany i w sztuce swojej i w instrumencie. Czuł było, że rozkoszował się uderzeniami swych pałek. Od ostrych podobnych do grzmotu tonów przechodził do jakichś skarg, niby jęków i prawie szeptów modlitwy. Kończąc jakby rzuceniem garści pereł na rozciągnięty

nad próżnią kawałek skóry. Do najbardziej ożywionych dni w tygodniu należały poniedziałek i sobota. W poniedziałek pozwalano widzieć się ze znajomymi lub krewnymi. W sobotę oddawano nam kosze z przysmakami i bielizną i zabierano od nas koszyki z poprzedniego tygodnia. Resztę dni w tygodniu nie powiem, abyśmy przepędzali w smutku i żałobie. Ponury był tylko Bronisław Marczewski, który po całych dniach w milczeniu przesiadywał na narach starannie wyszukując w zaniedbanem do ostateczności ubraniu swoim nieproszonych gości. Nie dziwiło to nikogo z tych, co go znali bliżej. Zaniedbaniem swoim zwracał powszechną uwagę nawet na ulicy. Małomownym był zawsze, nic więc dziwnego że w więzieniu posunął to do ostateczności. Reszta bawiła się jak mogła, drwiąc z siebie i drugich, a gdy zabrakło usposobienia wzywano Koryckiego, aby opowiadał o żydach, a opowiadania jego były znakomite. Nieraz udawało mu się całą salę doprowadzić do szalonych wybuchów śmiechu. Korycki był z powołania aptekarzem, krępy niewielkiego wzrostu, brunet z czarnemi żywemi oczami, przy spłaszczonym fatalnie nosie, jeżeli nie mógł udawać Apolla, to zato Moszków i Abramków naśladował wyśmienicie. Dykteryjki swoje trzął jak z rękawa i posiadać ich musiał znaczny zapas, bo się prawie nie powtarzał, chyba na wyraźne żądanie.

Pewnego dnia byliśmy mocno zaintrygowani ujrawszy na wałach cytadeli po południu niezwykłą liczbę księży kapucynów spacerujących. Zjawisko podobne zapowiadało zawsze na drugi dzień egzekucję. Był to poniedziałek. Pomimo że każdy oczekiwał chwili gdy go zawołają do widzenia — zapomnieliśmy jednak o tem wobec myśli o jutrze. Dość późno dano mi widzenie. Na korytarzu wepchnął mnie żandarm do zaimprovizowanej poczekalni. Obok, w drugiej czekał Krajewski. Przez otwór w ścianie około pieca zakomunikował mi wiadomości, jakie miał co do naszego wspólnego losu. W tej chwili widocznie ani się domyślał, jaki los czekał go nazajutrz. Zawołano mnie do widzenia. Żona była dziwnie zaalterowaną, prosiła abym powiedział, że jestem chory i zażądał lekarza. Nie wiedząc co ją do tego skłoniło spełniłem jej życzenie. Przed wieczorem zjawił

się w sali główny lekarz p. Wołodzicki i kazał mnie przenieść natychmiast do szpitala.

W sprawie Traugutta wyrok sądu wojennego i audytoryatu 12 osób skazywał na śmierć. Berg przy konfirmacji zauważał, że to za wiele na raz co do pięciu więc wyrok konfirmował, reszcie karę śmierci zamienił na 15 lub 10 lat, katorżnych robót w fortcach lub kopalniach. Na drugi dzień rano przed oknami sali w której mnie ulokowano w szpitalu, przeciągnął ponury pochod pięciu skazanych na śmierć, na stok cytadeli, gdzie zwykle tracono politycznych. Traugutt, Żuliński, Toczyski, Jeziorański i Krajewski każdy w towarzystwie swego przewodnika, ostatni raz przesunęli się przed moimi oczami. Pierwszy jechał Traugutt, a uroczyście spokojna i poważna twarz jego, tak silnie na mnie oddziaływała, że gdym pomyślał o innych już widzieć ich nie mogłem.

Po południu, przy widzeniu, żona mi wytłumaczyła, co ją spowodowało do żądania odemnie, abym się przeniósł do szpitala. Przekonana że obecnie nic zrobić się nie da, chętnie usłuchała rady, aby pod pozorem choroby zostać w Warszawie i potem starać się o jakieś ulgi. Byłem z tego mocno niezadowolony. W rezultat zabiegów nie wierzyłem, a co ważniejsza nie chciałem, aby choćby bezemnie, ale o mnie proszono. Stanowczo oświadczyłem żonie, że wypisuję się ze szpitala i gotów jestem jechać choćby natychmiast. Może pierwszy raz wtedy uczułem, że mi więzienie obrzydło. Nazajutrz już byłem na tejże samej sali i w tem samym otoczeniu. W bardzo krótkim czasie byłemznaczony do „wywózki“, jak wówczas powszechnie mówiono. Poprzednio już wytłumaczyłem żonie, że w żaden sposób nie zgodzę się na to, aby wraz zemną wyjechała. Wtedy dopiero kiedy przekonam się na miejscu o warunkach życia na Syberyi i droga dla kobiety okaże się możliwą do przebycia pozwolę jej przyjechać.

W wilię dnia naznaczonego do wyjazdu o godzinie 10 wieczorem, oficer przeczytał listę naznaczonych z tej sali do wyjazdu i kazano nam się zabierać „z wieszczami“ każdy skręcił swoje manatki w jakiś węzełek i gdyśmy byli gotowi, przeprowadzono nas słabo oświetlonymi korytarzami do obszernej izby, w której oprócz lojowej świecy słabo

zatkniętej na środku podłogi w piasek, nic literalnie nie było. Brudne ściany owej izby przy żółtem świetle łożówki i blade zmęczone twarze nasze dziwnie ponury dawały widok. Wyglądaliśmy wszyscy już nie jak skazani ale jak potępiency. Najlepsi znajomi mało z sobą mówili. Na każdej twarzy widać było, że pod czerepem nie arcy-wesołe krzyżują się myśli. Co chwili wchodzili nowi ludzie, każdy stawał gdzie znalazł wolny kawałek miejsca i niby kamieniał. Nad drzwiami izby nie było wprawdzie napisu „Tu nie ma nadziei“ ale to pewna, że jej tam w naszych sercach nie było. Około godziny 12 przyszło kilku wojskowych z plikami papierów, którzy zatrzymali się na korytarzu przy drzwiach owej izby. Wtedy kazano nam pojedynczo wychodzić, każdego wychodzącego pytano o nazwisko, a gdy je powiedział jeden z oficerów wymawiał: 20 lat ciężkich robót, w kopalniach, na całe życie, na lat 15, na 10, znowu na całe życie i t. d.

W taki sposób w nocy w kazamacie ogłaszano carskie wyroki. Za chwilę owiało nas chłodne powietrze nocy poprowadzono nas do innego budynku w twierdzy — gdzie nas znów jakiś czas zatrzymano. Mnie wywołał po nazwisku oficer i zaprowadził do sutereny czy kazamaty gdzie zastałem żonę. Oszołomiany tem wszystkim zapytałem po co tu przybyła. Objaśniła mi, że nie mogła wcześniej przynieść mi rzeczy potrzebnych na drogę i że jeszcze zobaczymy się na kolei. Ona szlochała, ja ją uspokajałem, a w górze czy koło mnie słychać było kucie kilku na raz młotów i brzęk łańcuchów. Kuto w kajdany nieszlachtę. Gdy kucie skończono wyprowadzono mnie z tej ciemnej izby czy sutereny, doprowadzono do miejsca gdzie zebrani byli moi towarzysze, otoczono nas podwójnym łańcuchem piechoty i kozaków i poprowadzono na kolej.

Gdyśmy doszli do miasta pomimo wczesnego poranku otoczył nas jeszcze jeden łańcuch z kobiet wszelkiego wieku i stanu. Na placu Zygmunta już tłumy nas otaczały, pochód szedł wolno, słońce już zaczęło dokuczać jak zwykle w lipcu. Z tłumy wysuwały się naprzód niektóre z kobiet, przemawiały do znajomych, rzucały jakieś paczki, medaliki. Kozacy wtedy brali się za nahajki — co mnie drażniło niesłychanie — bolało! Każdy świst nahajki robił na mnie

domagała się aby nas jej pokazało. Oficer prowadzący partję oparł się temu stanowczo. Co skłoniło ludność Nowogrodu do postawienia podobnego żądania nie chcę rozstrzygać. Może ci potomkowie dawnych obywateli wolnego Nowogrodu, nauczonych moresu przez Iwana Groźnego chcieli widzieć, jak wyglądają ludzie co śmia nie uznawać potęgi caratu.

W Petersburgu wyprowadzono nas z więziennych wagonów i pozwolono rozgościć się w salonach dworca kolejowego. Ciekawych mieliśmy tłumy! Zdaje się, że dozór nad nami w czasie pobytu na dworcu, powierzono petersburskiemu grodonaczelnikowi generałowi Suworowowi. Potomek krwawego zdobywcy Warszawy, był niesłychanie uprzejmym. Odzywał się głośno ze wstrętem o Murawiewie, prawie domagał się aby mu każdy z nas wypowiedział szczegółowo o zachowaniu się z nim w komisji i przebiegu sprawy. Dawał do zrozumienia, że robi to nie z pobudek osobistych ale niezależnie od własnych przekonań, spełniając wolę wyższą. Czy rzeczywiście tak było? Czego chciał się dowiedzieć? Dlaczego to robił? Kto go posłał? Nie wiem! To pewna że robił wrażenie człowieka dobrej woli.

Wobec caratu mówić seryo o stronnictwach wydaje się rzeczą wprost niewłaściwą, a jednak gotów jestem przyznać, mając na to pewne dane, że w Rosyi obok tak zwanej partyi moskiewskiej, zacofanej, bezmyślnej, ogłupiałej, po za caratem nie widzącej dla Moskwy zbawienia, istnieje i istniała może jeszcze bardzo nieliczna, ale za to można swoim bogactwem, stosunkami i wpływami tak zwana partya petersburska — postępową — pragnąca potęgę caratu złamać lub na inne zwrócić tory; a więc między innemi kusząca się kwestyę polską bez bata rozwiązać, na drodze wspólnych możliwych ustępstw. Na początku ruchu posiadała ta partya nie mało wpływu, a więc robiła ustępstwa. W. ks. Konstanty był przedstawicielem tego stronnictwa. Gdy powstanie objęło Litwę i Ruś, obawa utraty tych prowincyj i akcyja dyplomatyczna Napoleona, skłoniły ówczesny dwór petersburski doń ucho podszeptom partyi narodowej moskiewskiej. Wysłano Murawiewa ratować Litwę. Klęska dyplomatyczna Napoleona pierwszy szach zadany wielkiemu jeszcze wówczas cesarzowi, przez mało jeszcze znanego Prusaka, który partyę swoją skończył świetnym matem pod Sedanem, jako wielki

twórca jedności Niemiec zapewniły na długo przewagę partyi moskiewskiej na dworze petersburskim, której wcieleniem niejako stał się wczorajszy jeszcze liberał i angłoman Katkow.

Ta łatwość przerzucania się z jednego stronnictwa do drugiego, wręcz przeciwnego, jest nieszczęściem dzisiejszej Rosyi. Carowie moskiewscy do zbudowania podstaw swojego tronu, zamiast zwykłej zaprawy nie szczydzili krwi i mózgow własnych poddanych. Stąd brak myśli samodzielnej, brak narodu moskiewskiego! Jest car, są czynownicy i żołdactwo. Reszta masa bezmyślna, apatyczna, bez ideałów ludzkich, bez dążeń ludzkich, jest papką z której car wyrabia dla siebie czynowników i żołnierzy. Mocen był Bóg Sodomę i Gomorę ocalić dla jednego sprawiedliwego, ale garstka ludzi dobrej woli, choćby setki Rylejewych i Żelabowych nie odkupią odczłowieczonego wiekami narodu.

Podróż koleją do kolebki caratu Moskwy nie przedstawiała nic szczególnego. Takie same okratowane wagony, Ciż sami żandarmi, tylko zamiast białych mający czerwone akselbanty. Taż sama bezmyślna gawiedź na dworcach z tą tylko różnicą, że już dziwnie jednostajna, w krasnych rubachach, krótkich niesmacznych kaftanach, na których wzorowano dzisiejszy mundur rosyjski, o twarzach również dziwnie jednostajnych, o włosach, jak len świątłych, równo przyszczyżonych na dwie równe połowy pośrodku głowy rozczesanych i my ciż sami, tak samo złamani, znicestwieni.

Z dworca moskiewskiego całą partyę przewieziono na dołguszach (rodzaj długiej ławy na 4 kołach) pod mieszkanie generał gubernatora. Na obszernym placu ustawiono nas w długi szereg i tak staliśmy parę godzin na spiece słonecznej.

W końcu wyszedł z pałacu gubernatorskiego młody oficer, wywołał kilkanaście nazwisk. Wywołanym w liczbie których i ja się znalazłem, oświadczył, że na czas pobytu w Moskwie będziemy ulokowani w Twerskiej części. Jednocześnie pozostałym za takie tymczasowe locum standi wskazał Kałamażny dwór. Jednych i drugich natychmiast do wskazanych miejsc odprowadzono.

W Twerskiej części oddano nam trzy pokoiki dworjańskie w areszcie policyjnym i powierzono opiece dwóch żan-

darmów. Komisarz cyrkułowy człowiek lat średnich o przyjemnej powierzchowności z całą galanterią oświadczył nam że możemy jednego z żandarmów używać na posyłki do miasta. Co zaś do żywienia nas, to albo nam wypłacać będzie należne strawne, lub będzie nam dawać herbatę dwa razy dziennie i obiad z dwóch potraw. Przyjęliśmy drugą propozycję. Nie pamiętam nazwiska komisarza jednak uważam sobie za obowiązek nadmienić, że z przyjętego na siebie zobowiązania wywiązywał się nadzwyczaj sumiennie. Rano i wieczór przysyłał nam świeże bułki, cukier i herbatę i podawano samowary, obiad był czysto przygotowany. W liczbie tych, których pomieszczono w Kałamażnym dworze ze sprawy Traugutta znajdowały się trzy panie a mianowicie: dwie rodzone siostry panny Gierzowskie i pani Kirkor. Panie te korzystając z wizyty gubernatora czy jakiegoś innego dygnitarza, skarżyły się, że ich oddzielono od znajomych i prosiły o przeniesienie, albo ich do Twerskiej części, lub nas do Kałamażnego dworu. To drugie żądanie zostało uwzględnionem. Wskutek tych zabiegów, przyszedł do nas poczciwy nasz komisarz, i zawiadomił o otrzymanem poleceniu przeprowadzenia pomieszczonych na liście osób do Kałamażnego dworu. Uprzedził w końcu, że na tej zamianie nic nie zyskamy. Następnie z pewnem zaambarasowaniem zaczął mówić o czerni miejskiej i jej względem nas osposobieniu, dlatego, aby uniknąć nieprzyjemnych zajęć, ma zamiar dziś w nocy o godzinie 12 nas przeprowadzić, prosząc abyśmy się na oznaczoną godzinę przygotowali.

Byliśmy gotowi, ale przed dwunastą uderzono na gwałt. Pan komisarz zamiast zająć się naszą translokacją, pobiegł na pożar i dopiero o świcie powrócił. Został nas pomimo to gotowych, konwój konny żandarmski czekał, udaliśmy się więc w drogę.

Odległość musiała być dość znaczną, bo w drodze zaskoczył nas zaczynający ruch miejski. Na twarzach mijających nas ludzi widać było wyraźną ku nam niechęć. W miarę większego ruchu, dawały się słyszeć obelgi i przekleństwa wyraźnie adresowane do nas. Ktoś ze śmielszych w tłumie podniósł i rzucił garść błota. W jednej chwili zostaliśmy nim obrzuceni. Żandarmi zachowali się w obec

tego zupełnie spokojnie. Z tłumu wysunął się Francuz i chciał coś podać jednemu z nas, gdy żandarm konia spał, aby go odpędzić. Doznałem wtedy dojmującego bólu serca, i oburzenia. Nie wiem jakie uczucia wywołała cała ta wstrętna scena w sercu moich kolegów! Myśl szamocąc się gorączkowo wywołała w tej chwili, obraz innej chwili, gdy w tej samej Moskwie powiewały orły polskie, a ówczesna czerń wzywała na tron Zygmunutowego syna Władysława. Mimowolnie łyzy cisnęły się do oczu, całej siły woli potrzeba było, aby je powstrzymać. Skrzydlate hufce Strusia, Rożyńskiego, Sapiehy, Żółkiewskiego, Chodkiewicza otaczały mnie w koło. Ciemno zrobiło się w oczach, serce łamała niedola dzisiejsza i żal zmarnowanej przeszłości!

Radośne witania współtowarzyszy podróży, wyrwały mnie z tego pół snu, pół jawy. Staliśmy na dziedzińcu koszar kawaleryjskich zwanych Kałamażnym dworem.

Pisałem w 1892 r.





31625/
2